

ŻAŁOBA PO KOŚCIELE
Ks. Jacek Prusak: jak wierzyć
po filmie Sekielskich

ĆWICZ Z PUTINEM
Gimnastyka słowiańska
podbija Polskę

CZARNOBYL: HIT I MIT
Wszystkie półprawdy
genialnego serialu

FUTBOL JEST NIEWINNY
Nasz korespondent
z finału Ligi Mistrzów

Kraków 9 czerwca 2019 nr 23 (3648)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

KAROLINA WIGURA Stać nas na więcej niż PiS i anty-PiS

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 370.425



NOC Cudów

TYLKO
14 CZERWCA
DO PÓŁNOCY



NAJMOCNIEJSZE OFERTY ROKU NA WSZYSTKIE
MODELE ALFA ROMEO. **ZAPRASZAMY DO SALONÓW!**

Promocja obowiązuje w dniu 14.06.2019 r. do godziny 24:00 i obejmuje samochody marki Alfa Romeo z rocznika 2018 i 2019 dostępne na stanie danego salonu. Lista aut objętych promocją u autoryzowanych dealerów Alfa Romeo i na stronie noccudow.pl. Dane spółki: FCA Poland S.A. z siedzibą w Bielsku-Białej, ul. Grażyńskiego 141. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu Cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Prezentacja produktu ma charakter wyłącznie poglądowy, rzeczywisty wygląd i cechy samochodu oraz wyposażenia mogą różnić się od prezentowanych na zdjęciu. Alfa Romeo Giulietta – zużycie paliwa 4,7-7,1 l/100 km, emisja CO₂: 123-163 g/km. Alfa Romeo Giulia – zużycie paliwa 6,6-7,0 l/100 km, emisja CO₂: 153-162 g/km. Szczegółowe informacje o odzysku i recyklingu pojazdów, postępie dokonany w tej dziedzinie, konstrukcji pojazdów zgodnej z przepisami o recyklingu i lista punktów zbierania pojazdów wycofanych z eksploatacji znajdują się na stronie www.alfaromeo.pl/uslugi-posprzedazne/recykling-pojazdow.

La meccanica delle emozioni



KS. ADAM

Boniecki: Wybór i wybrani

DYREKTOR WIELKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA ROZmawia z kandydatem do pracy. Dyrektor: „Jakie jest pana wykształcenie?”. Kandydat: „Matura i szkoła jazdy”. Dyrektor: „Więc prowadzi pan samochód?”. Kandydat: „No nie, bo nie zdałem egzaminu na prawo jazdy”. Dyrektor: „Zna pan jakieś obce języki?”. Kandydat: „Niestety, do języków to ja nie mam zdolności”. Dyrektor: „Umie pan się posługiwać komputerem, zna pan jakieś programy?”. Kandydat: „O tak, umiem pisać w Wordzie”. Dyrektor: „A na rachunkowości się pan zna?”. Kandydat: „Nigdy nie próbowałem, ale może gdybym spróbował...”. Dyrektor: „A jak pana relacje z ludźmi? Dobrze się panu współpracuje z innymi?”. Kandydat: „Panie dyrektorze, ludzie są okropni...” i tak dalej. Wreszcie dyrektor konkluduje: „Proszę pana, jest u nas tylko jedno stanowisko, na które by się pan nadawał, ale niestety to stanowisko zajmuje ja”.

Czasem ta anegdota przypomina mi się w okresie wyborów. Bo jak to jest, że normalnie każde zatrudnienie jest poprzedzone przestudiowaniem CV, rozmową kwalifikacyjną i okresem próbnym – że tak jest wszędzie, tylko nie przy wyborach, nawet poniekąd wyborach do Parlamentu Europejskiego? A są to jedne z największych na świecie wyborów bezpośrednich. Każdego eurodeputowanego osobiście wybierają współobywatele Unii. Wypracowano system chroniący małe państwa przed dyskryminacją i ograniczający zbytnią preponderancję wielkich (żaden kraj nie może mieć mniej niż sześciu lub więcej niż 96 posłów, a całkowita liczba posłów nie może przekroczyć 751). Tak więc obywatele UE wybierają konkretne osoby, upoważniając je w ten sposób do przemawiania i działania w ich imieniu. „Parlament Europejski – czytam na stronie Unii Europejskiej – jest sercem demokracji w Europie – reprezentuje 500 milionów ludzi (...) Uchwala, wraz z Radą UE, przepisy prawa europejskiego, w oparciu o wnioski ustawodawcze Komisji Europejskiej”. Ma więc ogromne znaczenie, decyduje o funkcjonowaniu całej Unii.

Tymczasem po tegorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego większość komentarzy skupia się na tym, jakie znaczenie będą one miały dla polskiej geografii politycznej.



Jakby to, że PE jest władzą ustawodawczą, decydującą o funkcjonowaniu Unii, nie miało dla nas większego znaczenia. Wybory te są traktowane jako wstęp do naszych własnych wyborów parlamentarnych. Co dziwniejsze, często osoby, które się nie najlepiej sprawdziły na ważnych stanowiskach w kraju, są – jakby po to, żeby stąd się ich elegancko pozbyć – desygnowane do Parlamentu Europejskiego. I teraz one stają się architektami porządku europejskiego.

A porządek ten bynajmniej nie jest raz na zawsze zabezpieczony. Niedawno Danuta Hübner, która jak mało kto zna Unię Europejską, ostrzegła na swym blogu przed przybierającymi na sile ruchami populistycznymi, które „są wykorzystywane przez tych, którzy chcą zaszkodzić Europie. Bo populizm w Europie idzie ręką w rękę z nacjonalizmem i antyeuropejskością”.

Działalność Parlamentu Europejskiego interesuje nas, by nie powiedzieć: obchodzi, niepomrotnie mniej niż poczynania polskiego parlamentu. Tymczasem Unia Europejska, powstała stosunkowo niedawno (1 listopada 1993 r.), mimo wszystkich swych słabości otwiera dla naszego kontynentu niewyobrażalne możliwości. Dziś jednak blisko połowa obywateli UE nie dowierza w jej trwałość i obawia się rozpadu w ciągu najbliższych 10–20 lat. Jej wrogowie robią wszystko, by ją wewnętrznie skłócić i podkopać do niej zaufanie.

Jan Paweł II, który był głęboko przekonany o potrzebie integracji Europy, w adhortacji apostolskiej „Ecclesia in Europa” (29 czerwca 2003 r.) napisał: „pozostaje rzeczą niezwykle ważną, aby w procesie integracji Starego Kontynentu wziąć pod uwagę, że jedność nie będzie trwała, jeśli zostanie sprowadzona jedynie do wymiaru ekonomicznego, że musi ona polegać przede wszystkim na harmonii wartości, które winny wyrażać się w prawie i w życiu”.

Mówił też wprost: „nie będzie jedności Europy, dopóki nie będzie ona wspólnotą ducha”. Nawet jeśli dziś dla niektórych ludzi te słowa niewiele znaczą, to tym bardziej nie jest obojętne, czy wybierając swoich europosłów, braliśmy pod uwagę także i to kryterium.

©P

TP

Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim

OPOLE, sobota, 8 czerwca, godz. 12.30

4. FESTIWAL KSIĄŻKI. SPOTKANIE „ROZMOWY O ŻYCIU”

Prowadzenie MICHAŁ OLSZEWSKI

Miejsce: Scena plenerowa. Podczas spotkania będzie możliwość zakupu książki.



22 Młot o cadillacu

PROF. MARIA THEISS, POLITOLOŻKA, W ROZMOWIE Z MARKIEM RABIJEM:

Każda grupa, której głos słychać w debacie o polityce społecznej, za pokrzywdzoną przez socjal uważa siebie.



32 Żałoba po Kościele

KS. JACEK PRUSAK SJ

Dziś dla wielu katolików wiara w „jeden, święty, powszechny, apostołski Kościół” wystawiona została na poważną próbę. Jak wierzyć po filmie Sekielskich?

42 Jeszcze Unia nie umarła

OLAF OSICA

To może być początek nowej ery w dziejach integracji: powstania w Unii autentycznej i wspólnej przestrzeni politycznej, opartej na Parlamencie Europejskim.



76 Noc nad Madrytem

MICHAŁ OKOŃSKI

Jestem kibicem

Tottenhamu, a przecież czuję, że mogę po finale Ligi Mistrzów śpiewać hymn Liverpoolu.

Taka jest moja opowieść o kibicowaniu i taka jest moja opowieść o życiu, z którym kibicowanie się splata.



62 Wybuchło!

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Wybuchło nieoczekiwanie, bez zapowiedzi, kiedy wielu widzów było jeszcze pogrążonych w żałobie po starej, dobrej „Grze o tron”. „Najlepszy serial”, „arcydzieło”. To najnowszy miniserial „Czarnobyl”.

6 Nadzieja dla milionów
MARCIN ŻYŁA

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Młot o cadillacu
ROZMOWA Z PROF. MARIĄ THEISS

26 Kołysanki nad uchem
WOJCIECH BONOWICZ: *Ks. Józef
Tischner i homo sovieticus*

28 Wdech, wydech, Putin
OLGA SOLARZ: *Polki ćwiczą
„gimnastykę słowiańską”.
O co w niej naprawdę chodzi?*

■ ■ WIARA

32 Żaloba po Kościele
KS. JACEK PRUSAK SJ

35 Wewnętrzne życie Boga
ROZMOWA Z O. TOMASZEM
GAŁUSZKĄ OP, TEOLOGIEM

38 Sto procent Bergoglia
EDWARD AUGUSTYN:
*Papież pokazuje się takim,
jakim naprawdę jest*

■ ■ ŚWIAT

42 Jeszcze Unia nie umarła
OLAF OSICA

45 Matka Indie patrzy w prawo
TOMASZ AUGUSTYNIAK: *Indyjska
Partia Ludowa właśnie zmienia
politykę i społeczeństwo*

**49 Johnny Walker, amerykański
talib** WOJCIECH JAGIELSKI



TEMAT „TYGODNIKA”

12 Kłątwa króla Jarosława

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jeszcze tylko jednych wyborów brakuje,
by Jarosław Kaczyński mógł się intronizować
na króla Polski. Patrząc na wyniki eurowyborów,
można założyć, że wielkiego oporu społecznego
by nie było.

16 Efekt bazyliuszka

Z KAROLINĄ WIGURĄ ROZMAWIA RAFAŁ WOŚ:

Z liberałami po 2015 r. stało się to samo, co
z bazyliuszkiem, który spojrział w lustro i zamienił
się w kamień. Tak bardzo straszili autorytaryzmem
całej prawej strony, że sami się do niej upodobnili.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 41 SZYMON HOŁOWNIA

52 WOJCIECH BONOWICZ

75 PAWEŁ BRAVO 82 STANISŁAW MANCIEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: KAROLINA WIGURA

Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

■ ■ POŻEGNANIE

52 Przyjaciel z Rennes
HENRYK WOŹNIAKOWSKI
I KS. ADAM BONIECKI
wspominają Jacka Brzezińskiego

■ ■ HISTORIA

54 Witold, mój bohater
ROZMOWA Z JACKIEM
FAIRWEATHEREM: *Badając historię
Pileckiego zdałem sobie sprawę, jak
trudno czasem zrozumieć cierpienie
innych*

■ ■ NAUKA

58 Pożeracz seriali ŁUKASZ JACH:
*Wielogodzinne oglądanie seriali
przyciąga uwagę psychologów*

60 Literat w świecie kwarków
MICHAŁ ECKSTEIN: *Zmarł Murray
Gell-Mann, fizyk i noblista*

■ ■ KULTURA

62 Wybuchło!
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

**66 Chmura z żydowskich
pierzyn** DARIUSZ KOŚCIŃSKI:
*Spektakl Pawła Passiniego i Artura
Palygi to powrót do Jedwabnego*

69 To nam się podoba
PIOTR KOSIEWSKI *o krakowskim
Miesiącu Fotografii*

72 Uchodźcy z dzieciństwa
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Królowa Kier”

74 Scena naszego świata
LEKTOR *o książce „Demokracja.
Przedstawienia”*

■ ■ ZMYŚŁY

76 Noc nad Madrytem
MICHAŁ OKOŃSKI

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

Pracownicy pewnego koncernu od lat słyszą, że trzeba zaciskać
pasa. Jednocześnie widzą, jak kierownictwo spółki coraz mocniej i
mocniej sobie tego pasa popuszcza – o sprawie pisze **RAFAŁ WOŚ**
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Krajobraz po minister Zalewskiej [Podkast Powszechny]

O miejsca w szkołach średnich ubiega się dwa razy więcej uczniów niż
rok temu – w *Podkście Powszechnym* **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI**
opowiada o chaosie pozostawionym przez minister edukacji i jej zespół
ekspertów powszech.net/podkast-edukacja

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



OBRAZ
TYGODNIA

NADZIEJA DLA MILIONÓW

Genetycznie zmodyfikowane grzyby okazały się zabójczo skuteczną bronią przeciwko komarom. Zakończony właśnie eksperyment naukowy pozwala wierzyć w ostateczne pokonanie malarii.

MARCIN ŻYŁA

NIECZĘSTO DONOSIMY O WYDARZENIACH, KTÓRE mogą ulżyć dwóm miliardom ludzi. Właśnie tylu mieszkańcom regionów zagrożonych malarią daje nadzieję opisana w ubiegłotygodniowym numerze „Science” nowa metoda likwidacji przenoszących jej zarodźce komarów. To najlepsza od dawna wiadomość z frontu walki z tą chorobą – ale i zjawiskiem społecznym, które w niektórych miejscach świata utrudnia lub wręcz uniemożliwia rozwój.

W ostatnich latach próbowano różnych sposobów likwidacji komarów: zabijano ich larwy, osuszano stawy, nad którymi się rozmnażają, ingerowano nawet w ich życie seksualne – efekty były ograniczone. Teraz jednak naukowcy z Uniwersytetu Marylandu (USA)

i Instytutu Nauk o Zdrowiu (Burkina Faso) poszli o krok dalej: zmodyfikowali genom grzybów *Metarhizium pingshaense*, które w naturze infekują komary. Zrobili to tak, aby po przedostaniu się do organizmu komara grzyb produkował toksynę wytwarzaną w naturze przez pewien gatunek jadowitego pająka z Australii. Aby przetestować metodę w warunkach jak najbardziej zbliżonych do naturalnych, w Burkina Faso pod wielkimi namiotami zbudowano nawet „fałszywą” wieś. Wtarte w ciemny materiał zarodniki grzyba zadziałały jak broń biologiczna – zaraziły trzy czwarte komarów. To wystarczyło, by w ciągu zaledwie 45 dni wyginęła ich niemal cała populacja (z 1,5 tys. osobników przeżyło tylko 13). Grzyb

*Pierwszy dzień
szczepień
120 tys. dzieci
przeciw malarii.
Mitundu
w Malawi,
kwiecień 2019 r.*

zabił wyłącznie komary, oszczędzając inne owady.

Do ewentualnego zastosowania metody na terenach zamieszkałych droga jeszcze długa, jednak wyniki testu (wraz z pilotażowymi programami szczepień dzieci, które kilka tygodni temu ruszyły w Malawi, Ghanie i Kenii) oznaczają, że nauka znów jest w ofensywie. Skuteczność moskitier oraz spryskiwania pomieszczeń środkami owadobójczymi – najpopularniejszych i najtańszych metod profilaktyki – zaczęła być bowiem ostatnio coraz bardziej kwestionowana. Jak się okazało, komary potrafiły uodparniać się na działanie pestycydów, a nawet modyfikować swoje zwyczaje (np. częściej żerować na zewnątrz pomieszczeń mieszkalnych). Według Światowej Organizacji Zdrowia w 2017 r. na malarię zmarło 435 tys. ludzi – mniej więcej tyle mieszkańców ma Gdańsk. Zdecydowana większość ofiar żyje w Afryce Subsaharyjskiej; tu choroba jest wciąż odpowiedzialna za co czwartą śmierć dziecka.

Jednak malaria to nie tylko problem zdrowotny. Dziś choroba występuje głównie w państwach rozwijających się, o mniejszych dochodach (z innych terytoriów, np. południa Europy lub Stanów Zjednoczonych, pozbyto się jej stosując przez wiele lat kosztowne metody – m.in. odpowiedniej irygacji pól uprawnych). Niektóre badania dowodzą, że spowalnia rozwój całych społeczności i regionów. Choć dorosłych zabija znacznie rzadziej niż dzieci, lokalnie, zwłaszcza w pobliżu dużych zbiorników wodnych, może np. paraliżować rolnictwo. Straty gospodarcze, jakie przynosi państwom afrykańskim, mierzone są w miliardach dolarów. Wciąż też otwarte – choć czasem niepotrzebnie zadawane w klimacie spiskowym – pozostaje pytanie, czy gdyby malaria nie była chorobą „biednego Południa”, tak długo musielibyśmy czekać na skuteczną metodę jej likwidacji. ©P



MARCIN ŻYŁA
będzie gościem
Przemysława

Iwańczyk w Radiu TOK FM,
w czwartek 6 czerwca, godz. 15.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Pieczęć krzywdy a wymóg przejrzystości

PAWEŁ BRAVO



SCENARIUSZ NIESTETY JEST CIĄGŁE TEN SAM: Sponiewczasie okazuje się, że pozostawienie zbyt dużej władzy w ruchu społecznym jednej osobie – nawet jeśli to tzw. człowiek instytucja – to nie jest dobry pomysł. Nasz rozmówca Jakub Wygnański, znający jak mało kto świat stowarzyszeń i fundacji, słusznie przestrzega przed generalizowaniem gorzkiej lekcji, jaką wyciągamy w związku z ujawnieniem bulwersujących faktów dotyczących Marka Lisińskiego, do niedawna będącego niepodzielnym właścicielem ważnej organizacji wspierającej ofiary księży-pedofilów. Jednak w polskich wa-

runkach, gdzie na ogół szwankuje zaufanie do procedur, gdzie etyka przekonań zawsze miała przewagę nad etyką odpowiedzialności, nigdy dość powtarzania: ani charyzma, ani nawet swego rodzaju „pieczęć krzywdy” nie jest powodem, dla którego mielibyśmy nie domagać się na każdym kroku przejrzystości w rozliczeniach, fakturach i życiorysach. I warto to powtarzać, nawet gdyby nie zaistniały żadne wątpliwości co do tego, czy Lisiński mówi prawdę o tym, co go spotkało, i gdyby był taką właśnie ofiarą księdza, za jaką dotąd uchodził. ©P

JAKUB WYGNAŃSKI

Krach jako lekcja

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Skandal wokół Stowarzyszenia Wiośna, teraz afera w fundacji Nie Lękajcie Się. Żle się dzieje w organizacjach pozarządowych?

JAKUB WYGNAŃSKI: Pamiętajmy, że jest ich sto tysięcy, więc nie można generalizować. Dla tych, którzy nie wierzą w bezinteresowność, te afery będą potwierdzeniem, że nikomu nie należy wierzyć. Spójrzmy na to inaczej: zdarzają się nieprawy, pogubieni, nieostrożni ludzie, ale wartością pozostają współtworzone przez nich organizacje.

Ale w polskich warunkach organizacja to często jedna osoba.

Rzeczywiście niewiele mamy takich z autorytetem instytucjonalnym, zgodnie z zasadą: „dłużej klasztoru niż przeora”. Większość tych, które Polacy rozpoznają i reagują na nie pozytywnie, to organizacje oparte na liderze, nawet jeśli stoją za nimi duże struktury.

Czasami to ich siła, czasem gwóźdź do trumny.

Niekoniecznie: być może w Wiośni i NLS zadziałają wewnętrzne mechanizmy oczyszczania. Zresztą już jakoś zadziałały. Udało się zmusić do odejścia szefa NLS, rezygnację złożył ks. Stryczek. Udało się też rozłożyć władzę w Wiośni między członków stowarzyszenia, przeprowadzić Sza-



chetną Paczkę. Ale prawdą jest, że czasami mocne przywództwo kogoś, kto jest rozpoznawalny, „pali się z obydwu końców”, skupia w swoim ręku władzę, jest źródłem problemów.

Jaka płynie z tego lekcja? Zmiana prawa?

W świecie, w którym żyjemy, zapraszanie państwa do reakcji byłoby fatalnym pomysłem. Olbrzymią rolę mają tu do odegrania niezależne, rzetelne media. Ale takie zdarzenia to przede wszystkim lekcja dla nas. Lekcja podobna do tej, jaką przerabiamy w związku z kryzysem w Kościele: bierzmy odpowiedzialność! Nawet jeśli nasza organizacja to znajomi, przyjaciele, misja, w którą wszyscy wierzą, to powinniśmy zadawać pytania, czytać dokumenty, domagać się wpływu, projektować statuty w taki sposób, by brały pod uwagę różne scenariusze. Pamiętajmy: ludzie biorą w organizacjach pełnię władzy nie tylko dlatego, że tego pragną, ale też z tego powodu, że innym jest to na rękę. 30 lat temu uchwalono ustawę o stowarzyszeniach, która daje im autonomię działania, ale to oznacza też odpowiedzialność. ©P

JAKUB WYGNAŃSKI jest socjologiem, działaczem i współtwórcą wielu NGO-sów. Wielokrotnie nagradzany, m.in. (w ubiegłym roku) laurem im. ks. Józefa Tischnera.

Lekarze wyszli na ulice

KILKA TYSIĘCY LEKARZY, przedstawiciele innych zawodów medycznych i pacjentów przeszło 1 czerwca spod siedziby resortu zdrowia pod Sejm. Wzywali do radykalnego zwiększenia wydatków na ochronę zdrowia – do 6,8 proc. PKB. To postulat głódówki rezydentów sprzed dwóch lat, do spełnienia którego nie udało się zmusić rządu. Zwiększenie nakładów pozwoli skrócić kolejki do leczenia, finansować nowe terapie, uzupełnić braki kadrowe, co zapobiegnie kolejnym zgonom na dyżurach z przepracowania – przypominają lekarze. Nie wykluczają powrotu do wypowiadania klauzul opt-out (zgody na pracę więcej niż dopuszczalne prawem 48 godzin tygodniowo). Ta forma protestu – wobec niedoboru personelu – utrudnia albo wręcz paraliżuje pracę szpitali.

Niezadowolone lekarze podsyłała ostatnia nowelizacja kodeksu karnego: znacznie zaostrzono kary za nieumyślne spowodowanie śmierci w art. 155, z którego często odpowiadają lekarze oskarżani o tzw. błąd medyczny. Zaprotestowały izby lekarskie, zwracając uwagę, że lekarze będą się teraz bali podejmować ryzykowne działania, i że lepiej skupiać się nie na karaniu za błędy, tylko na ulepszaniu procedur tak, żeby do nich nie dochodziło. W piątek wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński uspokajał, że powstaną odrębne przepisy, które zapobiegają stosowaniu wobec lekarzy art. 155.

© MACIEJ MÜLLER

Co trzeci nastolatek ogląda patotrześci

„**D. BIJE MATKĘ**. Ostatnio złamał nogę, więc bije ją po głowie kulą ortopedyczną. Często potem z nią pije. I z kilkoma tysiącami obcych ludzi, bo wszystko idzie na żywo. To nowa polska specjalność na YouTube” – pisał niedawno na naszych łamach Krzysztof Story, przybliżając zjawisko patostreamingu: wpisów, komentarzy, a zwłaszcza wyświetlanych na żywo w internecie filmów. Z przymocą, pijaństwem, obrażaniem, upokarzaniem czy szantażowaniem innych ludzi. Na oczach widzów.

W tym nastolatków, nawet w wieku 13–15 lat, wśród których – wedle ogłoszonego niedawno raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę – aż 37 proc. było odbiorcami patotrześci (15 proc. regularnie). Większość z czterystu przebadanych przez Fundację twierdzi, że było to dla nich niepokojące doświadczenie. Podobnie większość uważa podobne treści za szkodliwe i zachęcające do patologicznych zachowań. Równocześnie jednak co trzeci pytany nastolatek stwierdził, że zamieszczanie takich nagrań to dobry sposób na zarobek. „Żadne pieniądze nie śmierdzą” – podsumował jeden z respondentów.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

SZYLD. „Koleżanki i koledzy, powinniśmy podziękować Panu Bogu, że był łaskawy i wyborcy zagłosowali na kandydatów PSL, bo żeby była jasność, ja głosowałem na Kalinowskiego, nie głosowałem na Koalicję Europejską” – mówi na ujawnionym przez siebie nagraniu z posiedzenia weekendowej Rady Naczelnej PSL Waldemar Pawlak. Choć ani wystąpienie, ani jego upublicznienie nie spotkało się w partii z entuzjazmem, Stronnictwo w wyborach parlamentarnych wystartuje prawdopodobnie w ramach nowego bloku: Koalicji Polskiej.



ADAM LACH / PRESS CLUB POLSKA

IKONA. „To opowieść o wolności, solidarności i niezależności. (...) To również świadectwo rosnącego udziału kobiet w życiu publicznym”. Tak Dom Spotkań z Historią, współorganizator (wraz z Press Club Polska) konkursu „Ikona 30-lecia – wolność i solidarność”, uzasadnił przyznanie nagrody Adamowi Lachowi, fotoreporterowi agencji Napo Images.

KONWENCJA. Powstaje gra wideo „Karol Wojtyła”, w której gracze mają odwieść młodego tytułowego bohatera od kapłaństwa. Na drodze stoją mu m.in. młoda zakonnica Bernadetta oraz koleżanka Teresa – obie pokazane w konwencji anime.



ŁUKASZ JACH

opowie o psychologii
pożeraczy seriali

(s. 58) Grzegorzowi Chłascie w środę 5 czerwca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie
– www.rdc.pl



OSSERVATORE ROMANO / AFP / EAST NEWS

Franciszek broni Jana Pawła II

W WYWIADZIE dla meksykańskiej telewizji papież odniósł się do zarzutów – które sam sprowokował niefortunna wypowiedzią w lutym tego roku – że Jan Paweł II wstrzymał dochodzenie przeciw ks. Marcialowi Macielowi, założycielowi zgromadzenia Legioniści Chrystusa i seryjnemu pedofilowi. Franciszek sprostował teraz, że śledztwo zablokowali urzędnicy kurii powołani do zbadania sprawy, a nie Jan Paweł II, „w którego świętość nikt nie powinien wątpić” (na zdjęciu: Franciszek przy grobie Jana Pawła II).

Rozwijając tę wątpliwość, Franciszek otworzył równocześnie pole do nowych spekulacji: usprawiedliwiając Jana Pawła II („mentalność obronna, uformowana za żelazną kurtyną”), dodał, że był on „z całą pewnością okłamywany” – co wraz z jego sformułowaniem z lutego o „dwóch partiach” w Watykanie (tj. tych, którzy próbowali wyjaśniać oskarżenia, i tych, którzy nie dawali im wiary) tworzy obraz instytucji, gdzie święty spokój, korporacyjna solidarność, przywileje, pieniądze czy luksusowe dobra byłyby ważniejsze od prawdy.

Powstaje więc pytanie o odpowiedzialność (raczej moralną niż prawną) najbliższych współpracowników Jana Pawła II za ludzką krzywdę. Bo chodzi tutaj przecież nie o wewnętrzkościelne rozgrywki, lecz o ciężkie, wielokrotne i latami skrywane przestępstwa.

© EDWARD AUGUSTYN

Więcej o wywiadzie papieża piszemy na stronie 38.

Papież na rumuńskich peryferiach

ZNAMNIENIEM TRZYDNIOWEJ PIELGRZYMKI PAPIEŻA do Rumunii na przełomie maja i czerwca było podróżowanie po peryferiach – geograficznych i społecznych. Franciszek pojechał do położonych na głębokiej prowincji w północno-wschodniej części kraju sanktuarium w Șumuleu Ciu i do Jassów. W Dzień Dziecka spotkał się tam z rodzinami i młodzieżą. W Bukareszcie, na spotkaniu z patriarchą Daniłem (na zdjęciu) i Synodem Świętym Rumuńskiego Kościoła Prawosławnego (do którego należy 86 proc. Rumunów) oraz podczas ekumenicznej modlitwy „Ojciec nasz” Franciszek prosił, aby Rumunia mogła być zawsze domem dla wszystkich, ziemią spotkań, ogrodem, w którym kwitnie pojednanie i komunika. W siedmiogrodzkim Blaju Franciszek beatyfikował siódmkę grekokatolickich biskupów zamęczonych przez komunistyczny reżim w latach 1950-70, spotkał się też z przedstawicielami rromskiej mniejszości, prosząc o przebaczenie w imieniu Kościoła i nawołując do wychodzenia poza stereotypy.



REMO CASILLI / REUTERS / FORUM

Wizyta cieszyła się zainteresowaniem wśród mieszkańców. – Papież jest ważną postacią, chcę być blisko niego. Lubię go jako człowieka – tłumaczyła Nicoletta, która przez kilka godzin czekała na trasie *papamobile*, by zobaczyć Franciszka. W Rumunii papież odprawił trzy msze, w każdej uczestniczyło około stu tysięcy wiernych różnych obrządków.

Pielgrzymka miała też znaczenie polityczne. W pierwszym półroczu 2019 r. Rumunia sprawuje prezydencję w Radzie Unii Europejskiej, do czego papież nawiązał podczas spotkania z władzami państwa, mówiąc o konieczności umocnienia struktur i instytucji zdolnych dać odpowiedź słusznym aspiracjom obywateli.

© MICHAŁ KŁOSOWSKI z Bukaresztu

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

FRANCISZEK I BENEDYKT.

„Problemem Benedykta są jego kolana, a nie umysł” – odpowiedział Franciszek, pytany przez dziennikarzy w drodze powrotnej z Rumunii o relację z papieżem emerytem. „Biorę jego rękę i pozwalam mu mówić. Mówi niewiele, w swoim własnym tempie, ale z taką samą głębią, jak zawsze” – opowiedział Franciszek, przyznając, że te częste spotkania dodają mu siły.



ARCHIDIECEZJA GNIĘZIŃSKA

MŁODZI NA LEDNICY. 60 tys. młodych ludzi przybyło na XXIII Spotkanie na Lednicy. Tym razem obyło się bez symbolicznych religijnych gadżetów, wokół których skupiały się spotkania w ubiegłych latach. Młodzi z wyciągniętymi rękami nad głowami kapłanów w geście błogostawieństwa prosili, by duchowni potrafili w godzinie próby dla Kościoła w Polsce stawać w prawdzie, pokorze i miłości. Wspomniano Światowe Dni Młodzieży w Panamie oraz pielgrzymkę Jana Pawła II do Polski w 1979 r. Tradycyjne przesłanie do młodych przekazał papież Franciszek.

STULETNI PROBOSZCZ.

Ks. Probo Vaccarini jest proboszczem małej wspólnoty wiejskiej w pobliżu Rimini we Włoszech, choć 4 czerwca obchodzi setne urodziny. Jest ojcem siedmioro dzieci – w tym czterech kapłanów. W wieku 69 lat jako wdowiec ukończył studia teologiczne i przyjął święcenia kapłańskie.

LICZBA TYGODNIA

40

procent Polaków negatywnie ocenia działalność Kościoła katolickiego – podał CBOS. To w ciągu dwóch miesięcy wzrost aż o 8 proc. i najwyższy wynik od 1995 r.

Wiele słów biskupa kieleckiego



ARTUR SPORNIAK

DIECEZJA KIELECKA BYŁA JEDYNĄ, NA TERENIE której księży nie odczytali 26 maja listu Rady Stałej Episkopatu odnoszącego się do filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. Biskup diecezjalny Jan Piotrowski postanowił, że napisze własny list, odczytywany tydzień później.

Ta decyzja o tyle była zrozumiała, że jedna z głównych bohaterów filmu została skrzywdzona jako ośmioletnia dziewczynka przez księdza z diecezji kieleckiej, a gdy zgłaszała ten fakt delegatowi biskupa kieleckiego, zламаł on przepisy kościelne, wyprasając osobę, która jej towarzyszyła. To ukazało, jak kielecki

Kościół jest nieprzygotowany na pomoc ofiarom. Można było się spodziewać osobistej reakcji biskupa na te wydarzenia.

Okazało się jednak, że biskup Piotrowski wybrał opcję „minimum”. Przeprosił, ale słowo „przepraszam” otulił m.in. usprawiedliwieniem: zły świat postrzega Kościół – „nośnik Prawdy i ewangelicznych wartości” – „jako przeszkodę, którą trzeba wyeliminować”.

List Rady Stałej przyznawał, że „nie ma słów, by wyrazić wstyd” biskupów. Biskup Piotrowski znalazł wiele słów, by rozwinąć problem pedofilii.

© P



ATHLETICA VATICANA

REPREZENTACJA WATYKANU po raz pierwszy uczestniczyła w Igrzyskach Małych Państw Europy. Watykańska drużyna (na zdjęciu: Camille Chenaux, Sara Carnicelli, ks. Vincenzo Puccio i Thierry Roch), zarejestrowana w styczniu, nie zdążyła jednak na czas z wszystkimi formalnościami i wystąpiła w roli obserwatora. Jak powiedział nam jej rzecznik, za dwa lata z pewnością będzie rywalizować z najlepszymi sportowcami z najmniejszych europejskich krajów. © P EA



HO / AFP / EAST NEWS

NAJMNIEJSZY WCZEŚNIAK. W szpitalu w kalifornijskim San Diego przyszło na świat dziecko ważące zaledwie 245 gramów (to nieco mniej niż waży kostka masła). Dziewczynka imieniem Saybie to najprawdopodobniej najmniejszy wcześniak, który przeżył; w chwili narodzin była wielkości jabłka. Lekarze zdecydowali się na cesarskie cięcie w 23. tygodniu ciąży, gdyż doszło do komplikacji. Miało to miejsce w grudniu 2018 r., a informację podano dopiero teraz – po tym, jak zdrowa i ważąca już 2,5 kg dziewczynka została wypisana do domu. Na zdjęciu: 5-miesięczna Saybie z pielęgniarką, jeszcze w szpitalu.

© P WP / DPA

Bukareszt: lider za kratami



PIOTR OLEKSY

W RUMUNII, KTÓREJ WŁADZE od 2016 r. podążały drogą konfliktu z Brukselą, doszło do politycznego trzęsienia ziemi. Najpierw w wyborach do Parlamentu Europejskiego rządząca Partia Socjaldemokratyczna (PSD) dostała 23 proc. głosów – co oznacza, że jej poparcie w ciągu trzech lat stopniało prawie dwukrotnie. Bardzo dobry wynik uzyskały Partia Narodowo-Liberalna, z której wywodzi się prezydent Klaus Iohannis (28 proc.), i nowa siła w tamtejszej polityce, którą jest koalicja ugrupowań proeuropejskich i antysystemowych – Związku Zbawienia Rumunii i Partii Plus (23 proc.). W odbywającym się równolegle referendum obywatele odrzucili rządowy projekt reformy wymiaru sprawiedliwości.

Następnego dnia rumuński odpowiednik polskiego Sądu Najwyższego podtrzymał wy-

rok 3,5 roku dla szefa PSD: Liviu Dragnea został skazany za fikcyjne zatrudnienie działaczek partyjnych, gdy był szefem samorządu w rodzinnej prowincji. W drodze do więzienia towarzyszył mu fetujący tłum. Dragnea, na którym wcześniej ciążył wyrok w zawieszeniu za wyborcze nadużycia, od chwili objęcia władzy próbował przejąć kontrolę nad wymiarem sprawiedliwości i związać ręce organom zwalczającym korupcję. Wywołało to potężny sprzeciw społeczny. Konflikt z Komisją Europejską pchnął go w stronę antyunijnego i konserwatywnego populizmu. Teraz, po upadku Dragnei, PSD bez wątpienia zmieni kurs w polityce europejskiej. Liderzy PSD wiedzą już, że w ich kraju polityka konfrontacji z Unią nie przynosi efektów. A przed nimi wybory prezydenckie i parlamentarne. ©

Polska-Izrael: dwie kampanie



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

CO WYDARZY SIĘ W IZRAELU PO 17 WRZEŚNIA? WYNIK powtórnych wyborów parlamentarnych – ogłoszonych po tym, jak Benjaminowi Netanjahu nie udało się stworzyć koalicji w Knesecie – jest trudny do przewidzenia. Ta bezprecedensowa sytuacja ujawnia dramatyczną sytuację kraju rządzonego przez silnego, lecz skompromitowanego polityka prawicy. „Magika”, który w lipcu osiągnie rekordową liczbę dni w roli premiera (4875), przebijając rekord Dawida Ben Guriona. Nawet jeśli Netanjahu znów wygra i tym razem utworzy koalicję, rządzić zacznie z wyjątkowo słabej pozycji. W październiku ma stanąć przed prokuratorem generalnym, w związku z oskarżeniami o korupcję i nadużywanie władzy, co zapewne skończy się procesem.

Czy fakt, że izraelskie wybory o miesiąc wyprzedzą te w Polsce, wpłynie na wykorzystanie wzajemnych fobii w obu kampaniach? Można sądzić, że Izrael w przedwyborczych debatach skupi się na swoich problemach (korupcji, bezpieczeństwie, wpływie ortodoksyjnej religijności na kraj), a Polska takim problemem nigdy tu nie była. Natomiast niekorzystne dla wzajemnych relacji będzie, jeśli wynik wyborów w obu krajach nie przyniesie zmiany. Politycy obecnych rządów udowadniaли już, że dla doraźnych korzyści są w stanie poświęcić nawet najlepsze partnerskie relacje – także te budowane z trudem od dekad. ©

Krym: nowy etap represji



ARCHIWUM PRYWATNE x2



LUTFIJE ZUDIJEWA ORAZ MUMINA SALIJEWA zostały w minionym tygodniu zatrzymane przez rosyjską bezpiekę i odstawione do sądu, który skazał je na grzywny. Obie kobiety to działaczki społeczności krymskotatarskiej; można powiedzieć, że są jej twarzami: prowadzą pracę informacyjną, pomagają więźniom i ich rodzinom (w kwietniu na Krymie było 86 więźniów politycznych). Za kratami przebywa też mąż Salijewej, członek religijnego ruchu Hizb-ut-Tahrir (jest on dzwolony na Ukrainie, a zakazany w Rosji, po aneksji aresztowano wielu jego członków).

Skazanie obu kobiet to nowy etap represji wobec Tatarów: dotąd uderzały one w mężczyzn, ale omijały kobiety, mające szczególną pozycję w społeczności tatarskiej; aż dotąd żadna nie została skazana. Tymczasem ostatnio wśród aktywistów tatarskich jest coraz więcej kobiet. „W zwyczajnych czasach jesteśmy chronione przez ojców i mężów. Ale czas, w którym żyjemy, nie jest zwyczajny. (...) W ciągu ostatnich 5 lat na Krymie zginęli wybitni aktywiści ruchu krymskotatarskiego, wielu zostało porwanych i zaginęło. Inni siedzą w więzieniach. Ktoś musi kontynuować tę walkę dobra i zła” – mówiła Zudijewa w wywiadzie, który opublikowaliśmy w „TP” (wywiad jest dostępny na: powszech.net/zudijewa). ©© WOJCIECH PIĘCIAK

Kafka w Jerozolimie

„**GDYBYM CHCIAŁ NAPISAĆ POWIEŚĆ**, a ta historia zdecydowanie ma taki potencjał, zakończyłbym ją sceną, w której Eva pali wszystkie dokumenty. W jakimś sensie byłoby to spełnienie ostatniej woli Kafki” – mówił w wywiadzie Benjamin Balint. Autor wydanej niedawno książki „Ostatni proces Kafki” był blisko toczącej się od lat – i zakończonej w minionym tygodniu – batalii o rękopisy autora „Procesu”.

Tuż przed śmiercią w 1924 r. Franz Kafka przekazał swoje papiery Maksowi Brodowi z poleceniem ich spalenia. Przyjaciel, który postanowił upamiętnić Kafkę, sprzeniewierzył się woli pisarza: zachował rękopisy. Uciekając w 1939 r. przed III Rzeszą do Palestyny, zabrał je i na-

stępnie ofiarował swej sekretarce Esther Hoffe z prośbą, by przekazała je wybranej instytucji akademickiej. Hoffe nie posłuchała. Gdy zmarła, kolekcja trafiła do jej córek, które chciały sprzedać część archiwum. To sprawiło, że między Niemcami i Izraelem zaczęła się prawna batalia o to, do kogo należy archiwum (siostra Kafki, jego spadkobierczyni, mieszkała i zginęła w Niemczech, więc państwo niemieckie rościło sobie prawa do spuścizny).

Trzy lata temu na to pytanie odpowiedział Sąd Najwyższy Izraela: rękopisy uznano za dobro narodowe tego kraju. Gdy zespół z Biblioteki Narodowej wszedł do mieszkania Ewy Hoffe, wyglądało ono jak „zniszczone przy użyciu broni biologicznej”: nie było prądu, wszędzie biegały karaluchy. W zeszłym tygodniu rękopisy ostatecznie trafiły do Jerozolimy.

© P MONIKA OCHĘDOWSKA

257 RYB Z WYMARŁEGO GATUNKU *Erismatopterus levatus*, głównie młodych osobników, pływających w zwartej formacji i uwiecznionych w skamieniałości sprzed 50 mln lat – na taki okaz etolog Nobuaki Mizumoto natknął się w japońskim Muzeum Dinosaurów prefektury Fukui. W opublikowanej w „Proceedings of the Royal Society B” analizie Mizumoto i współpracownicy przekonują, że to najwcześniejszy przykład tawicy ryb, który rzuca światło na ewolucję zachowań grupowych. © P ŁK



MIZUMOTO; MIYATA; PRATT / RSP / MAT. PRASOWE

Komórki macierzyste: produkcja masowa

STANOWIĄ KLUCZ DO MEDYCZYNY REGENERACYJNEJ, która w przyszłości może pozwolić na „naprawę” naszego ciała. Ale i dziś komórki macierzyste znajdują medyczne zastosowania. Zwłaszcza tzw. krwiotwórcze komórki macierzyste (HSC), podawane np. pacjentom z białaczką. Właśnie, po latach starań, nauczyliśmy się je wytwarzać w dużych ilościach. Dokonał tego zespół badaczy z Uniwersytetu w Tokio i Uniwersytetu Stanforda, pod kierunkiem Hiromitsu Nakachiego: pobrali pewną ilość HSC od myszy, poza jej organizmem w ciągu miesiąca wyhodowali z tej próbki aż 900-krotnie większą populację komórek i podali je innym myszom, u których rozwinęły się w komórki krwi. Organizmy biorców nie odrzuciły przeszczepu zapewne ze względu na dużą ilość podanych komórek.

Przełom w produkcji HSC umożliwiła zmiana składu roztworu, w którym je hodowano. Badacze zastąpili występujące naturalnie w krwi białko albuminę alkoholem poliwinylowym (to składnik klejów i kosmetyków). Nowa metoda nie została jeszcze przetestowana na ludziach, ale nic nie wskazuje, by u nas miała nie zadziałać. © P ŁUKASZ KWIATEK

Nasze drogie dzieci

NIE WYCZYTASZ TEGO W PODRĘCZNIKACH dla przyszłych rodziców ani z blogów parentingowych, gdzie macierzyństwo to pasmo uniesień u boku rozkosznego bąbelka. O tym, że bąbelek będzie jeść za dwóch, chorować, rosnać na złość gardeł, a gdy stanie się bąblem w wieku szkolnym, wyruszy do stosownej placówki, obkupiony w akcesoria za grube setki złotych – o tym cukierkowa wizja rodzicielstwa milczy. Ekonomisci Centrum Adama Smitha szacują, że utrzymanie (lub, jak kto woli, wychowanie) dziecka do 18. roku życia kosztuje minimum 190 tys. zł. Za dwójkę przyjdzie zapłacić ok. 350 tys. zł.

Jednak wśród opowieści o problemach finansowych Polaków rzadko słychać tę o zwykłej rodzinie z, powiedzmy, dwójką dzieci. Pozornie zadowolonej z życia, bez problemów zdrowotnych, za to z kredytem hipotecznym i dziećmi w prywatnych szkołach, do których wypchnęły je z tych publicznych reformy minister Zalewskiej. To codzienność w rytm kolejnych wyliczeń (czytaj: wyrzeczeń), by po opłaceniu rachunków starczyło na wszystko, czego nie powinno zabraknąć w szczęśliwym dzieciństwie. To codzienność klasy średniej w kraju, gdzie kolejne rządy od lat obiecują zerowy VAT na produkty dla dzieci. © P MAREK RABJ

KULTURA W SKRÓCIE

POŻEGNANIE. W wieku 72 lat zmarł pisarz i wieloletni redaktor „Nowej Fantastyki” Maciej Parowski. Debiutował w tygodniku „Na Przelaj”. Był autorem opowiadań, powieści i scenariuszy komiksów. W 2007 r. odznaczony srebrnym medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Zawsze w centrum wydarzeń polskiego fandumu – na konwentach, zlotach, spotkaniach autorskich. Dzielił się doświadczeniem i zarażał kolejne pokolenia miłośników do fantastyki.



MARIUSZ GREKOWICZ / PORTAL TATRZAŃSKI

DENTYSTKA. Tymczasem bohaterem sztuk wizualnych nad Wisłą został ząb. Media obiegło zdjęcie wnoszonego na Giewont wielkiego trzonowca. Akcja (na fotografii powyżej) okazała się performansem japońskiej artystki Makiko Yamamoto, a źródłem inspiracji – japońskie legendy. Artystka przyjechała na zorganizowaną w Poznaniu Wystawę Sztuki Współczesnej „Celebration”, poświęconą stuleciu relacji polsko-japońskich. Prace Yamamoto będzie można obejrzeć także na wystawie „Mono no aware” w galerii TRAFO w Szczecinie.

LAJKONIK. Odbył się 59. Krakowski Festiwal Filmowy. Złotego Lajkonika w Konkursie Polskim dostał Grzegorz Paprzycki za film „Mój kraj taki piękny”. Złotego Smoka za najlepszy krótki metraż wręczono Izabeli Plucińskiej za „Portret Suzanne”. W Międzynarodowym Konkursie Filmów Dokumentalnych zwyciężyła „Adwokatką” Rachel Leah Jones i Philippe’a Bellaiche’a. Za najlepszy w kategorii DocFilmMusic uznano film „Była sobie Aurora” Stiana Servossa i Benjamina Langelanda.

KLĄTWA KRÓLA JAROSŁAWA

Jeszcze tylko jednych wyborów brakuje,
by Jarosław Kaczyński mógł się intronizować na króla Polski.
Patrząc na wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego, można założyć,
że wielkiego oporu społecznego by nie było.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

JEST TYLKO JEDEN ZWYCIĘZCA WYBORÓW EUROPEJSKICH. To Jarosław Kaczyński. Wszyscy inni je przegrali, bez względu na to, co mówią i jakie miny do tego robią.

Kaczyński nie tylko pokonał zlepek antypisowskich partii lewicowo-liberalno-konserwatywnych, czyli Koalicję Europejską. I to niemal o 7 punktów, choć nawet wewnętrzne sondaże PiS pokazywały prowadzenie rządu 2-3 punktów.

Nie tylko uniemożliwił przekroczenie prognozy nacjonalistycznej Konfederacji, która w przyszłości mogłaby się stać groźną, atakując go za luki w patriotyzmie, uległość wobec Żydów i bycie lokajem Ameryki. Nie tylko wyśrubował wynik PiS do ponad 45 proc., czego jeszcze nigdy w żadnych wyborach nie udało się żadnej partii – i co rozbudza jego wielki apetyt na własną większość konstytucyjną po wyborach na jesieni.

Przed wszystkim Kaczyński zdjął z siebie klątwę.

Wszystkie mity o prezesie

Wybory europejskie obaliły wszystkie mity dotyczące Kaczyńskiego i PiS. Od wielu lat – a może nawet od początku istnienia PiS – prezes przed wyborami łagodził, starał się przesunąć do centrum, przywdziewał nawet swego czasu beżowe sweterki, by pozować do ustawianych sesji w kolorowych magazynach. Miało to gwarantować większe poparcie, także ze strony tej części elektoratu, która miłuje pokój.

Tym razem było dokładnie odwrotnie, czyli prawdziwie. Prezes był sobą – atakował i grał na negatywnych emocjach. Straszyl: elektorat konserwatywny – LGBT; uboższych – przyjęciem euro (czyli jego zdaniem „drożyzną”); a wszystkich – odebraniem 500 plus w razie zmiany władzy.

Choć nigdy nie żył życiem przeciętnego Polaka, potrafił się obسادzić w roli obrońcy interesów przeciętnych wyborców – i tych socjalnych, i tych kulturowych. Interesów, rzecz jasna, potężnie zagrożonych przez wrogie siły.

Do tego każdym gestem pokazywał, że konkurentami politycznymi po prostu gardzi, sugerując, że opozycja to sojusznicy złodziei lub też w innym wariacie sterowane z zagranicy marionetki. Mimo to wygrał, i to z rekordowym poparciem. Tak upadł mit pierwszy.

W wyborach do PE zagłosowało 45 proc. Polaków. To wynik mniej więcej dwa razy wyższy niż zazwyczaj. Kolejny obalony mit: wyższa frekwencja szkodzi PiS. W tych wyborach ewidentnie PiS na frekwencji zarobił, mistrzowsko mobilizując – prośbą i groźbą – swój elektorat.

Trzeci mit, najnowszy: po wyborach samorządowych opozycja jest na fali, a wybory europejskie to jej poletko, więc i szanse na sukces rosną niepomierne. Szkopuł w tym, że po mobilizacji elektoratu antypisowskiego z czasu wyborów samorządowych niewiele zostało. W pierwszej turze wyborów samorządowych – kluczowej z punktu widzenia przegranej PiS w miastach – do urn poszło prawie 55 proc. Polaków. Teraz zagłosowało ich mniej, Koalicja Europejska nie była ich w stanie zmobilizować. Widmo PiS u własnych drzwi ich wystraszyło, widmo PiS w Brukseli nieszczególnie.

Kampania była niebywale niewygodna dla PiS, choć wcale nie ze względu na europejską tematykę wyborów. Pojawiły się w niej tematy, które jeszcze parę lat temu zmiotłyby każdego premiera i dowolny rząd. Były „taśmy Kaczyńskiego” (ukazujące prezesa jako rzutkiego biznesmena chcącego wybudować wieżowiec), pojawiły się ponownie wątpliwości wokół majątku Morawieckiego (działki nabyte na Dolnym Śląsku), był strajk nauczycieli (czyli środowiska ważnego społecznie), a w finale film braci Sekielskich obnażył pedofilię w Kościele (który wszak jest jednym z fundamentów rządów PiS).

Kaczyński tę nawałnicę przetrzymał. Taśmy ukrył za strumieniami pieniędzy, zwanych nie przypadkiem na jego cześć „piątką Kaczyńskiego”, w sprawie majątku premiera rzucił ➔



ZYGMUNT JANUSZEŃSKI

→ pomysł większej jawności, którego wcale nie musi wprowadzić w życie (podobnie z rządową komisją w sprawie pedofilii). A nauczycieli widowiskowo zignorował i przetrzymał, aż pękli z obawy przed wściekłością rodziców.

Patrzac na rekordowe wyniki PiS, kto wie, czy sprzeciw wobec powierzenia królewskich insygniów Kaczyńskiemu byłby liczny i gorący. Na pewno nie na Podkarpaciu czy Mazowszu, gdzie poparcie przekroczyło 60 proc.

Opozycja nie odrobiła lekcji

– Mam wrażenie, że opozycja w ogóle nie przeanalizowała wyników wyborów samorządowych – mówi mi polityk PiS z Kancelarii Premiera. – Poprzestali na euforii, że dali nam łupnia w dużych miastach i wygrali kilka sejmików. Myśleli, że to lawina i wybory europejskie będą następnym krokiem. Ale wystarczyło poczytać, jak zmieniły się wyniki w powiatach między wyborami parlamentarnymi (2015) i samorządowymi (2018). Zdecydowanie wzrosła liczba powiatów, w których wygraliśmy. W wyborach europejskich jeszcze tę liczbę zwiększyliśmy. I to jest prawdziwa tendencja – przekonuje.

Opozycja nie odrobiła wielu lekcji. Przegrała w dużej mierze przez pychę. No bo jak ocenić strategię obliczoną – a jakże! – na straszenie Kaczyńskim, skoro suweren nie tylko się prezesa nie lęka, ale wręcz przed nim klęka? Drobnym przykładem, pokazującym, że strach przed Kaczyńskim ustąpił miejsca magii Kaczyńskiego. W dotychczasowych wyborach bywało tak, że wyborcy PiS mieli inne gusta od prezesa i zamiast kandydatów otwierających listy, wybierali tych z dalszych miejsc. Tym razem – po raz pierwszy – do Parlamentu Europejskiego weszły wszystkie bez wyjątku „jedyńki” wskazane przez Kaczyńskiego. Gdy na Pomorzu sondaże pokazywały przewagę wiceministra kultury Jarosława Sellina nad liderką listy, była szefową Anną Fotygą, wystarczyło jednodniowe tournée Kaczyńskiego po regionie i wyniki się odwróciły.

Nie ma się co dziwić, że przy takich nastrojach wyborcy nie kupili formuły zjednoczenia się opozycji opartej na chęci odsunięcia PiS od władzy. Nie widać żadnej nowej wartości wyborczej po połączeniu PO, PSL, SLD i Nowoczesnej. Wcześniejsze, samodzielne wyniki tych ugrupowań w wyborach w ciągu ostatnich lat są wyraźnie lepsze od ich zsumowanego rezultatu w Koalicji Europejskiej. Oczywiście, ważna jest specyfika wyborów i dynamika konkretnej kampanii. Oczywiście, zapewne trochę dawnych głosów zabrała Koalicji Europejskiej lider Wiosny Robert Biedroń. Nie zmienia to faktu, iż Grzegorz Schetyna właśnie dostaje lekcję, że elektoraty łatwo się nie dodają.

Pojedynek bokserów

Ale powiedzmy sobie szczerze: był to pojedynek bokserów zupełnie innych kategorii wagowych. I nie jest to akurat przytyk do politycznych talentów Schetyny. Chodzi o to, że PiS chłodno i bezwzględnie wykorzystał przywileje, które ma jako partia władzy, do podrasowania swoich wyników.

Po pierwsze: budżetowe pieniądze. Od wiosny Kaczyński realizuje największy w dziejach Polski program kupowania gło-

Twardy styl rządów, któremu towarzyszy rozdawanie gotówki i propaganda TVP, dostał od suwerena zielone światło.

W PiS panuje przekonanie co do słuszności linii partii i państwa.

sów. Tym razem na kilkadziesiąt godzin przed głosowaniem emeryci i renciści dostali swe „trzynastki”. Niektórzy sądzą zresztą, że to podarek na zawsze, choć na tę chwilę jest to tylko jednorazowa „kielbasa wyborcza”.

Tuż przed wyborami do Sejmu do kieszeni rodziców trafi 500 zł na pierwsze dziecko, z wyrównaniem od lipca, a zatem 1500 zł-2000 zł. Po nowym roku wyższa będzie płaca minimalna (to akurat nie rząd nie kosztuje), w szybkiej perspektywie ma się też pojawić 500 zł dla dorosłych niepełnosprawnych.

Do tego drugi element państwa, grającego unisono z interesem PiS – media narodowe. To „osłona medialna”, jak kie-

dyś w rozmowie ze mną Kaczyński określił potrzebę posiadania kontroli nad TVP, Polskim Radiem i Polską Agencją Prasową. Finansowane z abonamentu i z dopłat z budżetu państwa (czyli z pieniędzy nas wszystkich) media publiczne stały się bezwzględnym ochroniarzem PiS. Leją tych, którzy stanowią polityczne zagrożenie, i chronią PiS, gdy partia wpada w kłopoty. Niektóre tematy niewygodne dla PiS ignorują, inne wypaczają, a jeszcze inne wykorzystują do ataku na opozycję.

Tylko że wszystko to nie jest dla polityków żadną tajemną wiedzą. Było wiadomo, że Kaczyński przed maratonem wyborczym 2018/20 użyje publicznych pieniędzy, narodowych mediów – i dołoży jeszcze akcje służb zatrzymujących ludzi kojarzonych z opozycją – by poprawić swoje szanse. A zatem opozycja okazała się niezdolna do chłodnej analizy realiów, w jakich działa. I nie potrafiła znaleźć antidotum na tę hegemonię PiS.

Wojna wewnątrz Koalicji

Zawiodły strategiczne myślenie i kampanijna strategia. Nie było wspólnego minimum programowego w sprawach krajowych, a było widać gołym okiem, że Kaczyński ma w nosie rozmowę na temat Europy i sprowadza wybory do kwestii krajowych właśnie. Dlatego, gdy prezydent Warszawy z PO podpisywał z mniejszościami kartę LGBT, a jego zastępca z Nowoczesnej sugerował adopcję dzieci przez gejów, konserwatywni ludowcy z PSL rwali włosy z głów. Bo Kaczyński i TVP wykorzystywali te różnice do ataku na ich wiejskie, wyborcze latyfundia. Ataku skutecznego.

Gdy niesieni falą filmu Sekielskich lewicowcy i niektórzy co zagorzalsi liberałowie z KE nabrali ochoty na całociową rozprawę z Kościołem, ludowcy musieli lawirować, by ratować resztkę poprawnych relacji z proboszczami. Gdy Kaczyński ogłaszał kolejne transfery finansowe, liberałowie z KE wieszcyli upadek państwa, za to lewica z KE niechętnie przyznawała mu rację, bo sama chciałaby tak rozdawać. Gdy straszył euro, to choć Koalicja Europejska się od wspólnej waluty oficjalnie dystansowała, jednak zawsze znalazł się jakiś Włodzimierz Cimoszewicz, któremu do euro było spieszno. Tę wylizankę można ciągnąć jeszcze długo.

Szwankowały nawet drobne sprawy, z których żadna na poróżnienie nie była przesadnie groźna, ale wszystkie razem wywoływały wrażenie chaosu. Każda z partii tworzących KE promowała tylko swoich kandydatów, a pieniądze były dzielone we-

dług nieprzejrzystych kryteriów – trafiały do tych, których liderzy lubili bardziej. Wewnętrzna walka między kandydatami na listach to standard, ale w przypadku KE przekroczyła granice dobrego smaku i zaczęła szkodzić formacji. Polityczni emeryci, którym Schetyna dał wiele miejsc na listach: Cimoszewicz, Leszek Miller, czy nawet Ewa Kopacz – nie okazali się lokomotywami wyborczymi. Ba, często praktycznie nie prowadzili kampanii. Za to wiele osób z niższych miejsc – Elżbieta Łukacijewska, Danuta Hübner, Bartosz Arłukowicz – zdobyło mandaty własną pracą, wbrew Platformie i Koalicji. To oznacza podstawowe błędy w układzie miejsc na listach.

Coraz więcej wiadomo też o pracy obu kampanijnych sztabów, PiS i KE. Pierwsza ekipa uważana jest za profesjonalną, druga niekoniecznie. A to oceny z branży badań i reklamy, gdzie PiS nie jest szczególnie popularny. – Byłem w szoku, kiedy trafił do mnie brief od PiS [czyli materiał, w którym zamawiający przedstawia własne oczekiwania co do badania – red.]. Zajmuję się tym całe lata, pracuję w bardzo dużej firmie, ale tego zlecenia nie bylibyśmy w stanie sami zrealizować. To był projekt ogromnych badań jakościowych, tzw. fokusów w całej Polsce na rozmaite tematy. Wszystko po to, żeby sprawdzić nastroje i wychwycić te kwestie, które ludzie poruszają – opowiada mój rozmówca, członek kierownictwa dużej sondażowni. Podobne informacje dobiegają do mnie z firm zajmujących się wynajmowaniem billboardów. O profesjonalizmie kampanii KE ci sami ludzie nie mówią dobrego słowa.

Łączenie i dzielenie opozycji

I co dalej? To kwestia kluczowa. Po stronie władzy wszystko jest jasne. Twardy styl rządów PiS, któremu towarzyszy rozdawanie gotówki i codzienna propaganda TVP, dostał od suwerena zielone światło. Oczywiście, trudno przewidzieć polityczną przyszłość, nawet na kilka miesięcy do przodu, ale na tę chwilę w PiS panuje przekonanie co do słuszności linii partii i państwa. W czasie przygotowań do rekonstrukcji – wszak pół rządu zostało europosłami – potencjalnych kandydatów spoza polityki kuszone nie perspektywą półrocznego urzędowania, tylko kontraktem na całą kolejną kadencję.

A co z opozycją? Na początku był jeden wielki bałagan. „Ten pomysł na przyszłość jest, tylko trzeba go dobrze znaleźć i wiedzieć, z kim go szukać” – ten cytat z wystąpienia Grzegorza Schetyny po ogłoszeniu poniedziałkowych wyników przejdzie do historii. Pokazuje zdumienie, zagubienie i brak pomysłu polityka, który przecież chce na jesieni zostać premierem (zgodnie z obyczajem pretendentów, właśnie wydał autobiografię).

Jedynym pomysłem Schetyny było początkowo przekonywanie, że za porażkę opozycji odpowiada Robert Biedroń, bo nie chciał dołączyć do Koalicji Europejskiej. A jedyną receptą zapowiedzi (groźby?), że Koalicję jeszcze rozszerzy. A zatem receptą na porażkę Koalicji Europejskiej ma być jeszcze więcej Koalicji Europejskiej. Trudno to uznać za racjonalny polityczny plan, raczej to doraźne hasła zdruzgotanego polityka, który musi coś mówić mediom i zawiedzionym wyborcom.

Prawie przesądzone jest pozostanie w Koalicji SLD. Z jednej strony lewica jest zadowolona, bo uzyskała aż pięć mandatów w PE – głównie dzięki głosom wyborców PO.

Tarcia między elektoratami PO i SLD nie są wielkie, od lat zresztą Platforma jest partią drugiego wyboru dla stronników

Sojuszu. Inna rzecz, że SLD to w tej chwili partia mała, która samodzielnie w polityce roli już nie odegra. A i klimat dla lewicy nie jest dziś w Polsce najlepszy, o czym przekonał się Robert Biedroń, który zderzył się ze ścianą.

Mimo że lider Wiosny buńczucznie odtrąbił po wyborach sukces, to żadnego sukcesu nie odniósł. Około 6 proc. nowego ugrupowania to ma być dużo? A Janusz Palikot i jego 10 proc. – z Biedroniem na pokładzie – w 2011 r.? A Paweł Kukiz ze swymi niemal 9 procentami w 2015 r.? A Ryszard Petru z nieomal 8 proc. w tym samym roku? Biedroń na razie obnosi się z niezależnością, ale im bliżej wyborów, tym większe będzie miał kłopoty.

Jednak naciskanie na Wiosnę w sprawie jej mariażu z Koalicją Europejską wcale nie musi być rozwiązaniem roztropnym. Bo naprawdę w polityce 2+2 rzadko równa się 4.

Kac w PSL

Zresztą tego już na pewno ludowcy nie wytrzymają. Już dziś, po kampanii z liberałami i lewicą, mają potężnego kaca. Jeszcze przed ogłoszeniem oficjalnych wyników zaczęli wysyłać sygnały, że się ewakuują.

Kiedy wiosną podejmowali ryzykowną decyzję o dołączeniu do Schetyny, Czarzastego i Lubnauer, już wówczas byli podzieleni, choć otoczenie Władysława Kosiniaka-Kamysza i on sam popierali integrację opozycji. Dziś nawet Kosiniak-Kamysz i jego ludzie są skłonni powiedzieć koalicji anty-PiS „żegnaj” i szukać własnego pomysłu na wybory sejmowe. Jakiej? To na razie enigma. W grę wchodzi lista partyjna PSL, bo dla koalicji próg wyborczy jest wyższy (8 proc.), a tego już na pewno ludowcy nie przeskoczą. Liderzy PSL kombinują, by doprosić na ową listę małe partie konserwatywne albo popularnych →

POŻEGNANIE

29 maja 2019 roku po długiej,
z odwagą przeżywaną chorobie,
zmarł w Rennes

Jacek Brzeziński

wieloletni współpracownik prezesa Ouest-France
François Régis Hutina,
członek zarządu Stowarzyszenia
Europe Presse Solidarité,
człowiek, na którego wsparcie zawsze mogliśmy
liczyć, wierny, lojalny i skuteczny przyjaciel,
któremu wiele zawdzięczamy.
Oby radował się życiem wiecznym tak,
jak cieszył się doczesnym.

Rodzinie Jacka składamy
wyrazy najgłębszego współczucia

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO”
I WYDAWNICTWA ZNAK

→ samorządowców, zwłaszcza na zachodzie kraju, gdzie są słabi. Może razem z PO i SLD wystartują do Senatu, ale to pragmatyka: w senackich wyborach obowiązuje ordynacja jednomandatowa i kandydaci mniejszych ugrupowań nie mają praktycznie żadnych szans.

– Dziwię się Kosiniakowi – mówi mi bliski współpracownik premiera. – Po wyborach samorządowych powinien zacząć grać na dwa fronty. W niektórych regionach koalicja z PO, w innych z nami.

– Może za ostro go zwalczaście? Kaczyński bywał brutalny, grał na eliminację PSL – zauważam.

– To jest polityka. On też kopał nas po kostkach. Teraz widać, że za bardzo się związał z Platformą i na pół roku przed wyborami do Sejmu znalazł się w pułapce.

Współpracownik szefa PSL: – Jesteśmy w trudnej sytuacji, ale gdybyśmy nie kandydowali w Koalicji, to w wyborach europejskich na pewno nie przekroczylibyśmy progu.

Co z tym Tuskiem?

To na pewno pod adresem lidera PSL mówił Donald Tusk, komentując w Brukseli wyniki wyborów: – Gdybyście mieli się podzielić, zastanówcie się trzy razy, czy na pewno podzieleni macie pomysł na zwycięstwo.

Obaj panowie mieli przed wyborami szczególne relacje, które jednak kampania nadwątlili. Lider PSL miał pretensje do Tuska za to, że nie odciął się od wystąpienia Leszka Jażdżewskiego, który miał zapowiadać przemowę Tuska w Warszawie w Święto Konstytucji, a skradł mu *show* swym antyklerykalizmem. – Tusk miał się od tego zdystansować podczas kolejnego występu, w Poznaniu. Obiecał to Władcowi – opowiada mój rozmówca z PSL. Jednak Tusk tego nie zrobił. Akurat policja zatrzymała antyrządową aktywistkę Elżbietę Podleśną za rozklejanie obrazków Matki Boskiej w tęczowej aureoli, a Tusk stanął w jej obronie.

W finale, już po wyborach, Kosiniak wypalił: – Donald Tusk bardziej zmobilizował wyborców PiS niż Koalicji Europejskiej.

Czy jest jeszcze w polskiej polityce miejsce dla Tuska? Na pierwszy rzut oka wyniki wyborów pokazują, że nie, jednak suweren niemal koronował Kaczyńskiego. Przewodniczący Rady Europejskiej nie wydawał się zdziwiony tak wyraźną porażką opozycji, a może po prostu jest lepszym graczem i nie okazuje emocji.

Mówił: – To, co jest absolutnie niezbędne, żeby serio myśleć o zwycięstwie: ono jest zawsze możliwe. Życie mnie nauczyło, że przegrywają tylko ci, którzy uwierzyli, że przegrają. Trzeba szukać ludzi nie tylko w dużych miastach i nie tylko w partiach politycznych, ale wyjść daleko szerzej. Trzeba także szukać – raczej wśród ludzi niż organizacji – autentycznego poparcia, autentycznych emocji.

Napięcie między PiS a Tuskiem wciąż jednak jest potężne. Rząd tak przygotował rekonstrukcję, by nałożyła się na jego występ w Gdańsku z okazji rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r. – Sygnały ze strony PiS, że „już po Tusku”, traktuje jako mało elegancki, ale wciąż komplement, że mają problem – stwierdził były szef PO.

Ale tylko on jeden wie, czy naprawdę mają się czego bać.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Efekt bazyliuszka

KAROLINA WIGURA:

Z liberałami po 2015 r. stało się to samo, co z bazyliuszkiem, który spojrział w lustro i zamienił się w kamień. Tak bardzo straszliły autorytaryzmem całej prawej strony, że sami się do niej upodobnili.

RAFAŁ WOŚ: Opozycja poszła do wyborów pod sztandarami zjednoczonego obozu antypisowskiego. Czy to jest koniec tego politycznego pomysłu?

KAROLINA WIGURA: Koniec? Może zaczniemy od tego, że sama idea zjednoczonej opozycji była moim zdaniem dobrym pomysłem.

Ciekawe. Bo moim zdaniem pomysł był fatalny. Tłumił ideową różnorodność, usypiał intelektualny ferment, bo najpierw odsunęmy PiS, a potem się zobaczy. A poza tym zwiększał polaryzację i manichejskie postrzeganie polityki w ramach systemu „my” kontra „oni”. „Dobro” kontra „zło”.

I ja miałam swoje wątpliwości. Ale w pewnym momencie zobaczyłam w projekcie Koalicji Obywatelskiej czy potem Europejskiej szansę na wyjście z impasu. Wreszcie politycy zostali zmuszeni do wykonania jakiegokolwiek wysiłku. Musieli się jakoś „ucentrować”. Był tam potencjał na to, aby wyszła z tego trafiona oferta dla wielu tzw. przeciętnych wyborców. Chodzi mi o tych, co nie żyją na co dzień polityką i są zajęci swoimi sprawami oraz ciężką pracą. Ale jednocześnie chcieliby zagłosować na kogoś, kto wydaje się im – powiedzmy – mało groźny.

Wychodzi z tego, że Pani zdaniem Koalicja była ofertą dla Polaków symetryzujących? To znaczy takich, którzy nie chcą się zapisać ani do drużyny pochlebców „dobrej zmiany”, ani do grona tych, co twierdzą, że mamy w Polsce dyktaturę. Pytam, bo w szatach KO czy potem KE widzę cały czas radykalny anty-PiS. Tyle że osadzony na szerszej podstawie partyjnej. Platforma Obywatelska z przystawkami.

Ja patrzyłam na to inaczej. Liczyłam, że Koalicja będzie takim mechanizmem, który uzupełni polityczny plan opozycji. Ten plan sprowadza się od roku 2015 do hasła „odsunąć PiS od władzy”. Pod

KAROLINA WIGURA

jest historyczką
idei i socjolożką.
Współzałożycielka
i do dziś jedna
z najważniejszych postaci
w środowisku „Kultury
Liberalnej”. Pracuje
również w Instytucie
Socjologii UW.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „JP”

wpływem działań PiS został słusznie uzupełniony o wątek „obrony praworządności”. Od dawna widzimy, że to jest za mało. Na dodatek to projekt do bólu reaktywny. Aby mógł kiedykolwiek wygrać, musiałby zostać uzupełniony o elementy, które nazwałabym symetrycznymi, co w rzeczywistości znaczy: republikańskimi.

To znaczy?

Różnymi wizjami przyszłości. Polska ekologiczna. Polska dobrej szkoły. Polska dobrej służby zdrowia. Polska przewidywalnych emerytur. I tak dalej. Gdyby zbudowanie takiego programu było możliwe, to myślę, że on mógłby wygrać. I nadal chyba może wygrać.

Alte jakoś nie wygrywa.

Bo zbyt mocno tkwi w antypisizmie, a zbyt mało myśli o państwie wielu pokoleń. Dla ludzi Koalicja Europejska to projekt sprowadzający się do jednej podstawowej rzeczy: do zastąpienia „ich” „nami”. Bo „my” to się nadajemy. A „oni” nie. Warto może zauważyć, że z tego punktu widzenia 38 proc. w ostatnich wyborach to wysoki wynik.

**PiS to wyśmiewa, nazywając opozycję obozem „żeby było tak, jak było”.
Może nie bez racji?**

Faktycznie. Nie mogę udawać, że po stronie liberalnej opozycji nie ma takiego myślenia. Podkreślę jeszcze raz, że mówię

to z żalem. Bo się na dorobku wielu starszych liberałów wychowałam. Nie tylko ja, ale całe moje środowisko. Dlatego boli mnie, gdy widzę, jak wieloma moimi dawnymi mentorami kieruje dziś strach.

Piszą, że „żał im Polski, którą psuje Kaczyński”.

A ja coraz częściej obawiam się, że to jest strach o coś innego. Strach o to, że przestali być słuchani. Że stracili ten swój rząd dusz, który tak długo dzierżyli i od którego się chyba uzależnili. To jest strach przed utratą roli intelektualnego i ostatecznego politycznego arbitra w sprawach publicznych. W jakiejś mierze strach przed byciem niepotrzebnym. Po ludzku ja te obawy rozumiem, ale z niepokojem patrzę, jak bardzo się w tym strachu zapamiętują. I robią to ludzie, którzy w przeszłości byli dla mnie intelektualnymi drogowskazami.

À propos środowiska „Kultury Liberalnej”, które Pani od dekady współtworzy: po 2015 r. nie stanęliście w szeregu antypisowskiej opozycji. Zaczęliście symetryzować. Jaka była reakcja na tę „zdradę”?

Nie może być mowy o żadnej „zdradzie”. Robimy to samo, co zawsze, jesteśmy środowiskiem niezależnym, ze wszystkimi konsekwencjami. Po 2015 r. strona opozycyjna zaczęła niebezpiecznie dryfować w stronę lustrzanego odbicia PiS. Nagle niezależność środowisk przestała być

w cenie. Niektórzy przy tym myślą, że środowiska intelektualne to jakieś przybudówki do partii. Tak nie jest. My robimy swoje – poza tym światem – i jest nam z tym dobrze. Jedni przestali nas poklepywać po plecach, ale w to miejsce pojawili się nowi czytelnicy. Dziś jest na szczęście tak, że jako środowisko możesz istnieć poza duopolem. Nie chcę jednak wchodzić w rozważania o losie mojej organizacji. Chcę powiedzieć o czymś bardziej ogólnym.

O czym?

O specyficznym autorytaryzmie polskich liberałów. Mam nadzieję, że to nie jest jakaś wrodzona cecha liberalizmu, bo ja i całe moje środowisko się do tej tradycji odwołujemy. W tej chwili dostrzegam jednak po stronie starszych pokoleń liberałów olbrzymie poczucie utraty. Statusu, wygodnego miejsca w hierarchii. Widzę też narastającą niechęć wobec wszelkich form sprzeciwu we własnym obozie. To prowadzi do kształtowania się w środowiskach liberalnych różnego typu konformizmu. Właśnie przez to opozycja nie jest w stanie wydać z siebie niczego nowego. Są w stanie tylko wciąż zonglować tymi samymi koncepcjami politycznymi czy ekonomicznymi. W tym sensie antypisizm nie jest ich wyborem. To pułapka, z której nie mogą się wydostać. To jakby liberalna demokracja dla jednego pokolenia. Nie można się na to zgodzić.



⇒ **Opozycja odpowie, że żadnymi konformistami nie są, bo sprzeciwiają się PiS. Przeciwnie – w swoich własnych oczach są walczącymi ze złem bohaterami.**

Tak by było, gdybyśmy żyli w krwawej dyktaturze. Tylko że Polska roku 2019 żadną krwawą dyktaturą nie jest. Owszem, doszło do złamania konstytucji czy skolonizowania mediów publicznych. Ale dla Polaków, czy to się komuś podoba, czy nie, życie toczy się dalej. Więcej: w Polsce toczy się nadal demokratyczna gra. Pierwszy z brzegu przykład to poprzednie wybory lokalne. Opozycyjni politycy wygrali w wielu miejscach i siedzą pewnie na swoich stanowiskach. O krwawym autorytaryzmie mowy nie ma.

A „autorytaryzm petzający”?

Ja to widzę tak: Polska jest areną ostrej rywalizacji politycznej. Rywalizacja bywa brutalna. Ale z drugiej strony to rywalizacja jest sednem demokratycznej gry. Ja bym sobie życzyła, żeby liberałowie potrafili w tej rywalizacji grać lepiej i skuteczniej. Bo przegrywają.

Dlaczego przegrywają?

Właśnie z powodu tego konformizmu, o którym mówiłam przed chwilą. Jakim sposobem po stronie opozycji mają zakwitnąć nowe przełomowe pomysły programowe albo polityczne innowacje? Jeśli od 2015 r. obóz liberalny i jego opinio-
twórcze otoczenie – zwane przez wrogów niekiedy „salonem” – zajmuje się na przemian narzekaniem na PiS i wycinaniem w swoich szeregach nonkonformistów. Czyli dokładnie tych wszystkich ideowych chuliganów czy z angielska troublemakerów, którzy byliby zdolni te innowacje wymyślić. Nic dziwnego, że pozostaje „dawanie świadectwa prawdzie”. Obóz liberalny jest dziś pełen pomysłów zużytych, przewidywalnych i nudnych.

W teorii każdy uważa, że ci troublemakerzy są potrzebni. Ale zazwyczaj „akurat nie tacy i nie teraz”. Bo na wojnie nie trzeba nam takich, co sieją zamęt wśród własnych żołnierzy.

Z liberałami po 2015 r. stało się to samo, co z bazyliżkiem, który spojrział w lustro. Sam siebie zamienił w kamień. Tak bardzo straszyli autorytaryzmem PiS i całej prawej strony, że sami się do niej upodobnili. Ostatnio usłyszałam od

pewnego wybitnego polskiego polityka – zdeklarowanego liberała – straszne słowa. On mówił, że już ma dosyć tej roli małpy i tłumaczenia na Zachodzie, że Polacy są cywilizowanym społeczeństwem. Bo jego zdaniem nie są. Mówił, że „z tą Polską to już się niczego nie da zrobić. Tu trzeba jakiegoś amerykańskiego fachowca, który to wszystko posprząta”. Ręce opadają.

Mam w pamięci przykład Rosji. Dziś już tylko najstarsi pamiętają, jak władzę przejmował Putin. Wcale nie był to triumf populistycznego oddolnego ruchu ludowego. Przeciwnie. Wymyślił go Borys Jelcyn za namową technokratycznych doradców, a przyklasnęły pomysłowi rosyjskie liberalne elity. Wymyślili silnego człowieka Putina, bo bali się, że jeszcze trochę i władzę weźmie w sposób w pełni demokratyczny komunista Gienadij Ziuganow, którego akcje stale rosły. Boję się podobnego zjawiska w Polsce.

Oby tak nie było. Na szczęście, Polska to nie Rosja.

Ale co zrobić, żeby tak nie było? Te nadzieje, które Pani miała wobec Koalicji Europejskiej, wielu lokowało raczej w Wiośnie. Biedroń nie wprowadził na spolaryzowaną scenę jakiegś nowej dynamiki.

Też nie mogę się Wiośnie nadziwić. Byłam przekonana, że jeżeli powstanie Koalicja Europejska, to zajmie miejsce bloku centroprawicowego. Będzie dla tych bardziej konserwatywnych mieszczan. A Wiosna będzie dla ludzi o poglądach bardziej progresywnych, lewicowych. Wydawało mi się to fenomenalną szansą, żeby oni ze sobą na programy konkurowali.

I konkurowali?

Właśnie nie konkurowali. Sądziłam, że Wiosna zrobi z Koalicją Obywatelską to samo, co Konfederacja próbowała zrobić z PiS. Czyli zejść go od flanki przeciwnej niż centrum. Konfederaci mówili, że PiS niedostatecznie broni polskiego interesu, że porzucił agendę narodową, antyaborcyjną itd. To zaczęło przeciągać PiS na prawo. A co zrobiła Wiosna? Zamiast zastosować podobną strategię wobec Koalicji Europejskiej, skupiła się na... atakowaniu PiS, jakby nie robiła tego już KE. Przecież

powinna była odgrywać rolę moralnego kaca wobec KE. Pytać: „a co z aborcją?”, „co z pekaesami?”. Tymczasem od pewnego momentu Robert Biedroń zaczął mówić, że nie wyklucza koalicji z Grzegorzem Schetyną. Pomyślałam wtedy: co wy robicie? Przecież całą waszą legitymacją było to, że mieliście wsunąć się pomiędzy duopol – od lewej strony. Wystawić młodych polityków! I pilnować symetrycznego dystansu. Deklaracja o ewentualnych koalicjach z liberałami cały ten pomysł znieweczyła. Pozwoliła też PiS łatwo ustawić Biedronia w roli Platformy w przebraniu.

Ilekoć pytałem o powody tego odejścia od symetryzmu, ze strony ludzi zaangażowanych w Wiosnę dostawałem tę samą odpowiedź. Jaką?

Tego chcieli nasi wyborcy. To było oczekiwanie, które Biedroń wyczytał ze swojego objazdowego tournée po Polsce, zwanego „Burzą mózgów”.

A mnie się wydaje, że Wiosna dość szybko przestała spełniać życzenia swoich wyborców. A zaczęła się orientować na oczekiwania Koalicji Obywatelskiej. Albo nawet nie Koalicji rozumianej czy-
sto partyjnie. Tylko całego liberalnego salonu. Dam przykład. W pewnym momencie Biedroń zaczął krytykować starsze pokolenie rozdające karty w polityce. Powiedział coś o „leśnych dziadkach”.

Tak było.

I dostał za to w mediach liberalnych ostry łomot. Po czym zaczął się wycofywać, przeproszać. Oczywiście ten język był niedopuszczalny, ale politycznie to był błąd.

Błąd?

Błąd. Bo przecież Wiosna miała być właśnie tym! Sprzeciwem wobec polityki robionej przez starych wyjadaczy, którzy nikogo nie wpuszczają. Miała być wyzwaniem rzuconym pokoleniu, które się okopało. Zbudowało barykadę ze swojego materialnego, społecznego i politycznego statusu. I mówi: „jak się nie podoba, to wygryźcie nas”. A biedroniowcy się przestraszyli. Bo przecież nikogo nie wolno urazić.

Zastanawiam się nad fenomenem tej niewidzialnej pępowiny. Od paru lat wchodzą na scenę kolejne polityczne projekty. Plany mają wielkie. Mówią:

„to my jesteśmy młodość, to my pokładamy wszystko na nowo”. Wtedy Tusk, Schetyna albo inny Kaczyński im na to: „dobrze, dobrze, usiądźcie tam pod oknem. Macie swoje zabawki, a nam nie przeszkadzajcie”. Po czym wracają do swojej przerwanej partii szachów.

Widzę to podobnie. PO-PiS czy duopol – nazwijmy to, jak chcemy – to realnie istniejące zjawisko. Także pokoleniowy fenomen. Jedni i drudzy na polaryzacji wygrywają. Że wygrywa PiS, to oczywiste. Właszcza po ostatnich wyborach. A Platforma? W sumie też. Przypomnijmy sobie, kim i gdzie był Schetyna oraz jego partia po klęsce roku 2015. I zobaczmy, gdzie jest dzisiaj. Przecież to skok z kilkunastu procent sondażowego poparcia do 38 procent Koalicji Europejskiej dziś. Oraz do szeregu metropolii obronionych w wyborach lokalnych. Możemy być pewni, że polaryzacji nikt ze starszych graczy nie odpuści.

Ale dlaczego nikt nie podchodzi i nie przewraca starym ich szachownicy?

Może to nowe pokolenie polityków jest zbyt miękkie?

Zbyt miękkie?

Trzęsie się nad sobą. Chce się buntować, ale w rozsądnych granicach i przy zminimalizowanym ryzyku. A tamci? Musimy pamiętać, że tamto pokolenie wchodziło do polityki w kontrze do państwa niedemokratycznego, jakim była Polska Ludowa. Może i już wtedy bezzębna, ale jednak wciąż autorytarna. Oni musieli grać twardo, i to im zostało. Pewnie inaczej nie

Duopol PO-PiS to pokoleniowy fenomen.

Jedni i drudzy na polaryzacji wygrywają. Możemy być pewni, że nikt ze starszych graczy jej nie odpuści.

umieją. Nawet jak mówią, że byłoby miło zagrać fair, to widać kły. Do tego dysponują zasobami finansowymi. Mają swoje instytucje. To w połączeniu z nabytą w bojach brutalnością wystarcza im do utrzymania realnej władzy.

A może jest jeszcze inaczej. W Polsce przez lata narzekaliśmy na brak instytucji, na „państwo z dyktę”.

Wcześniej – w latach 90. – wszyscy się martwili, że rząd może nie przetrwać do następnego poniedziałku.

Bardzo chcieliśmy „normalnej, stabilnej demokracji na wzór zachodni”. No więc ją teraz... mamy. Mamy instytucje, do których tak wdychaliśmy.

Nazywają się PiS i PO. I jak chcesz robić politykę, to się musisz przebić mozołnie przez ich struktury, wkuć się w łaski, komu trzeba. Może to jest normalność? Może trzeba się cieszyć?

Odpowiem jak niektórzy ludzie, patrząc wstecz na swoje życie u jego kresu: ale czy to już naprawdę wszystko? Naprawdę nic ciekawego i ekscytującego

nas w polityce nie czeka? Czy naprawdę musimy się godzić z tym, że model robienia polityki pod hasłem „zjednoczeni przeciwko tym drugim” jest szczytem naszych marzeń?

Czy dla opozycji polityka bez antypisizmu jest w ogóle możliwa?

Możliwa, ale bardzo trudna. Bo walenie w przeciwnika jak w bęben jest starym nawykiem. Świetnie zajmuje 24-godzinne media. Nie ma zachęty do przebudowania tych nawyków. Ani u siebie, ani u swoich słuchaczy. Jak w „Rejsie”, podobają nam się te melodie, które słyszeliśmy.

A Pani jaką ma wobec PiS strategię?

Jak się Pani ustawia wobec ludzi, którzy w „dobrej zmianie” widzą faktycznie dobrą zmianę? Bez cudzysłowu. Ostatnie wybory to kolejny dowód, że takich ludzi jest w Polsce sporo.

Dziś ponadpartyjny republikanizm jest chyba najbardziej rewolucyjnym i kontrowersyjnym hasłem. I właśnie dlatego wydaje mi się to bardzo potrzebnym zadaniem. Nie mam problemu z rozmową z ludźmi, którzy robią coś w ramach piosowskiego pomysłu na Polskę. Tak jak ludziom z anty-PiS, mówię im zazwyczaj: „chętnie ci pomogę w tym, co robisz dobrze. A jednocześnie powiem ci otwarcie, co robisz źle”. Moim zdaniem, to zadziała lepiej niż anachroniczne kategorie „zdrady” czy „kolaboracji”, po które lubią sięgać nie tylko ludzie prawicy, ale także moi starsi koledzy liberałowie.

© P Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbaj,
Mariusz Sepioto, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuzewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Łamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdat, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmńska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydawniczy Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski,
Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-
Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam
Robiński, abp Grzegorz Rys, Tadeusz Sławek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran,
Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Wielka ryba



„LECZ PAN WYZNACZYŁ WIELKĄ RYBĘ, ŻEBY POŁKNEŁA JONASZA. I JONASZ BYŁ WE WNETRZNOŚCIACH RYBY TRZY DNI I TRZY NOCE. I MODLIŁ SIĘ JONASZ DO PANA, SWOJEGO BOGA, Z WNETRZNOŚCI RYBY MÓWIĄC: WZYWAŁEM PANA W MOJEJ NIEDOLI I ODPOWIEDZIAŁ MI, Z GŁĘBI KRAINY UMARŁYCH WOŁAŁEM

o pomoc i wysłuchał mojego głosu” (2, 1-3). Tak się zaczyna rozdział drugi Księgi Jonasza. Obraz wielkiej ryby (nie wieloryba) przywołuje w głowie jakieś chthoniczne istoty podobne do Lewiatana, które zamieszkują światy skryte i tajemnicze. Bo kimże jest ten stwór posłuszny Bogu, zrobiony – jak powiadają – jeszcze w czasach stwarzania świata? Miał długo czekać gdzieś w ukryciu, by wykonać jedną, acz wielką misję swego żywota. Ryba każe nam myśleć nie tylko o mitycznych istotach, które znamy choćby z legend o Heraklesie ratującym dziewicę przed śmiercią, ale przede wszystkim o bożku Filistynów. Miał na imię Dagon, górował nad panteonem bóstw nadmorskich. Zachował się po dziś dzień jego wizerunek. Był pół rybą i pół człowiekiem. W Księdze Machabejskiej czytamy, że Jonatan rozniecił wielki pożar i że spłonęła wówczas świątynia Dagona. Co ma wspólnego wielka ryba z Dagonem? Wiele. Choćby imię. *Dag* po hebrajsku oznacza rybę, a *agan* oznacza ziarno. Dagon był bogiem obfitości i ziarna. Wierni mu wyznawcy wierzyli, że przynosi dobre zbiory i powodzenie. W Księdze Izraelitów bożek pogański zostaje przemieniony w narzędzie misji proroczej i podlega władzy Najwyższego, który czuwa nad światem ludzkim i światem natury. Ta półryba, która jest dla jednych obiektem czci, tu staje się tylko środkiem podróży na tyle łagodnym i miłym, by zapewnić schronienie i wygodną podróż Jonaszowi. Jesteśmy przez opowieści biblijne świadkami wojny religii, której stawką jest pytanie, który Bóg jest prawdziwy. Odpowiedź z Księgi Jonasza jest oczywista. Podobnie rzecz się ma w innej historii z wojen Filistynów z Izraelitami. Czytamy w Pierwszej Księdze Samuela, że Filistynie zabrali Skrzynię Bożą i wnieśli ją do świątyni Dagona i obok niego ją ustawili. „A gdy następnego dnia rano Aszcodejczycy weszli do świątyni, oto posąg Dagona leżał twarzą ku ziemi przed Skrzynią Pańską. Wzięli więc posąg i przywrócili go na miejsce. Gdy następnego dnia wstali wcześnie rano, oto posąg Dago leżał twarzą ku ziemi przed Skrzynią Pańską, a głowa Dagona i obie jego dłonie leżały odcięte na progu i tylko tułów pozostał z niego” (5, 2-5). Bóg amputował mu ręce i ukazał go jako istotę bezradną, która może tylko płynąć bez sensu po głębokich wodach. W opowieści Jonasza ryba zdąża do celu wyznaczonego przez Boga. Nie jest ona pierwszorzędnym bohaterem opowieści. Nie pełni żadnej własnej misji. Ma wykonać jak anioły swoje zadania i zniknąć na zawsze z biblijnych ksiąg. W pierwszym rzędzie ocala ze śmierci. Albo jest grobem i zmartwychwstaniem. Trzy dni był Jonasz jak martwy. I w tym czasie śmierci dla świata Jonasz pokutuje i nawraca się. Wychodzi z niej do nowego życia. Godzi się ze swoją misją proroka i idzie do Niniwy. Ciemność granicząca ze śmiercią daje ukojenie i dojrzałość moralną. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Przestańcie prorokować



SCENERIA ZEŚLANIA DUCHA ŚWIĘTEGO NA apostołów mocno działa na wyobraźnię. Płomienie, porywista wichura i ludzie żadną miarą niewyglądający na wykształconych, a mówiący różnymi językami. Nic dziwnego, że „wszyscy byli tym zaskoczeni i nie wiedzieli, co myśleć. Dlatego pytali jeden drugiego: »Co to znaczy?«. Inni jednak drwili, mówiąc: »Upili się młodym winem«. Trudno jednak ten opis uznać za reportaż przedstawiający historyczne wydarzenie. W Biblii znajdujemy podobne opowiadania, a to znaczy, że chcąc dotrzeć do treści tego opisu, trzeba pamiętać, że mamy do czynienia z opisem metaforycznym. Ogień i wichura, ale i łagodny powiew, sygnalizowały ludziom, że Bóg jest wśród nich.

W naszych czasach też są ludzie, którzy wzorem apostołów wskazują, gdzie dzisiaj z całą pewnością można Boga spotkać, a jeśli utraciło się z Nim kontakt, odnaleźć. Ponieważ tych dzisiejszych proroków nie wypada otwarcie krytykować, a tym bardziej potępiać, próbuje się ich lekceważyć albo ośmieszać. Mówi się i pisze, że nie uwzględniają obiektywnych uwarunkowań, nie zauważają słuszych obaw, nie liczą się z dziełami kulturowym i niezmiennymi wartościami itp., a wszystko po to, by przestali prorokować, czyli mówić o tym, o czym przypomina nam Duch przez Jezusa: „Zapewniam was: Czego nie zrobiliście dla jednego z tych najmniejszych, tego nie zrobiliście dla Mnie”.

To ostrzeżenie nieustannie przypomina papież Franciszek, kiedy mówi, że dzisiaj twarzą Jezusa są ludzie cierpiący. Duch Święty przypomina jeszcze inne słowa Pana: „Co jest łatwiejsze? Powiedzieć: »Twoje grzechy są odpuszczone« czy też rozkazać: »Wstań i chodź?«. A zatem co jest łatwiejsze? Powiedzieć: pomodlę się za ciebie, »polecę« cię Bogu, wyegzorcyzmuję cię, namaszcze jakimś świętym olejem? Czy powiedzieć: przyjdę, pomogę, posiedzę z tobą, znajdę, zrobię?

Co jest łatwiejsze? Powiedzieć: za wszelką cenę, w imię Boga i ojczyzny, brońmy się przed migrantami? Czy powiedzieć: szukajmy skutecznych i korzystnych dla wszystkich sposobów zaradzenia temu dramatycznemu i tragicznemu zjawisku?

Jezus mówi: „Wspomożyciel – Duch Święty, którego Ojciec posłał w moim imieniu, nauczy was o wszystkim oraz przypomni wszystko, co wam powiedziałem”. Duch Wspomożyciel nauczy nas i nam przypomni również o tym, że życie charyzmatami nie polega na nieustannym przyzywaniu Ducha, gdyż On już przyszedł i jest. Jego przychodzenie jest Jego nieustającą obecnością i działaniem. Upewniają nas o tym nie nasze nawet najbardziej ekstatyczne przeżycia, ale wiara w Jezusa obietnicę. Uwierzyć, zobaczyć. Nigdy więc dość przypomnienia rady Jana Vianneya: „Nie mów ludziom o Bogu, kiedy nie pytają, ale żyj tak, by pytać zaczęli”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Wiara Elżbiety

*Umysł, który odsuwając
wszystkie poruszenia
osiągnął pokój, jest boski,
pogrążony w świetle
Świętej Trójcy
i prosi Ojca o spełnienie
nienasyconego pragnienia.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Jesteśmy falami,
dla których bezruch
jest niebytem. Żyjemy,
bo nie znamy spoczynku.*

ABU TALIB KALIM



Wybrał PIOTR SIKORA



FRAGMENT EWANGELII
z Uroczystości Nawie-
dzenia: „Gdy Elżbieta
usłyszała pozdrowie-
nie Maryi, poruszyło
się dzieciątko w jej ło-
nie, a Duch Święty napełnił Elżbietę. Wy-
dała ona okrzyk i powiedziała: »Błogosła-
wiona jesteś między Niewiastami i błogo-
sławiony jest owoc Twojego łona. A skądże
mi to, że Matka mojego Pana przychodzi
do Mnie? Oto skoro głos Twego pozdro-
wienia zabrzmiał w moich uszach, poru-
szyło się z radości dzieciątko w moim ło-
nie«”.

Niezwykła jest wiara Elżbiety i niesły-
chana jej uległość wobec Ducha Świę-
tego (dobrze to przemyśleć niemal
w przeddzień Pięćdziesiątnicy). Elżbieta
uwielbia „owoc łona” swojej młodzietkiej
krewnej. Skąd w ogóle wie, że ona spo-
dziewa się dziecka? Przecież Maryja nie
zdażyła jeszcze o nim nikomu powiedzieć,
przecież jej figura niczego jeszcze nie zdra-
dza: jest w pierwszym, może drugim mie-
siącu ciąży.

Elżbieta widzi. „Widzi” nie tylko poczę-
tego w łonie Maryi Syna, ale jeszcze rozpo-
znaje Jego Boską godność: „Owoc łona” Ma-
ryi nazywa „Panem”, a nawet więcej: „moim
Panem”. Nie chodzi więc jedynie o teore-
tyczne uznanie boskości Jezusa (słowo
Kyrios jest w greckiej Biblii zamiennikiem
Imienia Bożego); chodzi o świadectwo oso-
bistej więzi z Nim.

Tego nikt nie może powiedzieć „bez po-
mocy Ducha Świętego” albo – idąc dosłow-

nie za tekstem św. Pawła – inaczej „niż
w Duchu Świętym” (zob. 1 Kor 12, 3).

Myszę, że nie ma sensu pytać o to, jak to
możliwe. Jest raczej sens prosić Ducha Świę-
tego o wzbudzenie, potwierdzenie, pomno-
żenie wiary – nie kiedyś, w nieokreślonej
przyszłości, ale już teraz, w nadchodzącą
Pięćdziesiątnicę.

Prosić o taki wzrok, który dostrzeże Pana
tam, gdzie Go jeszcze nie widać, gdy jest
ukryty, w zarodku, dopiero na progu wzro-
stu i rozwoju, także wtedy, gdy jest zdany na
nasze współdziałanie, wsparcie czy wręcz
opiekę, gdy jest (z własnego wyboru) od nas
niemal we wszystkim zależny. Prosić o zdol-
ność zobaczenia Go, gdy jest przyniesiony do
naszego domu przez kogoś trzy, cztery razy
od nas młodszego. I dobrze nam znanego.

Prosić o dostrzeżenie Go w łonie przy-
chodzącego do mnie Kościoła (Maryja jest
przecież zawsze figurą Kościoła) – również
wtedy, gdy „nie widać”.

A dalej: prosić o taką postawę ducha,
który w akcie adoracji w pełnej prawdzie
wypowiada słowa: „Pan mój, i Bóg mój”
(J 20, 28). By wreszcie przestać być panem
samego siebie, jedyną słuszną miarą każdej
decyzji i każdego wyboru. By zobaczyć Jego
władzę taką, jaka ona jest, i przestać się bać
nie tyle jej samej, co naszych karykatural-
nych jej wyobrażeń.

Może także, by wreszcie zacząć się uczyć
rozumienia i sprawowania jakiegokolwiek
władzy od Niego – od Pana, który się pod-
daje swoim poddanym – tak dalece, jak
dziecko w łonie zależne jest od swojej
matki. ©

CYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 VI)

Zesłanie Ducha Świętego: Rdz 11, 1-9; Ps 33;
Wj 19, 3-8a. 16-20b; Ps 19; Ez 37, 1-14; Ps 107;
Jl 3, 1-5; Ps 104; Rz 8, 22-27; J 7, 37-39;
Poniedziałek: Rdz 3, 9-15. 20; Ps 87;
Dz 1, 12-14; J 2, 1-11;
Wtorek: Dz 11, 21b-26; 13, 1-3; Ps 98; Mt 10, 7-13;

Środa: 2 Kor 3, 4-11; Ps 99; Mt 5, 17-19;
Czwartek: Iz 6, 1-4. 8; Ps 23; J 17, 1-2. 9. 14-26;
Piątek: 2 Kor 4, 7-15; Ps 116B; Mt 5, 27-32;
Sobota: 2 Kor 5, 14-21; Ps 103; Mt 5, 33-37;
Uroczystość Najświętszej Trójcy: Prz 8, 22-31; Ps 8;
Rz 5, 1-5; J 16, 12-15.

A vibrant photograph of four children playing outdoors with numerous large, iridescent bubbles. The children are reaching up with their hands, trying to catch the bubbles. The background is a soft-focus green, suggesting a park or garden setting. The overall mood is joyful and carefree.

KRAJ

MIT O CADILLACU

MARIA THEISS, POLITOLOŻKA:

Każda grupa, której głos słychać w debacie o polityce społecznej,
za pokrzywdzoną przez socjał uważa siebie.

MAREK RABIJ: Na początek krótka wyliczanka. „Kupieni za własne pieniądze”. „Ogłuszeni socjałem”. A nawet „pincety”.

MARIA THEISS: Wystarczy. Domyślam się, że mowa o odbiorcach programu Rodzina 500 Plus.

Przywołałem epitety zaledwie jednej debaty dziennikarskiej zorganizowanej po ostatnich wyborach do PE. Nie dziwi Pani, że trzy lata po starcie programu nadal mówimy nie o nim, lecz o jego odbiorcach?

Nie do końca się z panem zgodzę, bo jednak doczekaliśmy się kilku zaawansowanych naukowo analiz programu zawierających także propozycje zmian jego działania, choćby raportu Instytutu Badań Strukturalnych czy badania przeprowadzonego na zlecenie Forum Obywatelskiego Rozwoju.

Natomiast w przestrzeni pozaeksperskiej narracje o programie nadal koncentrują się rzeczywiście na tych, którzy z niego korzystają, oraz na tym, czy na pomoc zasługują. Postanowiłam przyjrzeć się im dokładniej, bo od kilku lat zajmuję się badaniami tzw. obywatelstwa społecznego – czyli m.in. zbiorowymi wyobrażeniami o tym, jakie prawa i jakie obowiązki przysługują członkom wspólnoty obywateli, kto zasługuje na miano dobrego obywatela. A w debacie publicznej o 500 plus skupia się jak w soczewce kluczowy problem tzw. wzorców zasługiwania – czyli kryteriów, według których zdaniem ludzi państwo powinno udzielać pomocy obywatelom.

Niemal ośmiu na dziesięciu Polaków popiera 500 plus.

Badanie sondażowe nie przyniesie jednak odpowiedzi na pytanie, za co cenią go jego zwolennicy, a co nie podoba się w nim przeciwnikom. Nie pomoże nam także w zrozumieniu, jak tworzenie publicznego wizerunku odbiorców 500 plus bywa wykorzystywane w politycznych sporach. Dlatego prześledziłam dyskusje o 500 plus w serwisach internetowych i na kontach facebookowych największych polskich gazet codziennych: od „Gazety Wyborczej” po „Nasz Dziennik”. Dobre tytuły miał odpowiadać polaryzacji sceny politycznej i różnicowaniu kapitału kulturowego w społeczeństwie, nie mogłam zatem pominąć również największych tabloidów. Zebrałam bazę blisko

2,5 tys. komentarzy, z których wyodrębniłam cztery szeroko rozpowszechnione narracje o 500 plus i jego beneficjentach. Co ważne, żadnej z nich nie można przypisać wyłącznie do określonego światopoglądu politycznego.

Pierwszą z wyodrębnionych narracji utożsamiam z głosem „zwykłych ludzi w stanie zagrożenia”, bo opiera się ona na przekonaniu, że program jest cenną zdobyczą socjalną, która służy całemu społeczeństwu. A jeśli ktoś mu zagraża, to nieodpowiedzialni politycy, którzy zaczęli go okrajać metodą salami, plasterki po plasterku, albo doprowadzają do sytuacji, w której kraju nie będzie stać na kontynuację 500 plus.

Ku mojemu zaskoczeniu często pojawiały się w niej wątki wręcz antyrządowe, np. głosy, że premier z torebką za 5 tys. zł nie wie nic o problemach przeciętnego Polaka. Równie dużym zaskoczeniem było dla mnie wyrażane często przekonanie, że dostęp do świadczenia powinien być egalitarny, i mało nutek populistycznych, grających na niechęci do bogatych beneficjentów programu. Ciekawe komentarze pojawiały się np. pod artykułami o Izabelli Łukomskiej-Pyżalskiej, poznańskiej bizneswoman, właścicielce klubu piłkarskiego, która ma też piątkę dzieci.

Szóstkę.

Wielu komentujących podkreślało, że pani Łukomskiej-Pyżalskiej 500 plus się należy tak samo jak wszystkim innym matkom wielodzietnym, a więc dobrze robi, że nie rezygnuje z tego świadczenia. Inni pisali wręcz, iż premier Morawiecki nie ma prawa oczekiwać, że zamożni zrezygnują z czegoś, co jego partia przyznała bez wyjątku wszystkim Polakom. Prawdę mówiąc, spodziewałam się tutaj zupełnie przeciwnych głosów.

Podobnie egalitarystyczne opinie pojawiały się też często w kontekście artykułów omawiających sytuację samotnych rodziców. Uzależnienie wypłaty od przedstawienia dowodu o zasądzonych alimentach komentujący uznawali za kombinację rządu, próbę obniżenia liczby uprawnionych świadczeniobiorców. Niektórzy podnosili *per analogiam*, że niebawem rząd będzie domagać się także metryki chrztu. Proszę zwrócić uwagę, że ta narracja prawie nie zawiera wątków wykluczających, bo poza grupą zasługujących na świadczenie umieszczani są jedynie imigranci. Podział na swoich i obcych nie od-

powiada jednak linii aktualnych podziałów politycznych.

Ale to by dowodziło słabości strategii PiS, który 500 plus uczynił wizytówką swojej polityki, a przecież ona jednak działa. Beata Szydło, jako twarz tego programu, z przytupem weszła do Parlamentu Europejskiego, mimo że politykiem jest raczej nijakim.

Skuteczność strategii, o której pan wspomina, widać lepiej w drugiej narracji, którą nazwałam „polskie rodziny upodmiotowione i wyciągnięte z biedy”. Beata Szydło chętnie zresztą po nią sięgała, wystarczy przypomnieć jej słynną wypowiedź o „Polkach i Polakach”, której przez „osiem ostatnich lat byli ignorowani” przez rządzących. Ten typ opowieści o 500 plus bazuje oczywiście na niemal bezwarunkowej aprobachie dla programu, ale jego beneficjenci są w niej raczej stroną bierną, ofiarami pozostawionymi na pastwę losu, którym pomogło dopiero państwo.

Znamienne, że paternalistyczna narracja o „wyciąganiu z biedy” również często pojawia się w wypowiedziach twardego elektoratu PiS, jak i osób o światopoglądzie lewicowym, także w wymiarze obyczajowym. Jedni i drudzy z podobną aprobatą komentują np. „pierwsze wyjazdy nad morze” rodzin, które do tej pory spędzały wakacje w miejscu zamieszkania lub u rodziny. To „morze” pojawia się na tyle często, że można je wręcz nazwać jednym z toposów w narracji o 500 plus.

No dobrze, rodziny jadą nad morze dzięki dobremu wujowi, jakim jest wreszcie państwo. Ale gdzie w tym wszystkim ich upodmiotowienie?

W tej narracji pomoc udzielona „wyciągniętym z biedy” to akt sprawiedliwości, bo państwo ma obowiązek pomagać ludziom mającym dzieci. Beneficjentami 500 plus są nie tyle dzieci – jak w poprzedniej narracji – ile rodziny, w których się wychowują. Inwestując w dzieci, państwo nie tylko pracuje na dywidendę demograficzną, ale przede wszystkim strzeże „polskości”, bo właśnie tradycyjna wielodzietna rodzina jest gwarantem polskiego stylu życia.

W niektórych wypowiedziach pojawia się wprost wzmianka o „białej rasie”, która przetrwa wtedy, jeśli państwo zachęci Polaków do posiadania dzieci.

→ Jednocześnie stałym elementem tej narracji było przekonanie, że wstęp do społeczności świadczeniobiorców nie jest dla nikogo zamknięty: że wystarczy znaleźć odpowiedniego partnera, urodzić dzieci, opiekować się nimi, by w ten sposób zasłużyć nie tylko na 500 plus, ale też na miano „prawdziwego Polaka”.

Politycy PiS początkowo chętnie podkreślali, że 500 plus ma zwiększyć przyrost naturalny w Polsce, ale szybko wycofali się z tych obietnic, kiedy stało się jasne, że to nierealne.

W opowieściach o 500 plus ten wątek nie ma praktycznie znaczenia. O wiele częściej pojawiały się natomiast wzmianki o konfrontacji ze środowiskiem pracodawców, którzy wcześniej zatrzymywali kobiety na rynku pracy, płacąc im głodowe stawki. W ten sposób przedsiębiorcy, wspierające ich media oraz neoliberałowie walczyli, zdaniem internautów, z „polską z rodziną”.

Czy w żadnej z wymienionych dotąd narracji o 500 plus nie pojawia się choćby próba krytyki?

To jeden z elementów trzeciej opowieści: o „nierobach i patologii na socjalu”. Bardzo przypomina debaty toczące się w USA w latach 70. i 80. XX w. na temat programu wsparcia rodzin. I tam, i tu dominowało przekonanie, że beneficjenci pomocy na nią nie zasługują, bo tego typu świadczenia powinny być powiązane z aktywnością zawodową. Nie pracujesz, nie płacisz podatków, z których państwo pomaga potrzebującym – sam nie masz prawa ustawić się w kolejce po taką pomoc. W tej opowieści pokrzywdzonymi są ci, którzy muszą łożyć na socjał, ale z niego nie korzystają: single, bezdzietni, seniorzy, którym wcześniej nikt nie pomagał w wychowaniu dzieci, a teraz pewnie nikt nie pomoże również na głodowej emeryturze, bo państwo inwestuje głównie w 500 plus.

Ale pokrzywdzonymi są też sami beneficjenci programu, który ich demoralizuje, utrwalając wykluczenie ekonomiczne. Stąd już blisko do wątków niemal rasistowskich: narracji o ubóstwie, które się tylko niefrasobliwie „rozmnąża” na państwowym garnuszku. Margines, patologia, postawy roszczeniowe – wszystko to jest jakby wyjęte z amerykańskiej legendy miejskiej z lat 70. o czarnoskórych „księżnych *welfare*”, które kursują luksu-



ARCHIWUM PRYWATNE

Przy niskim poziomie zaufania społecznego powszechne jest przekonanie, że i państwu nie należy ufać. Jeśli rząd chce wydać 500 zł na dziecko, niechaj da rodzicowi, bo ten wyda je lepiej niż urzędnicy.

DR HAB. MARIA THEISS pracuje w Instytucie Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się na problematyce społeczeństwa obywatelskiego, kapitału społecznego w polityce społecznej oraz walce z biedą i nierównościami społecznymi.

sowymi *cadillacami* od jednego punktu pomocy społecznej do drugiego.

Nie umiem powiedzieć, z czego wynika aż taka kategoryczność opinii o beneficjentach 500 plus. Być może formułowali je w taki sposób ci, którzy awansu społecznego sami doświadczyli stosunkowo niedawno i próbowali w ten sposób uwypuklić swą nową pozycję. Z drugiej jednak strony, jak wspomniałam, w tego typu wypowiedziach pojawiają się próby oceny efektów programu i postulaty merytoryczne, aby np. wzbogacić go o kry-

teria dochodowe lub dokładniejszej kontroli, na co idą pieniądze z 500 plus.

Badała Pani opinie o programie w wersji jeszcze nierozszerzonej o świadczenia na pierwsze dziecko. Czy pojawił się wśród nich wątek „kietbasy wyborczej”?

Na tym opiera się czwarta narracja: o „ciemnym ludzie kupionym przez polityków” – tak ją nazwałam trawestując słynne powiedzenie Jacka Kurskiego. 500 plus w tej opowieści ma przede wszystkim zgubny wpływ na gospodarkę, pozabawia rynek pracy elastyczności i zwiększa dług publiczny, który koniec końców wszyscy będziemy musieli kiedyś spłacić. Równie destrukcyjnie program oddziałuje na demokrację, bo jest bakszyszem dla wyborców, do tego wypłacanym z ich własnych pieniędzy.

W tej opowieści o 500 plus jego beneficjenci są pazerni lub głupi, nie rozumieją reguł, jakimi rządzi się nowoczesna gospodarka, albo cynicznie udają, że nie wiedzą, co się święci. Rząd nie ma przecież swoich pieniędzy, może jedynie rozdawać te, które zabierze podatnikom. Dla przedstawicieli klasy średniej to jasne jak słońce, a jeśli ktoś nie dostrzega tej oczywistości, to znaczy, że jest pazerny, kalkuluje krótkowzrocznie albo kwestie ekonomiczne są dla niego za trudne. Do tego dochodzi cały wachlarz hasel mających w zamiarze parodiować nazwę programu: Wenezuela plus, Srebrniki plus.

Tu każdy program socjalny jest zły, bo przejada zasoby, które mogłyby posłużyć gospodarce za paliwo. Dlatego częstym wątkiem tej narracji są postulaty ograniczenia zasięgu programu do najbardziej potrzebujących.

W tej chwili z programu korzysta 2,3 mln rodzin – i zagorziali zwolennicy PiS-u, i wierni wyborcy PO, mieszkańcy wsi i miast, biedni i bogaci. Od 1 lipca świadczenie, bez kryterium dochodowego, będzie przysługiwać także rodzicom z jednym dzieckiem, co uczyni je najbardziej egalitarnym projektem polskiej polityki od 1989 r. Powyższe narracje pokazują jednak, że 500 plus bardziej dzieli, niż łączy.

Zdaję sobie sprawę z tego, że metoda badawcza, którą obrałam, zawęża próbę wyłączenia do osób skłonnych do komentowania spraw bieżących w sieci. Daje nam

więc wiedzę nie o tym, co statystyczna Polka czy Polak sądzi o programie, ale o tym, jak program dzieli i pod jakim względem łączy Polaków. Gdybyśmy chcieli ustalić w sposób ilościowy, którą z tych narracji można uznać za dominującą, trzeba by bardzo rozszerzyć analizowane źródła. Badanie, o którym rozmawiamy, traktuję więc raczej jako pierwszy etap większego projektu. Ale to nie oznacza, że za wcześniej na wniośki.

Te cztery opowieści mają wspólny mianownik. Jest nim przekonanie, że polityka społeczna w Polsce jest zawsze grą o sumie zerowej. Pomoc potrzebującym nie pojawia się w żadnej z nich jako forma inwestycji w dobro wspólne, czyli coś, co się nam wszystkim opłaca. Nie myślą w ten sposób ani zwolennicy PiS, ani wyborcy Platformy, konserwatyści w sferze obywatelskiej czy osoby popierające małżeństwa jedнопłciowe.

Gdy mowa o polityce społecznej, nagle się okazuje, że każda grupa, której głos widać w internetowej dyskusji, przedstawia siebie jako w jakiś sposób pokrzywdzoną. Jedni czują się kontrolowani i zagrożeni stratą, inni byli przez lata pokrzywdzeni przez system, jeszcze inni muszą pracować na kogoś. Wizerunek polityki społecznej, który się z tego wyłania, to zysk jednych kosztem krzywdy drugich. A to wszystko odbywa się przy współudziale państwa, które nie jest w wymiarze długoterminowym partnerem godnym zaufania.

W konstytucji zgodziliśmy się, że wspólnotą nie będzie społeczeństwo, ale naród rozumiany jako „wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”. W rezultacie konstytucja chroni każdego z nas z osobna, za to niewiele ma do powiedzenia o nas jako o społeczeństwie. Odniesienie do niego pojawia

się w ustawie zasadniczej tylko raz – kiedy mowa o społecznej gospodarce rynkowej.

Nie jestem konstytucjonalistką, ale sądzę, że to znacznie bardziej złożona sprawa. W konstytucji widzę jednak myślenie o wspólnocie obywatelskiej, jest też mowa o sprawiedliwości społecznej i prawach socjalnych, prawie do zabezpieczenia społecznego, do ochrony zdrowia i odpowiednich warunków pracy. Widać tu bardziej „prospołeczne” założenia niż w wielu zachodnich krajach.

Nie w tym tkwi problem. Od uchwalenia konstytucji w 1997 r. nasz stosunek do solidaryzmu się zmienił – i to na gorsze. W latach 90. i na początku kolejnej dekady większość Polaków wiązała biedę z czynnikami zewnętrznymi, na które ubodzy nie mieli wpływu, takimi jak restrukturyzacja gospodarki, bezrobocie czy likwidacja zakładu pracy.

Od tej pory doszło jednak do czegoś, co można nazwać prywatyzacją odpowiedzialności za wykluczenie społeczne. Dziś większość Polaków uważa, że ludzie żyjący w biedzie ponoszą winę za swoją sytuację. W badaniach CBOS jako główną przyczynę biedy respondenci najczęściej wymieniają lenistwo i brak życiowej zaradności. Na drugim miejscu pojawia się alkohol. Tego typu przekonanie rezonuje silnie także w narracjach o 500 plus, gdzie wątek zasługiwania na pomoc pojawia się częściej niż próby oceny, czemu program ma służyć.

W polityce społecznej interesuje nas przede wszystkim jej wymiar etyczny-polityczny, i to traktowany doraźnie?

Coś w tym jest. Bo proszę zauważyć, że w żadnej z wymienionych narracji o 500 plus nie pojawiła się refleksja, że poprzez wypłatę tego typu świadczenia państwo może częściowo zaniedbywać swoje obo-

wiązki związane z tworzeniem wysokiej jakości, łatwo dostępnych usług publicznych. W duchu: nie będziemy doinwestowywać edukacji, co powinno skutkować poprawą jakości nauczania, ale dostaniecie pieniądze, za które możecie posłać dzieci na korepetycje.

Ekonomiści powiedzieliby, że w ten sposób nie usuwamy barier dla większej inkluzywności społeczeństwa, ale wręcz je wzmacniamy.

Tylko że Polakom to na razie odpowiada. Przy nadal relatywnie niskim poziomie zaufania społecznego powszechne jest przekonanie, że również państwu nie należy zbyt ufać. Jeśli rząd chce przeznaczyć dodatkowe 500 zł na dziecko, niechaj da je mnie, rodzicowi, bo wydam je na pewno lepiej niż urzędnicy i politycy. W badaniach wartości Polacy plasują się wśród Europejczyków dziś mniej więcej pośrodku stawki społeczeństw otwartych na pomoc dla potrzebujących. Daleko nam wprawdzie do solidaryzmu w stylu skandynawskiego państwa dobrobytu, które dąży do zniwelowania nierówności, ale też nie czujemy się dobrze z indywidualizmem w stylu brytyjskim, który traktuje je jako coś naturalnego i nieuniknionego.

Skandynawski przykład może jednak stanowić dla nas punkt odniesienia, bo pokazuje, jak wiele w krajobrazie społecznym mogą zmienić dobrze działające instytucje. Jeśli tylko wokół 500 plus nie zacznie umacniać się narracja wiążąca program z tradycyjną rodziną i polskością albo polityczną korupcją, lecz raczej np. z prawem każdego dziecka do dobrych warunków życia – to widzę szansę, że polityka społeczna w Polsce zbliży się do ideału uniwersalnego, inkluzywnego obywatelstwa społecznego.

© P Rozmawiał MAREK RABI

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”

dodatek przygotowany we współpracy z Fundacją na rzecz Nauki Polskiej

a w nim m.in.: rozmowa z prof. Maciejem Żyliczem o tym, jak sprostać wyzwaniom innowacyjności, oraz sylwetki laureatów stypendium START – programu wspierającego utalentowanych badaczy młodego pokolenia.

Zapraszamy do lektury!



**Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej**



WOJCIECH SURDZIEL / AGENCIA GAZETA

Kołysanki nad uchem

WOJCIECH BONOWICZ

Kiedy tuż po wyborach jesienią 1990 r. ks. Józef Tischner powiedział w telewizji, że ujawnił swoją obecność między nami *homo sovieticus*, miał na myśli nie tyle konkretnych ludzi, ile pewien odruch pielęgnowania złudzeń.

PO LEKTURZE PISM TISCHNERA RAFAŁ Woś pisze o swoim rozczarowaniu tym, jak autor „Etyki solidarności” mógł później sformułować i głosić koncepcję *homo sovieticus* w odniesieniu do postaw społecznych w pierwszej dekadzie transformacji (patrz: „TP” nr 22). Trudno z tym rozczarowaniem dyskutować. Można natomiast podsunąć kilka wątków, które inaczej pokażą kontekst, w jakim Tischner posłużył się wspomnianą figurą.

Podstawowym punktem odniesienia jest stan, w jakim znalazła się polska praca w PRL-u. Celowo używam sformułowania, jakiego używał Tischner: „polska

praca”. Nie „polska ekonomia”, „polskie przedsiębiorstwa”, „polskie rolnictwo” jako pewne uogólnienia – ale to, z czym stykał się konkretny człowiek idący „do pracy”. Z opowieści, których słuchał przyszły autor „Etyki solidarności” (a miał bardzo szerokie kontakty w różnych środowiskach, od uniwersytetu po małe wiejskie gospodarstwa), wylaniał się obraz katastrofalny: ludzie wprawdzie mieli zajęcie i nawet jakieś wynagrodzenie, ale nie mieli pracy w tym sensie, że niczego nie tworzyli, albo wysiłek ich był marnotrawiony przez sposób, w jaki nim zarządzano.

Kłamstwo pracy

Kilka przykładów. Pod koniec PRL-u przez miesiąc pracowałem w zakładzie, który był jednym z najnowocześniejszych przedsiębiorstw w Polsce południowej. Do moich obowiązków należało pakowanie do skrzyń tego, co wyprodukowano. Musiałem stawiać się do pracy na osiem godzin, ale zajęcia miałem tak naprawdę na dwie. Przez resztę czasu słuchałem opowieści pozostałych pracowników, które niemal wyłącznie dotyczyły – jak to elegancko powiedzieć? – zażegnania fenomenu obojętności świata. Wszystko to odbywało się w otoczeniu hasła o sprawiedliwości społecznej i walce o lepszą przyszłość (jeszcze wisiały). Kiedy później czytałem u Tischnera, że istnieje coś takiego jak „kłamstwo pracy”, miałem przed oczami konkretny obraz.

Ludzie, z którymi wtedy pracowałem, byli głęboko nieszczęśliwi, choć o swoje nieszczęście obwiniali głównie kobiety. Podpytywani o to, co się dzieje w zakładzie, przyznawali z niechęcią, że mają poczucie bezsensu, ale nie widzieli dla siebie alternatywy.

Kilka lat temu przeprowadziłem obszerny wywiad z Wojciechem Waglewskim. Jako student socjologii Wojtek odbywał w latach 70. ubiegłego wieku praktykę w zakładach odzieżowych w Białymstoku. To, co tam zobaczył, przeraziło go: potworny hałas, ogromne ilości chemii w powietrzu. „Rozmawialiśmy z robotnicą, która tak na oko wyglądała na pięćdziesiąt lat. Powiedziała, że ma dwadzieścia osiem. Najpierw nas to rozśmieszyło, dopiero potem zdaliśmy sobie sprawę, o czym tak naprawdę mowa. To był wyzysk w czystej postaci. Połowa z nich cierpiała na niemal całkowitą utratę słuchu, bo pracowały bez słuchawek. (...) To był dla mnie szok zupełny, pierwszy raz zetknąłem się z takim światem”. Działo się to, przypominę, w okresie wczesnego Gierka, który czasem wspominany bywa

nostalgicznie jako okres względnego dobrobytu.

Podaję te przykłady, żeby pokazać, co mógł mieć w głowie ktoś, kto słuchał Tischnera na początku lat 90. Kiedy tuż po wyborach jesienią 1990 r. Tischner powiedział w telewizji o tym, iż ujawnił swoją obecność między nami *homo sovieticus*, miał na myśli nie tyle konkretnych ludzi, ile pewien odruch pielęgnowania złudzeń. Tischner zwracał uwagę, że świat, który właśnie odchodził w przeszłość, szybko zaczął być mitologizowany. Mówiono: w PRL-u wszyscy mieli pracę, stać ich było na skromne, ale godne życie, ludzie byli dla siebie lepsi itd. Dopiero kiedy pojawił się Balcerowicz, „małpa z brzytwą”, jak go wówczas publicznie nazwano (tak, tak, język debaty publicznej był ostry i wtedy), wszystko się załamało. „Stara władza może i wyzyskiwała lud, ale śpiewała mu także kołysanki nad uchem. Nowej władzy ani się śni taki śpiew”, zauważał Tischner w artykule „Cierpkie winogrona a chytrłość rozumu”.

Zjawisko, nie człowiek

Telewizyjne wystąpienie rzeczywiście ściągnęło nań falę krytyki; pisałem o tym już kilkakrotnie, więc zacytuję sam siebie. Po raz pierwszy „pojawiła się tak wyraźna rysa między nim a częścią opinii publicznej. Tischner był krytykowany z prawa i z lewa: przez tych, którzy uważali, że nie można oskarżać narodu polskiego o uleganie sowieckim wpływom, i tych, którzy argumentowali, że w komunizmie plusy przeważały nad minusami. Źródłem nieporozumień było do pewnego stopnia samo pojęcie: *homo sovieticus* to nie zespół cech, które można by przypisać tej czy innej osobie, ale raczej pewne zjawisko, »postkomunistyczna forma ‘ucieczki od wolności’«. Natomiast „pychy intelektualisty” i „pogardy dla prostego człowieka”,

o których pisał Władysław Siła-Nowicki, ja w wystąpieniu Tischnera nie usłyszałem; pamiętam, że w trakcie ówczesnej kampanii wyborczej często oskarżano przeciwników o „pychę” i „pogardę”, więc słowa wybitnego adwokata nie robiły już szczególnego wrażenia. Dodam jeszcze, że kilka lat później, w rozmowach z Adamem Michnikiem i Jackiem Żakowskim („Między Panem a Plebanem”), Tischner sam w sobie szukać będzie elementów *sovieticus*.

Inaczej niż Rafał Woś, nie lekceważyłbym też artykułu „*Homo sovieticus* między Wawelem a Jasną Górą”. Na kilka miesięcy przed wspomnianym wystąpieniem w telewizji Tischner zarysował w nim najważniejsze wątki przyszłej krytyki. Przede wszystkim jednak – *homo sovieticus*owi przeciwstawił człowieka solidarności, wskazując trzy elementy, które na ruch Solidarności wywarły szczególny wpływ: ideę dialogu, prymat osoby przed pracą oraz świadomość narodową jako świadomość etyczną. Bez nich, pisał, ruch ten, jeśli w ogóle by zaistniał, miałby charakter „sekiarski, partyjny, wąski”.

Czytając ten artykuł, chwilami można istotnie odnieść wrażenie, jakby Tischnerowi mieszały się plany: czy mowa o całym społeczeństwie, czy tylko o Kościele? Ale w tamtej rzeczywistości plany faktycznie mieszały się ze sobą: Kościół stanowił jedyne forum, na którym można było przedstawiać alternatywne propozycje ideowe, a jednocześnie przenikały doń na różny sposób trucizny, które zatrzymały całe społeczeństwo. W Kościele dokonywało się przewyciężenie komunizmu, ale było w nim też miejsce na „wiarę legalistyczną, wiarę ucieczki od rzeczywistości”, a także na „nieodpowiedzialność z pretensjami”. Jeśli Kościół miał pomóc społeczeństwu w przejściu do wolności, musiał – taka jest finałowa teza Tischnera

– odkryć w sobie te złogi i podjąć dzieło odnowy. Skorzystałby na tym nie tylko on, ale i rodząca się demokracja.

Jeszcze raz podkreślę: *homo sovieticus* w tym i innych tekstach to nie konkretne środowisko, grupa czy klasa, lecz fenomen, zjawisko, którego elementy odkryć może w sobie każdy.

Argumenty obrony

Prywatyzacja i urynkwienie odbywały się w sposób gwałtowny, a masowe bezrobocie było katastrofą dla wielu ludzi. Upadły zakłady, które upaść musiały, ale upadły też takie, które można było uratować. Nie zadbano należycie o tych, którzy pracę tracili; można było odnieść wrażenie, że miejsce jednych hasła zastąpiły drugie (jak słynne „Bierzcie sprawy w swoje ręce”). Nie jest jednak tak, że ci, którzy wprowadzali zmiany, nie mieli (i nie mają) żadnych argumentów na swoją obronę.

Ukryte bezrobocie – które stało się jawne – nie było ich wymysłem. Żeby kraj mógł się rozwijać, trzeba było dogadać się z wierzycielami i ściągnąć do Polski (gdzie wciąż jeszcze stacjonowały wojska sowieckie) zagranicznych inwestorów. Do tego dochodzi sprawa upodmiotowienia: czy mimo wszystkich popełnionych błędów społeczeństwo, które wyłoniło się z transformacji, nie było bardziej podmiotowe od tego, które w nią wchodziło?

Zanim Rafał Woś napisał swój artykuł, spotkaliśmy się, żeby porozmawiać. Pamiętam, że moja pierwsza myśl po jego wyjściu dotyczyła... garderoby. Ja w jego wieku wyglądałem jak ostatnie nieszczęście, Rafał wyglądał jak jego rówieśnicy w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku. To też jest widomy znak zmian, które nastąpiły. Nie usiłuję usprawiedliwiać ani pomniejszać krzywd; mówię tylko o tym, co warto wziąć pod uwagę, kiedy formułuje się dość surowe sądy.

→

Przed Sądem Rejonowym w Tychach, I Wydziałem I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 85/19 toczy się sprawa z wniosku Kazimierza Kownackiego z udziałem Krzysztofa Berka, o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzku Stanisławie Walewskim, s. Mariana i Zofii, zm. 25 października 2009 r. w Tychach, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu były Tychy.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 348/17 postępowanie z wniosku wierzyciela DROSED S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Pietrzaku, zm. 23 lutego 2014 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym jest nieznan.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

→ Dotyczy to zresztą i innych spraw. Jeśli przeczytać uważnie artykuły Tischnera, trudno przyznać, że „stał na antylustracyjnej barykadzie razem ze środowiskiem »Gazety Wyborczej«”. Niewątpliwie był przeciwnikiem lustracji w takiej formie, jaką zaproponował Antoni Macierewicz, która od razu stała się elementem walki o władzę. Przeciwnikiem dekomunizacji jednak nie był i sporo na ten temat napisał. O jego stosunku do komunizmu wiele mówią choćby artykuły poświęcone postaci Józefa Kurasia „Ognia”. Dziś za te teksty bywa przez niektórych krytykowany, trzeba jednak pamiętać, że pisał je na długo przed tym, nim zaczęto mówić o „żołnierzach wyklętych”.

Co do kosztów transformacji, to wypowiedzi Tischnera na ten temat również nie brzmią jak „z barykady”. W krótkim artykule „Rewolucja etyczna” – który zresztą Rafał Woś cytuję, ale akurat inny fragment – Tischner pisał: „Nikt dziś nie twierdzi – nawet sam Leszek Balcero-wicz – że z punktu widzenia ekonomicznego plan przechodzenia od gospodarki planowej do liberalnej nie mógł być lepszy. Niemniej z punktu widzenia etycznego nie można było inaczej. Balcero-wicz nie kłamał. (...) Dla tak zwanej odnowy społeczeństwa postkomunistycznego Balcerowicz zrobił więcej niż niejedno deklamator”.

Zbyt duża pochwała? Dla Rafała Wosia zapewne tak, jeśli w ogóle jakaś się należy. Ale czytamy dalej: „Nie chcę być źle zrozumiany: »nie praca jest dla kapitału, ale kapitał dla pracy. Zasada ta jest kluczem«. Trudno jednak mówić o kapitale tam, gdzie praca stała się iluzją pracy. Realizmowi budowania musi towarzyszyć realizm krytyki. Reforma pracy budzi krytykę, krytyka współtworzy reformę pracy. I tak jest dobrze. Niedobrze jest wtedy, gdy reformę zastępuje jeszcze jedna fikcja”. Fragment ten dowodzi, że być może doczekalibyśmy się od Tischnera również i takiego tekstu, o którym marzyłby Woś.

Na rozstajach

Jest coś przejmującego w tym, że nawet w okresie choroby Tischner wciąż interesował się problematyką pracy, sprawał sobie stosowne książki i próbował zrozumieć, co się dzieje, może nawet bardziej w wymiarze globalnym niż polskim. W napisanym wówczas

artykule „Metamorfozy naszej pracy”, jednym z ostatnich, jakie opublikował na łamach „Tygodnika”, pisał o dylematach, które mamy również dzisiaj: „Znaleźliśmy się (...) na rozstaju dróg. »Socjalizacja« pracy podcina korzenie jej rozwoju, »ekonomizacja« pracy podcina korzenie wspólnoty polityczno-społecznej. Jakie jest wyjście z tej sprzeczności? A może wyjścia nie ma? Może tak być musi? Może konkretne rozwiązania polegają na waha-niach raz w jedną, raz w drugą stronę? (...) Wydaje się jednak, że problem nie leży w samej strukturze pracy. Pytanie istotne dotyczy całej hierarchii wartości, w której istniejemy. Jeśli zgodzimy się na to, że praca jest podstawową wartością utylitarną, to trzeba zapytać, jakie miejsce w naszym systemie wartości zajmują te wartości. Wartości te są nam niezbędne. Nie można ich przekreślać. Błąd rodzi się wtedy, gdy wartości te stają się jedynymi wartościami godnymi ludzkich zabiegów. Nie możemy mieć pretensji do człowieka, który na rogu ulicy sprzedaje kwiaty. Musimy zwrócić baczną uwagę na tych, którzy kupują kwiaty. Na ogół nie kupuje się kwiatów ze względu na »korzyści«, które stąd płyną. Jest takie miejsce, w którym »interes« zaczyna służyć temu, co »bezzinteresowne«”.

Domyślam się, że dla Rafała Wosia to za mało i zbyt ogólnie. Choć kiedy czytam jego inne teksty, to widzę, że w gruncie rzeczy chodzi mu o to samo: żebyśmy nie żyli pod dyktando „interesu”, w rzeczywistości mniej się rozwstrawiającej, nastawieni nie na rywalizację, ale na współpracę. Jego rozczarowanie i związane z nim dość mocne oceny tu zresztą mają swoje źródło: od Tischnera jako autora „Etyki solidarności” oczekiwałby stanowczego potępienia tego, co sam dostrzega i potępia. Czy Tischner mógł nas wtedy ostrzec przed tym, co nadchodzi razem z kapitalizmem? Za mało wiem, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

Ale co do obecności między nami i w nas samego homo sovieticus, nie uważam, żeby Tischner aż tak bardzo się pomylił. Wokół ciągle słyszę głosy, które każą mi się obawiać, że pomyśl, aby podpalić katedrę po to tylko, by w jej płomieniach usmażyć sobie jajecznicę, wciąż może komuś przyjść do głowy.

© WOJCIECH BONOWICZ

Wdech, wydech, Putin

OLGA SOLARZ

Ćwicząc „gimnastykę słowiańską”, Polki mają odnajdywać pełnię swojej kobiecości. Tyle że stoi za tym mistyfikacja zaprojektowana przez bliskich Kremlowi panslawistów.

CHCESZ „W UNIKALNY I PROSTY SPOSÓB Codzienne pełnię swojej kobiecości”? Zaczniij stosować nową metodę ćwiczeń, która z roku na rok zyskuje wśród Polek coraz większą popularność.

„Jest to system psychofizyczny pracy z ciałem i naszymi emocjami. Skupiamy się przede wszystkim na sobie, aby powrócić do swojej kobiecości i słowiańskości. Jest to system nasz. Fajnie, byśmy zaczęły wspierać to, co jest nasze” – mówiła w „Dzień Dobry TVN” jedna z polskich instruktorek metody, która trafiła do naszego kraju w 2015 r.

System – nazywany „gimnastyką słowiańską” – składa się z 27 ćwiczeń i, jak twierdzą trenerki, przetrwał dzięki przekazom ustnym w linii kobiecej. Ma być doskonałym sposobem na zdrowie: regulację pracy całego organizmu, cykle menstruacyjne, poprawę krążenia, trawienie, sylwetkę i kondycję kręgosłupa. Dzięki pracy z miednicą ułatwia zachodzenie w ciążę, lekki poród i szybki powrót do sprawności w połogu. Ma też zmniejszać dolegliwości związane z menopauzą.

Uczestniczki warsztatów dzielą się swoimi wrażeniami w internecie: „Gimnastyka w magiczny sposób wycisza umysł, pozwalając być tu i teraz. Wspaniałe uczucie. Poza tym, cały czas mam wrażenie, że moje ciało na każdych zajęciach może więcej”; „Gimnastyka poprawiła jakość mojego życia erotycznego, bolesne dolegliwości związane z miesiączką zniknęły, piersi



HEIKKI SAUKKONEN / EAST NEWS

Aleksander Dugin, Helsinki, 2014 r.

prezentują się lepiej niż kiedykolwiek, a to wszystko już po miesiącu regularnych ćwiczeń :)”. Autorka blogu „Witaj Słońce” przekonuje: „Twoje ciało jest cenne, Ty jesteś cenna i zasługujesz, żeby zająć się sobą najlepiej, jak to możliwe :)”.

Ta pozornie niewinna idea posiada drugie dno – jest ono związane z eksportem rosyjskich idei.

Tradycja wynaleziona

System, reklamowany hasłem „nowoczesność oparta na tradycji”, ma dwie różne historie powstania. Obie wywodzą się z wschodniej granicy.

Według pierwszej gimnastyka została „zrekonstruowana” przez Rosjankę Ksenię Siłajewą na podstawie przekazów ustnych i legend. Tak przynajmniej twierdzi Siłajewa – niegdyś dziennikarka w Petersburgu, która obecnie, jak podkreśla, jest szczęśliwą żoną i matką, co zawdzięcza tej „unikalnej metodzie”.

Druga historia wiąże początki „gimnastyki słowiańskiej” z białoruskim wykładowcą Giennadijem Adamowiczem, który, zmotywowany przez studentkę Oksanę Pawłowską, zaczął poszukiwać aktywności fizycznych skierowanych do kobiet. Pawłowska miała mu opowiedzieć o ćwiczeniach, które wykonywała jej babka, a materiał zebrany w białoruskich wsiach stał się punktem wyjścia do opracowania przez Adamowicza książki pt. „Gimnastyka czarownic”.

W obu wersjach metoda ma umożliwić kontakt z trzema światami: Prawii, Jawii i Nawii. Tym samym wpłynąć na prawidłowy przepływ energii, oczyścić karmę rodową, a poprzez łączność ze słowiańskimi przodkiniami – umożliwić uzyskanie pełnej harmonii ze sobą i światem.

Kłopot w tym, że jednolita tradycja słowiańska to wymysł. Etnologowie zrekonstruowali wizję świata Słowian, lecz jest ona tylko matrycą, którą poszczególne grupy etniczne wypełniły własną treścią.

To doskonały grunt dla budowania nowych mitologii. Przodują w tym ruchy neopogańskie, które odwołując się do „dawnych wierzeń” i uzupełniając je „fachową” terminologią – jak „energia”, „czakry” czy „biopole” – tworzą przekaz dla wielu wystarczająco wiarygodny.

Przykładem jest światopoglądowy kontekst „gimnastyki słowiańskiej”. Trójpodziału świata na Prawie, Jawie i Nawie nie potwierdzimy w żadnym poważnym naukowym źródle. Są to nazwy zmyślone, zaczerpnięte z Księgi Welesa. Tę rzekomo odnaniezoną na deseczkach książkę z czasów przedchrześcijańskich naukowcy uznają za fałszyfikat z XX wieku.

Tajemniczy świat Prawii, Jawii i Nawii, tworząc magiczny kontekst ze znamionami naukowości, może przyciągać. Ale z całą pewnością nie jest to tradycja słowiańska, lecz „tradycja wynaleziona”, którą brytyjski historyk Eric Hobsbawm definiował jako zbiór wymyślonych re-

guł, których celem jest wpojenie pewnych wartości i norm zachowania.

W tym przypadku – idei panslawizmu.

Czwarta Droga dla Polaków

Panslawizm powstał w Czechach na początku XIX w. Dążył do politycznego, gospodarczego i kulturalnego zjednoczenia Słowian. Ideę szybko zaczęła popierać Rosja, która dostrzegła w niej szansę na realizowanie swoich imperialnych interesów. Celem rosyjskich słowianofilów stało się utworzenie wielkiego Imperium Słowiańskiego (oczywiście pod zwierzchnictwem Rosji). Koncepcję tę popierały władze carskie, Cerkiew prawosławna oraz ówczesna elita rosyjska.

Komunizm wyparł idee panslawizmu, lecz ten wiele dekad później odrodził się w Rosji. Po 2011 r. wraz z ogłoszonym w Moskwie projektem Unii Euroazjatyckiej, panslawizm jest elementem rosyjskiego ekspansjonizmu, ukierunkowanym do specyficznej grupy odbiorców. W centrum idei leży powrót do tradycji, która jest nośnikiem wyjątkowej duchowości słowiańskiej. Słowianie połączeni wspólnym DNA mają moc przeciwstawiania się złu, które reprezentuje kultura Zachodu. Czerpanie z mądrości przodków jest drogą do samoidentyfikacji.

Współgra to z zaproponowaną przez czołowego rosyjskiego ideologa Aleksandra Dugina (mającego znaczny wpływ na obecną politykę Kremla) tzw. Czwartą Teorią Polityczną, w której zaprasza (nie narzuca, nie nakazuje, lecz zaprasza!) do przeniknięcia w głąb własnej tożsamości. Dugin twierdzi, że liberalizm się skompromitował ideologie nacjonalizmu i komunizmu zaś opierają się na sztucznej konstrukcji tożsamości i u podstaw mają niewiastę. Wszystkie trzy są modernistyczne i nie odpowiadają obecnym potrzebom człowieka. Dlatego świeżą propozycją kremlowskiego ideologa dla Polski jest jego Czwarta Teoria z „głębką chrześcijańskością i słowiańskością”, jako rdzeniem tożsamości. Jeśli Polacy chcą być sobą i odnaleźć swoje głębokie jestestwo, to muszą przezwyciężyć pozostałe trzy ideologie i wybrać drogę Czwartej Teorii.

Wojna sieciowa

W tym kontekście niewinnie wyglądająca gimnastyka przestaje być jedynie prozdrowotnym systemem ćwiczeń.

Rozsądnikami „słowiańskiej jogi” są zafascynowane nią instruktorki, które ➔

→ prowadzą warsztaty w całej Polsce, gromadząc coraz więcej zainteresowanych nią kobiet. Prócz odwoływania się do dawnych wierzeń, nierzadko wspierają ruchy antyszczepionkowe, a na Facebooku udostępniają treści ocieplające wizerunek Rosji.

I tak, zarówno na ich profilach, jak również na grupach zrzeszających sympatyczki tej metody, między zachętami, by dbać o zdrowie, znaleźć można informacje z takich wspierających rosyjską imperialną narrację projektów jak Ruskij Mir, Ludowe Radio Słowiańskie czy z rosyjskich witryn rodzimowierczych skupionych pod symbolem Swargi. Treści te z pozoru odnoszą się jedynie do wartości słowiańskich; polskie prekursorki gimnastyki robią to nieświadomie, stając się trybikiem w doktrynie wojny sieciowej.

W myśl tej doktryny, również opracowanej przez Dugina, stworzona z różnych struktur i podmiotów sieć ma być narzędziem realizacji celów Federacji Rosyjskiej. Jakże to cele? M.in. neutralizacja Europy Środkowo-Wschodniej i północnej części Bałkanów, w celu osłabienia Unii Europejskiej i podważenia integralności NATO.

W koncepcji Dugina rozsądnikami idei są trzy rodzaje sieci. Pierwotna tworzy się z grup naturalnie występujących w każdym państwie: mniejszości etnicznych, związków wyznaniowych, sekt czy grup przestępczych. Wtórna jest zbudowana z organizacji pozarządowych, fundacji, „fabryk myśli”, organizacji o charakterze naukowo-badawczym oraz ruchów młodzieżowych. Zaletą działania obu jest fakt, iż w warunkach demokracji mogą funkcjonować w pełni oficjalnie. Trzecia, czyli agentura wpływu, powstaje z osób ze wspomnianych dwóch sieci bez potrzeby ich werbowania, ale poprzez kreowanie wokół nich sztucznej uwagi (zapraszanie na konferencje naukowe, zamieszczanie wzmianek prasowych itp.), by ostatecznie poddać ich indoktrynacji i doprowadzić do realizowania działań na rzecz agresora.

Dobrze prowadzona wojna sieciowa odbywa się na kilku płaszczyznach: w przestrzeni fizycznej, informacyjnej, społeczno-kulturowej. Wykorzystując odpowiednio przerabiane kulturowe, religijne i historyczne wartości, kształtuje się „nowego człowieka”.

Nowa kobieta

Coraz większe zainteresowanie gimnastyką zza wschodniej granicy wynika

z faktu, że z pozoru wychodzi naprzeciw oczekiwaniom współczesnej kobiety. Oferuje zdrowy styl życia, samodoskonalenie się, życie w harmonii z naturą oraz czerpanie radości z kobiecości. W Polsce jej odbiorczyniami są kobiety z klasy średniej, wykształcone i świadome swojej cielesności. Przynajmniej tak można sądzić z treści zamieszczanych przez nie w mediach społecznościowych.

Ale czy rzeczywiście gimnastyka słowiańska propaguje ideę kobiety niezależnej? W rosyjskim wariacie gimnastyka nosi nazwę „Siła Beregini”, co po polsku zostało przetłumaczone jako „Moc Strażniczki”. Symbol Beregini (Strażniczki) jest obecnie bardzo popularny w Rosji, Białorusi oraz w Ukrainie i odwołuje się do dawnych wierzeń oraz mitu matriarchatu. W istocie symbol ten został sztucznie wygenerowany w drugiej połowie lat 80. na fali pieriestrojki i wyparł kanon „radzieckiej superkobiety” na rzecz nowego konceptu kobiety idealnej o cechach macierzyńsko-słowiańskich.

Jego osią jest sakralne macierzyństwo. Za sprawą zarówno kobiecych organizacji, jak i polityków, symbol ten zakorzenił się na poziomie społeczno-politycznym, z jednej strony utrwalając mit matriarchatu, z drugiej – pieczętując rolę kobiety w społeczeństwie, określoną przez system patriarchalny. Zatem propagowane przez rosyjskie Strażniczki hasło „Prawdziwej kobiecie potrzebny jest mężczyzna i zdrowe dziecko” nie ma nic wspólnego z ideą kobiety wyemancypowanej – czego zapewne nie wiedzą polskie odbiorczynie systemu ćwiczeń.

Rola kobiety w tej koncepcji sprowadza się do dbania o domowe ognisko, przestrzegania tradycji oraz prokreacji. I choć adeptki ćwiczeń używają obrazów wyzwolonych kobiet, słowiańskich wiedźm skupionych w kręgach mocy, to jednocześnie podkreślają, że dzięki gimnastyce można odnaleźć partnera i stworzyć rodzinę. Innymi słowy: zdefiniować się dzięki mężczyźnie.

Zewnętrzne piękno

Od dwóch lat wyraźnie widać w polskich mediach wzrost zainteresowania gimnastyką słowiańską. Hasła „Obudź w sobie Słowiankę” czy „Praktykuj gimnastykę słowiańskich czarownic” zachęcają do ćwiczeń, odbywających się regularnie już na terenie całej Polski. Na cotygodniowe zajęcia można więc pójść do klubów osie-

dlowych, domów kultury, szkół tańca czy fitness-klubów nie tylko w metropoliach takich jak Warszawa czy Poznań, ale w wielu mniejszych ośrodkach. Prócz tego każdego miesiąca w wielu innych miastach Polski odbywają się warsztaty weekendowe, instruktorskie i indywidualne. Artykuły i reklamy znaleźć można w mediach lokalnych i ogólnopolskich. O tym, że są to praktyki idealne dla Słowianek, gdyż wywodzą się z rodzimych tradycji, przekonywała niedawno w „Pytaniu na śniadanie” w TVP2 trenerka z Podlasia.

W obszernym reportażu zamieszczonym w marcu 2017 r. w „Wysokich Obcasach” jedna z instruktorek opowiadała, że choć zgodnie ze słowiańską tradycją domeną kobiet jest dom, kobieta powinna służyć mężczyźnie, żeńcyżni zaś rodzi się doskonała, dlatego dziewczynki nie muszą chodzić do szkoły, to jednak – według niej – nie przeczy to ideom feminizmu.

System ćwiczeń zaczął legitymizować również świat nauki. Na stronie Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu można przeczytać, iż w Zakładzie Immunologii trwa projekt, który jest „pierwszym w świecie badaniem medyczno-diagnostycznym efektów tej gimnastyki”. Natomiast pod koniec marca w Centrum Biologii Medycznej tejże uczelni można było wysłuchać wykładu Oksany Pawłowskiej o wpływie gimnastyki na zdrowie kobiet.

W przedmowie książki Giennadija Adamowicza „Gimnastyka czarownic”, umieszczonej w internecie w dość nieporadnym tłumaczeniu na polski, czytamy: „We wszystkich wiekach wiele pisano o pięknie słowiańskich dziewcząt. Mówi się nawet, że u wszystkich genialnych mężów żony były Słowiankami. Od połowy XIX, zwłaszcza na początku XX w., stało się to prawie regułą. Faktycznie: przypomnijcie sobie burzliwy romans Napoleona z Polką, Polką była również żona Balzaca, natomiast żoną Salvadora Dali była Rosjanka. Co jest takiego przyciągającego w słowiańskich kobietach? Być może w pierwszej kolejności – zewnętrzne piękno, piękno twarzy i ciała...”

Skoro gimnastyka – jak twierdzą jej twórcy – budzi „pamięć genetyczną”, wywołuje na wierzch moc i ukryte słowiańskie piękno, to jak oprzeć się tej prostej receptie na szczęście? A może i Napoleon się trafi?

© OLGA SOLARZ

Autorka jest antropolożką i ukrainistką, pracuje w PWSW w Przemysłu.

ANNA

Dziewit-Meller:

Nie przypinajmy dzieciom ogona



TROCHĘ SIĘ BOJĘ PISANIA TEGO TEKSTU, BO mam poczucie stąpania po bardzo grząskim gruncie możliwych towarzyskich niesnasek. Ale spróbujmy, temat od dawna mnie uwiera jak kamyk w bucie. Niedawno wzięłam udział w debacie zatytułowanej „Mądrzy cyfrowi”, przygotowanej przez fundację ABCXXI – Cała Polska Czyta Dzieciom i organizację Google.org. Tam właśnie Natalia Walter z Wydziału Studiów Edukacyjnych UAM przedstawiła publiczności wyniki badań zawartych w raporcie „EU Kids online” przygotowanym przez zespół naukowców z Poznania pod kierownictwem prof. Jacka Pyżalskiego.

Serdecznie polecając Państwu wnikliwą lekturę całości tego raportu, mówiącego bardzo ciekawe rzeczy o tym, jak nasze dzieci funkcjonują w sieci, sama zamierzam skupić się na jednym tylko jego aspekcie – a mianowicie na sharentingu, czyli sytuacji, w której rodzice bezrefleksyjnie udostępniają w sieci wydarzenia z życia swoich dzieci.

Jak bowiem wynika z analizy prowadzonej w ramach tych badań przez mgr Aldonę Zdrodowską, około połowa nastolatków, których rodzice umieszczają w internecie informacje na temat swoich dzieci, nie pytając ich o zgodę, doświadcza związanych z tym negatywnych emocji.

Taki tu rysuje się paradoks, że choć spora część rodziców podejmuje szereg działań wychowawczych, związanych z funkcjonowaniem dzieci w sieci, by minimalizować liczne ryzyka, na które dzieci mogą się tam natknąć, to pojawiają się nowe zagrożenia, których źródłem są sami rodzice. Aldona Zdrowska pisze: „Przykładem jest tu zjawisko sharentingu, czyli nieodpowiedzialnego publikowania w internecie informacji (komentarzy, zdjęć, filmów) na temat własnych dzieci, bez uprzedniego zapytania o zgodę. Oprócz oczywistego naruszenia prawa młodego człowieka do prywatności, rodzice publikujący takie materiały, choć jest ich stosunkowo niewielu, narażają swoje dzieci m.in. na przykre komentarze ze strony innych użytkowników sieci”.

Zjawisko nie jest nowe, dudnią o tym co jakiś czas kolejne media, apelując do rodziców o umiar. Ten zaś powinien się pojawić gdy okazuje się np., że – jak pisał już pięć lat temu „The Independent” – połowa zdjęć w zbiorach pedofilów pochodzi z łowów na Facebooku i w innych mediach społecznościowych. Działają na wyobraźnię? Najwyraźniej za słabo.

Przeczytawszy ten raport, w pierwszym odruchu przebiegłam wszystkie swoje profile w mediach społecznościowych, by odechnąć z ulgą – nigdy nie wrzuciłam żadnego portretu moich dzieci ani na Facebooka, ani na Instagrama. Znalazłam dwie fotografie, na których, owszem, widać jakieś maleństwa, jednak

z bardzo daleka i w dodatku tyłem, tak że tylko ja mogę orzec, czy to są na pewno dzieci moje, czy może jakieś inne.

Potem sprawdziłam dokładnie konta naszej najbliższej rodziny – też niczego złego tam nie znajdując. Najwyraźniej prośby, by pozostawić nasze dzieci anonimowymi w sieci, na ile to możliwe i na jak długo się da, zostały wysłuchane. Za co uprzejmie dziękuję.

Bo jasne jest, że moi syn i córka jeszcze zdążą sobie nawrzucać fotografii w mediach społecznościowych, gdy już do nich nieco bardziej dorosną. Nie łudzę się ani przez chwilę, że będzie inaczej. Mam tylko cichą nadzieję, że będą czynić to nieco bardziej odpowiedzialnie niż wielu dzisiaj. A na razie zapewniam im czysty start, bez internetowego ogona, który mógłby się za nimi ciągnąć niechciany.

Choć oczywiście jest prawdą, że i mnie czasem korci. Chciałabym pokazać całemu światu, jakie moje dzieci są świetne, wspaniałe, inteligentne i zabawne. Tak jak pokazują mi każdego dnia liczne profile znajomych bliższych i dalszych, ulegających owemu pragnieniu. Widzę więc ich dzieci w sytuacjach domowych i na placach zabaw, widzę je na wakacjach i podczas występów w żłobkach, przedszkolach i szkołach. Widzę ich dziecięce pokoje, zabawki, pościel, w której śpią, i zmagania z rodzeństwem. Widzę czasem, jak płaczą, jak się śmieją, jak robią głupstwa, jak rosną i jak się zmieniają, jak uprawiają sporty, jak jedzą, jak grymaszą i jak się nudzą.

Nawet to rozumiem: okazji co dzień nadarza się milion – od pierwszego ich dnia na świecie. Dobrze wiemy przecież, że fotografie noworodków cieszą się dużą sympatią, lajki się sypią wtedy jak pierze z rozerwanej poduszki. Krótko mówiąc: moje dzieci są fantastyczne, nie macie nawet pojęcia jak bardzo. No i całe szczęście, że nie macie.

Katarzyna Szymielewicz, szefowa fundacji Panoptykon – organizacji, która usiłuje zaszczepiać w Polakach zdrowy sceptycyzm w kwestiach nowych technologii – mówiła mi ostatnio nieco zrezygnowana: „Ludzie boją się zagrożeń namacalnych, się ich nie martwi, choć powinna”. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają

LUBLIN

■ **środa, 12 czerwca,**
godz. 18.00

„Czy zwierzęta mają duszę?”

Gościem będzie Szymon Hołownia. Miejsce: Trybunał Koronny (Rynek 1).

ZIELONA GÓRA

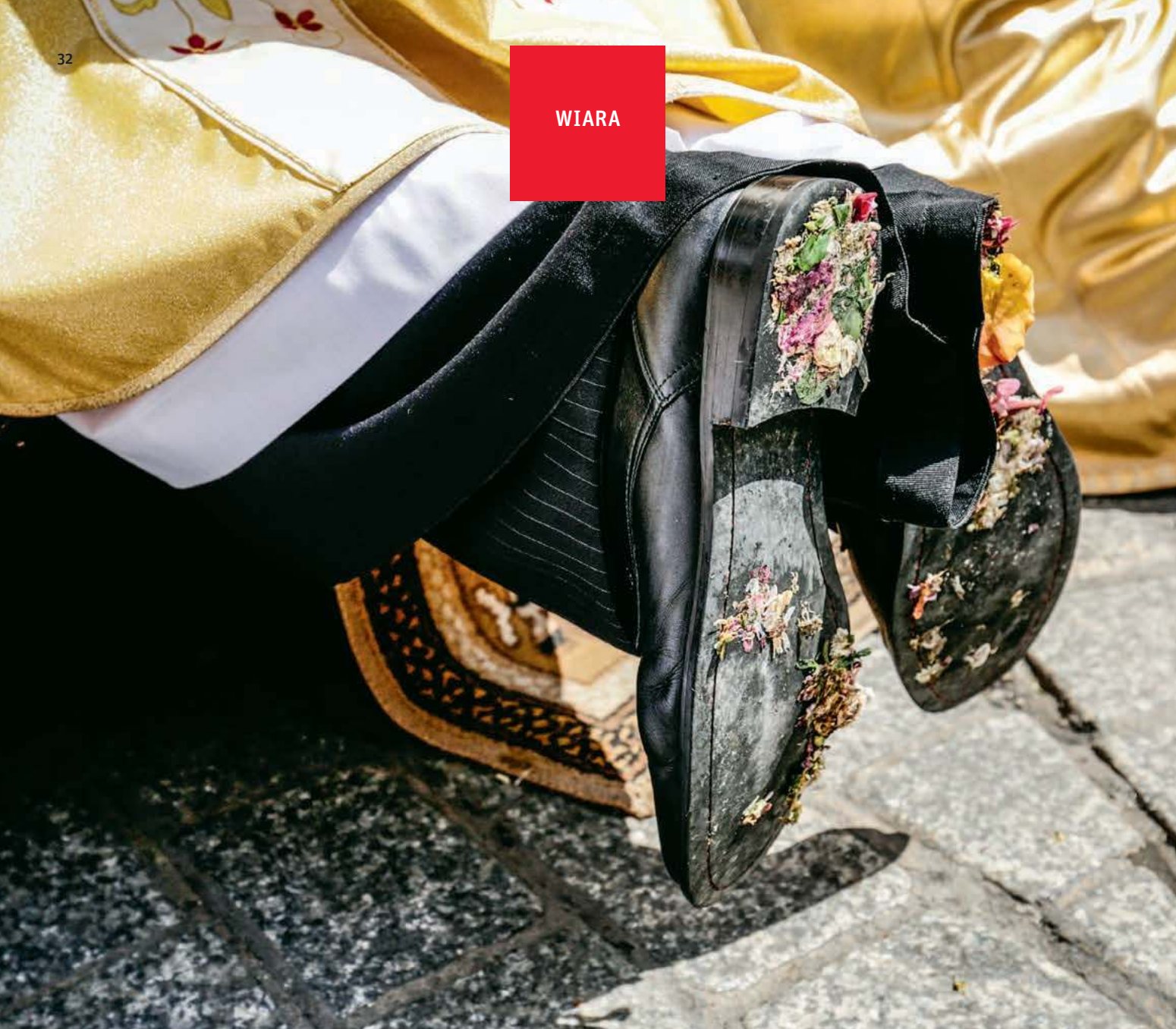
■ **poniedziałek, 17 czerwca,**
godz. 18.00

„Jan Józef Lipski i rok 1989: ryzyko, które było warte podjęcia”. Gościem będzie Łukasz Garbał. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

WARSZAWA

■ **czwartek, 13 czerwca,**
godz. 18.30

„Ukryte piękno. Architektura współczesnych kościołów”. Gościem będzie Jakub Turbas. Miejsce: Stacja Muranów (ul. gen. Andersa 13). Książkę będzie można kupić podczas spotkania.



ŻAŁOBA PO KOŚCIELE

Dziś dla wielu katolików wiara w „jeden, święty, powszechny, apostołski Kościół”
wystawiona została na poważną próbę.
Jak wierzyć po filmie Sekielskich?

KS. JACEK PRUSAK SJ

GRZECH I ZGORSZENIE PIERWSZE: Grzywdzenie bezbronnych przez tych, którzy powinni się o nich troszczyć. Grzech i zgorszenie drugie: niedowierzanie ofiarom (obarczanie ich winą itd.). Grzech i zgorszenie trzecie: chronienie sprawców, tuszowanie spraw, rozważnianie odpowiedzialności. Grzech i zgorszenie czwarte: trzymanie się stanowisk przez przełożonych winnych zaniedbań czy przez współsprawców. Grzech i zgorszenie piąte: tolerowanie grzechu czwartego. Tak brzmi najkrótszy, ale obejmujący to, co najważniejsze, kościelny rachunek sumienia po szoku spowodowanym dokumentem „Tylko nie mów nikomu”.

Sformułował go na swoim blogu ks. Grzegorz Strzelczyk, teolog ze Śląska, a mnie od razu przypomniało się jego pytanie sformułowane prawie dekadę wcześniej w tekście „Wierzyć »pomimo« Kościoła” opublikowanym w „Więzi” (nr 10/2010): „Jeśli dziś z przerażeniem dostrzegamy na przykład nieadekwatność kościelnych reakcji na przypadki pedofilii duchownych, to czyż nie mamy do czynienia właśnie z efektami struktur grzechu?”.

Postawy obronne

Dzięki filmowi braci Sekielskich zobaczyliśmy, że owo „dziś” nie stało się jeszcze naszą przeszłością, bo „zło – jak pisał ks. Strzelczyk – zabarykadowało się i okopało na poziomie struktur, mechanizmów podejmowania decyzji, tradycji czy zbiorowych przyzwyczaję”. Dziś dla wielu z nas wiara w „jedną, świętą, powszechną, apostołską Kościół” wystawiona została na poważną próbę.

Spontaniczna odpowiedź na dysonans poznawczy związany z tym kryzysem przybiera dwie biegunowo odmienne postawy. Z jednej strony, bardziej czy mniej szczerze zgorszeni, zniechęceni czy rozczarowani postawą hierarchów i duchownych wierni odsuwają się na margines wspólnot z zamiarem przeżywania swojej wiary obok widzialnych struktur Kościoła, w którym się wychowywali.

Z drugiej strony mamy tych, którzy przywołując hasło „ataku na Kościół”, swoją misję widzą w obronie za wszelką cenę wizerunku Kościoła, podkreślając heroizm kapłanów i znaczenie katolicyzmu dla historii Polski. Uznają więc *a priori* wszelką krytykę instytucjonal-

nego Kościoła za bezpodstawne ataki ludzi, jeśli nie złej woli, to przez takowych zmanipulowanych za sprawą wrogich Kościołowi mediów i środowisk. Jest to jednak „wielkościowy” sposób przeżywania lęku, tak jakby nic się nie wydarzyło, albo niczego nie trzeba by zmieniać, kiedy zadrżały fundamenty.

Dynamika żałoby

W tym binarnym podejściu pierwsi pozostają jedynie nominalnie w Kościele, ponieważ poza instytucją nie dostrzegali bądź nie odkryli wspólnoty. Ci drudzy z kolei samych siebie uważają za jedyną prawdziwą Kościół – nie dostrzegając, że ich religią jest klerykalizm. Boją się, że prawda zagrozi prawdzie, więc starają się podtrzymywać kościelne tabu. Jedni i drudzy nie radzą sobie z żałobą po Kościele, jaki dotąd znali.

Żałoba ma jednak swoje prawa i jest procesem nie tylko indywidualnym, ale i zbiorowym. Nie dotyczy tylko ofiar księży i ich najbliższych, ale każdego z nas, i nas jako jednej wspólnoty wierzących. Po pierwsze więc, musimy sobie i innym dać prawo do jej przeżywania. Po drugie, musimy sobie dać prawo do bólu z powodu Kościoła. Po trzecie, wykorzystać złość do zmiany struktur zła w nim obecnych. Po czwarte, nie szukać rozwiązania systemowego problemu w nakłanianiu niektórych jednostek do osobistego nawrócenia. Po piąte, nie głosić „taniej łaski” w stosunku do sprawców i tych, którzy ich chronili, myląc ją z ideałem chrześcijańskiego przebaczenia.

Ta „praca żałoby” obejmuje najczęściej cztery etapy: szoku i niedowierzania, poczucia utraty czegoś ważnego, dezorientacji, odnowy („dojścia do siebie”). Ludzie przeżywają je jednak na swój własny sposób, pomimo tego, że „w tym stanie” widzimy między nimi podobieństwa.

Pierwszym zadaniem żałoby jest uznanie straty, drugim – doświadczenie bólu. Procesowi temu towarzyszą: lęk, poczucie winy, paranoja, rozpacz wynikająca nierzadko z traumatycznego doświadczenia siebie „poza” dotychczasowym obiektem idealizacji i przywiązania. Żałoba nie jest algorytmem. W jej przeżywaniu należy dać sobie czas, mówić o stracie, pozwolić na wyrażanie bolesnych emocji, zaakcep-

tować złość, tolerować niepewność, nie czuć się „nienormalnym” czy „gorzej wierzącym” z powodu swoich wątpliwości czy kryzysu wiary, szukać wsparcia u innych. Pamiętając – jak mawiał Václav Havel – iż „nadzieja nie jest przekonaniem, że coś pójdzie dobrze, lecz pewnością, że coś ma sens niezależnie od tego, jak pójdzie”. Jest to więc przekonanie, że wszystko, czym żyjemy, szczęście i smutek, łzy radości i bólu, zwycięstwo i porażka, okaże się mieć jakiś sens.

Żałoba po Kościele wydaje się nieunikniona w obliczu filmu „Tylko nie mów nikomu”, jeśli rzeczywiście ból ofiar dotknął naszej wiary. Jak powiedział jednak ostatnio prowincjał jezuitów o. Jakub Kołacz do przełożonych wspólnot zakonnych: „Musimy pracować nad tym, aby uniknąć paniki w Kościele i hysterii w społeczeństwie”. Złość, poczucie bycia okłamywanym i zdradzonym, lęk oraz smutek tworzą bowiem mieszankę wybuchową. Ważne, aby pamiętać, gdzie i jak ją zdetonować, bo w obecnym kryzysie nie chodzi wyłącznie o odpowiedź na pytanie: „Czy wierzę jeszcze w Kościół?”, ale „Czy Go jeszcze kocham?”. Poprzeczka jest zawieszona wysoko.

Klerykalizm a struktury grzechu

Klerykalizm stał się słowem kluczem dla wyjaśnienia problemów pedofilii w Kościele, ponieważ zjawisko to ma dwie powiązane ze sobą strony: wykorzystanie seksualne (sprawca – ofiara) i odpowiedź (reakcja) hierarchii (papieża, biskupów, przełożonych zakonnych) na skargi ofiar. Musi więc być postrzegany systemowo. Należy jednak pamiętać – na co słusznie zwrócił uwagę ks. prof. Henryk Seweryniak w rozmowie z teologką i dziennikarką Moniką Białkowską („Teologia przy rosole”, Święty Wojciech 2019) – że lekarstwem na klerykalizm jako „perwersję kościelną” nie jest antyklerykalizm, tylko akklerykalizm.

Nie jest to wyłącznie gra językowa wynikająca z tego, że w języku polskim nie mamy odpowiedniego słowa na przetłumaczenie nauczania papieża Franciszka o zawłaszczaniu Kościoła przez duchownych, i wszystkich towarzyszących temu objawach patologii eklezjalnej. Wydaje mi się, że aby

→ właściwie zrozumieć aklerikalizm w obliczu rozczarowania Kościołem „głuchym” na głos ofiar, trzeba zrozumieć struktury grzechu w Kościele, a nie wyłącznie domagać się takich czy innych dymisji. Motywem do tego są słowa Credo, w którym przyjmujemy, wyznając to publicznie, nie Chrystusa z miłości do Kościoła, ale Kościół z miłości do Chrystusa.

Jeśli bowiem poważnie weźmiemy sobie do serca słowa św. Pawła z Listu do Efezjan: „Chrystus umiłował Kościół i wydał za niego samego siebie, aby go uświęcić, oczyściwszy obmyciem wodą, któremu towarzyszy słowo, aby samemu sobie przedstawić Kościół jako chwalebny, niemający skazy czy zmarszczki, czy czegoś podobnego, lecz aby był święty i nieskalany” (5, 25-27) – to zrozumiemy, że jesteśmy wzywani do tego, żeby wierzyć „pomimo” czy „na przekór” Kościołowi takich czy innych duchownych lub świeckich, kiedy w naszych oczach ma On więcej zmarszczek niż oznak swojej świętości. Nasze spojrzenie nie sięga bowiem jeszcze „poza zasłonę” (por. Ap 21, 2). Żeby jednak taka postawa nie była postawą obronną, „pobożną” racjonalizacją klerykalizmu i ucieczką przed odpowiedzialnością za obecne w Kościele i czynione przez Kościół zło w stosunku do nieletnich i innych ofiar, musimy pamiętać, że w obliczu zgorszenia wywoływanego przez jego członków, ich indywidualne nawrócenie nie może być wskazywane jako recepta nie tylko pierwsza, ale też jedyna i sama w sobie wystarczająca.

Perwersyjne mechanizmy

Książd Strzelczyk trafnie diagnozuje chorobę podkreślając, iż „ze strukturami grzechu jest taki problem, że nie tylko mogą wywołać zgorszenie, ale też i bardziej bezpośrednio formują do nieprawości. Człowiek funkcjonujący wewnątrz takiej struktury czy w zależności od niej może nawet działać w dobrej wierze, nieświadom tego, że jego sumienie zostało przez nią błędnie ukształtowane. W Kościele może się to zdarzyć tym łatwiej i sięgnąć tym głębiej, że w ramach wspólnoty wiary kredyt zaufania, z jakim wchodzi się w relacje, także do instytucji i jej »funkcjonariuszy«, jest chyba jednak większy niż na przykład w ramach stosunków ekonomicznych czy zależności służbowych”. Widzieliśmy to wielokrotnie w filmie Sekielskich, jak również i to, „że struktura grzechu, będąc rezultatem rozciągniętych

Przed utratą Kościoła jako swojego domu

nie uchroni nas wymiana Episkopatu. „Inny Kościół” to bowiem nie Kościół naszych wyobrażeń, tylko Jego – Boga.

w czasie skutków wielu indywidualnych grzechów, jest dość odporna na nawrócenie jednostki. Nawet mimo wielu nawróceń struktura może trwać, bo jest zakorzeniona już nie w pojedynczych zachowaniach, lecz w obyczajach czy wręcz prawie”.

Zmowa milczenia jest właśnie taką strukturą grzechu możliwą wyłącznie w klerykalnym Kościele. Aby się przeciwstawić owemu perwersyjnemu mechanizmowi, należy właściwie rozumieć reformę Kościoła, jak i jej konieczność, bo będzie się ona dokonywać wbrew takiemu obyczajowi, wbrew presji środowiska, wbrew większościowej opinii wzywającej do tego, żeby „dać sobie z Kościołem wreszcie spokój”, „rozstać się z nim z honorem, bo teraz jest odpowiedni czas”, albo „wybrać Boga, a nie Kościół”. Można zgodzić się ze słowami katowickiego teologa, „że to bodaj najbardziej skrajna, chyba egzystencjalnie najtrudniejsza, ale i nierzadka sytuacja, w której trzeba powiedzieć »pomimo« Kościoła – wręcz na przekór obowiązującemu trendowi”.

To jest nasze „dzisiaj”, ale to nie koniec. Owo „na przekór” musi bowiem wiązać się z dążeniem do usunięcia struktur grzechu, a więc wdrażania konkretnych zmian w odpowiednich obszarach życia Kościoła. A tu musimy się liczyć z tym, że takie dążenie spotka się z niemałym oporem „klerykalnej materii”. I tu czeka na nas wezwanie do „pozostania w szeregach” uczniów Jezusa, a nie takiego czy innego „guru” w koloratce.

Inny i ten sam Kościół

Za pontyfikatu papieża Franciszka, co z siłą podkreśla jezuicki teolog Victor Codina, „Kościół przestaje być rodzajem pobożnej organizacji pozarządowej: klerykalnej, zdominowanej przez mężczyzn, narcystycznej... i staje się Domem Ludu Bożego, gdzie protagonistami są ludzie świeccy, kobiety i rodziny. (...) Odchodzi

od duszpasterstwa zamkniętego z księżmi urzędnikami, pragnącymi robić karierę, i biskupami, których najłatwiej spotkać na lotniskach i którzy kończą jako kolekcjonerzy antyków... do Kościoła z pasterzami o zapachu owiec, którzy kroczą przed, za i pośrodku swego ludu” („Kościół wykluczonych”, WAM 2018). To jest ten Kościół, którego domaga się Chrystus w obliczu skandalu pedofilskiego w swojej owczarni.

Przed utratą Kościoła jako swojego domu nie uchroni nas wymiana Episkopatu. „Inny Kościół” to bowiem nie Kościół naszych wyobrażeń, tylko Jego – Boga. Wobec struktury grzechu w Kościele nie można pozostać obojętnym, ani kosmetycznie „pokropić ich święconą wodą”. Polskie społeczeństwo jest wystarczająco głęboko rozczarowane kościelną instytucją, aby taki kościelny makijaż mógł przetrwać próbę czasu. Musimy jednak pamiętać, że w polskim DNA mamy klerykalizm „wyssany z matczynej piersi”, i błędnie nam się wydaje, że jesteśmy Kościołem soborowym tylko dlatego, że msza jest sprawowana w języku ojczystym, z kapłanem zwróconym do wiernych, i mamy Oazę oraz inne ruchy kościelne.

Czym jest więc wiara „pomimo” Kościoła, który zawiódł i zawodzi? „Sprawa nie jest prosta – pisał w „Prawdziwej i fałszywej reformie w Kościele” ekspert teologiczny II Soboru Watykańskiego dominikanin Yves Congar – gdyż tym, co trzeba zreformować pod tym czy innym względem, jest właśnie konkretny Kościół. Ten Kościół trzeba zaakceptować i zarazem nie akceptować go takim, jakim jest. Jeśli ktoś go nie zaakceptuje, wówczas – o ile w ogóle nie uchyli się tchórzliwie przed podjęciem się czegośkolwiek – zacznie tworzyć jakiś inny Kościół, a nie dokona reformy. Jeśli natomiast zaakceptuje go takim, jaki jest, niczego w nim nie zmieni i również go nie zreformuje. Nie trzeba zmieniać Kościoła, natomiast trzeba zmienić coś w Kościele. Nie trzeba tworzyć jakiegoś innego Kościoła, natomiast trzeba w pewnym stopniu tworzyć Kościół inny”.

W ten Kościół trzeba uwierzyć i go pokochać po filmie braci Sekielskich. Musimy jednak dać sobie wszyscy szansę na bycie w stanie żałoby, odszukując w Kościele swoje miejsce na nowo i nie robiąc z niego folwarku duchownych, a winnym nie pozwalając na to, aby bili się w cudze piersi.



Chrzest chrześcijan pentekostalnych w Morzu Śródziemnym na Sycylii

Wewnętrzne życie Boga

O. TOMASZ GAŁUSZKA OP, TEOLOG:

Duch Święty wprowadza życie – także do życia duchowego. Jego figurą mógłby być człowiek krzątający się po domu.

ARTUR SPORNIAK: Po co potrzebny jest nam Duch Święty?

O. TOMASZ GAŁUSZKA OP: Wraz z przyjściem Chrystusa, Jego śmiercią na krzyżu i zmartwychwstaniem następuje odnowienie stworzenia – w to wierzą wszyscy chrześcijanie. To przejście stworzenia na nowy poziom. Po grzechu pierworodnym człowiekowi nic „nie odpadło” – nie miał przed grzechem pierworodnym trzeciej nogi, którą by po nim utracił. Na poziomie natury został taki sam. Utracił natomiast możliwość bliskiego kontaktu z Bogiem. Wraz z przyjściem Chrystusa ta możliwość wraca. Człowiek może na nowo żyć w stanie łaski – *in statu gratiae*. Ludzie

będą to określać jako życie w obecności Boga, w pełnym zaufaniu Jemu, w bliskiej z Nim relacji. Człowiek, który jest blisko Boga, mówi: „jeżeli teraz bym umarł, to się ucieszę”. Ludzie, którzy nie są w łasce, na myśl o śmierci zazwyczaj drżą, bo coś im podświadomie ciąży.

Łaska sprawia, że człowiek jest, jaki jest – po spowiedzi człowiekowi nic nie świeci. A jednak uzyskuje nowe możliwości, np. staje się duchowym światłem dla innych. Zaczyna wchodzić na poziom życia Duchem. I tu pojawia się Trzecia Osoba Boska. Wśród skutków przyjścia Chrystusa jeden jest zaskakujący – i nie dziwię się, że żydzi czy muzułmanie tym się gor-

szą: Bóg objawił nam, kim jest. Mówiąc szczerze, nie wiem, po co to uczynił. Bo równie dobrze mógł nas zostawić ze świadomością, że jest skrajnie transcendentny, jak w przypadku wiary muzułmanów. Tymczasem Bóg chrześcijan zachowuje się dziwnie – zaprasza do swojego domu, oprowadza po nim i mówi: „Ja tylko z zewnątrz wyglądam jak monolit, wewnątrz tak naprawdę jestem wspólnotą Osób”.

Część księży czuje się nieswojo, gdy w liturgii czytany jest Prolog Ewangelii św. Jana, bo nie wiedzą, jaką z tego tekstu wyprowadzić naukę moralną. A tam nie ma żadnej nauki moralnej! Bóg po prostu mówi: „zobacz, jak mieszkam!”. Gdy relacja – np. miłości – dojrzewa, narzeczeni zapraszają się do swoich domów, przedstawiają rodzicom. Skoro Bóg w Piśmie mówi: „Nazwałem was przyjaciółmi”, to jakby naturalne jest, że zaprasza nas do siebie. Objawienie Trójcy Świętej jest bezinteresownym darem danym przez Boga chrześcijanom, którzy na ten dar wcale nie zasługują. Ze strony Boga to ryzyko, tak jak ryzykiem jest wprowadzenie kogoś do domu i pokazanie mu, jak się żyje.

Kim zatem jest Duch Święty, tak ryzykownie nam objawiony?

On ożywia. Jest tym, który sprawia, że się żyje i chce się żyć. Wyobraźmy sobie wspaiały dom, w którym niby jest wszystko, ale nie ma ciepła i ruchu. Nie ma tego wszystkiego, co sprawia, że chce się tu być. Przychodzi mi na myśl scena z Ewangelii. Jezus przychodzi do domu Piotra i zastaje bezruch – teściowa Piotra leży chora. Gdy ją uzdrawia, ona natychmiast wstaje i powraca do tego domu życia. Figurą Ducha mógłby być krzątający się po domu człowiek.

Niemiecki teolog Gisbert Greshake proponuje eksperyment myślowy: „Wyobraźmy sobie, że istnieje tylko Bóg Ojciec i Jezus Chrystus, a nie ma Ducha Świętego”. I odpowiada, że wtedy Kościół byłby zbiorem mniej czy bardziej wiernych kopii Chrystusa. Duch sprawia, że jest możliwa różnorodność w jedności – dzięki wzajemnej wymianie.

Z kolei św. Tomasz, mówiąc o Duchu Świętym, proponuje metaforę z dziedziny sztuki. Bóg Ojciec jest jak kompozytor, który w pewnym momencie wpada na genialny pomysł niezwykłego utworu. Pojawia się myśl, która jest w pełni gotowa, ➔

→ doskonałą partyturą. Nie bez powodu o Bożym Synu mówi się jako o Logosie – Słowie. Ale zrodzona w twórczym akcie kompozytora partytura w pełni zaczyna żyć dopiero, gdy zostanie wykonana przez artystę. Artysta w jeden tylko sposób może oddać chwałę kompozytorowi – przez wykonanie jego partytury. Duch Święty jest taką muzyką. Ojciec rodzi Syna, Syn kocha Ojca – następuje wymiana miłości, która jest Duchem Świętym. Więc odpowiadając na eksperyment Greshakego – dla mnie Trójca bez Ducha Świętego jest jak danie ludziom partytury bez możliwości wykonania. Jak mielibyśmy się nią wówczas zachwycić?

Św. Tomasz zinterpretuje też trwanie apostołów w Wieczerniku po zmartwychwstaniu Jezusa, mówiąc, że apostołowie trwali w łasce uświęcającej. Można powiedzieć, że wytworzyli sobie taką wygodną i bezpieczną republikę wieczernikową. Co natomiast robi Duch Święty? Wyprowadza na zewnątrz. Tomasz wręcz mówi, że wyrwa ich z bezpiecznego wnętrza Kościoła.

Człowiek w Synu staje się synem – zostaje usynowiony przez Boga Ojca. Ten aspekt chrześcijaństwa pielęgnują przede wszystkim nurty tradycjonalistyczne. Dla nich ważne jest bycie Bożym dzieckiem, które jest przy Ojcu i podziwia Go. W pewnym momencie jednak przychodzi Ojciec i mówi: drogi synu, weź Ducha Świętego i idź zmieniać świat. Gdyby nie zesłanie Ducha Świętego, trwalibyśmy do dzisiaj w Wieczerniku. Ale jak mówi Paweł: „Nie jesteśmy tylko dziećmi, ale i dziedzicami”.

Czy niesłyszany sukces ruchów charyzmatycznych można wytłumaczyć potrzebą wzięcia Bożego dziedzictwa w swoje ręce?

Św. Tomasz wskazuje na dwa typy chrześcijan: ukształtowanych na wzór Jana i na wzór Piotra, czyli kontemplatyków i ludzi aktywnych. Doktor Anielski przyznaje, że nie wie, którzy są ważniejsi w życiu Kościoła: Janowie są bardziej kochani przez Chrystusa, a Piotrowie bardziej kochają Chrystusa. Różnicę między nimi widać w scenie, gdy Jan i Piotr biegną do pustego grobu – Jan zatrzymał się przed progiem, zajrzał do grobu i uwierzył, Piotr natomiast wszedł do środka. Tomasz mówi, że są ludzie, którzy poznają, ale nie doświadczają, nie muszą dotykać, czuć, żeby rozumieć. Piotrowie zaś są aktywni, doświadczają, a zrozumienie przychodzi później albo nigdy.



MACIEJ CHANAŁA OP

Bóg zaprasza nas do działania. Tak należy rozumieć bierzmowanie – jako podejmowanie własnej misji w Kościele. Według słów Tomasza, jeżeli człowiek podejmuje misję, Bóg daje mu dary, których potrzebuje – właśnie charyzmaty.

O. TOMASZ GAŁUSZKA jest dominikaninem, mediewistą, kierownikiem Katedry Historii Starożytnej i Średniowiecznej UPJPII w Krakowie. Ostatnio opublikował książkę „Odnova w łasce. Teologia charyzmatów św. Tomasza z Akwinu” (Esprit 2018), w której pokazał, że zjawiska występujące we współczesnym ruchu charyzmatycznym można zinterpretować przy pomocy teologii św. Tomasza.

Współczesny problem z ruchami charyzmatycznymi można pokazać przy pomocy tego rozróżnienia: charyzmatycy często nie chcą poddawać swojego doświadczenia teologicznemu namysłowi. Z kolei ludzie bardziej nastawieni na tradycję mówią: czy nie wystarczy poznać, by uwierzyć?

Niestety charyzmatycy zbyt często bazują na amerykańskiej literaturze zielonoświątkowej, w której namysł teologiczny jest słabo obecny. Podobny problem mają egzorcyści i ludzie zafascynowani literaturą demonologiczną, dla których często ważniejsze jest, co powiedział demon, niż porządna analiza teologiczna. Tradycjonaliści z kolei boją się religijnego doświadczenia – wystarcza im przeżycie piękna liturgii. Podobny problem mają religijni intelektualiści. Zauważam, że tomiści ignorują

te fragmenty pism św. Tomasza, które mówią o charyzmatach.

Co zatem one mówią?

Piszę o tym obszerniej w książce „Odnova w łasce”. Zapytajmy najpierw, dlaczego charyzmaty się objawiły dopiero współcześnie w ruchach charyzmatycznych? W burzliwym okresie reformacji nad pytaniem, dlaczego Kościół nie doświadcza charyzmatów obecnych w pierwotnym chrześcijaństwie, takich jak dar prorocstwa, uzdrawiania czy mówienia językami, zastanawiał się dominikański polemista Lutra – Kajetan. I on, jako kardynał, odpowiedział, że to wina niewrażliwości biskupów. To nie jest tak, że Duch Święty przestał działać w Kościele.

Charyzmat jest nadprzyrodzonym darem danym człowiekowi przez Boga w bardzo konkretnej misji. Jeśli powiedzieliśmy, że prócz tego, iż jesteśmy dziećmi Bożymi, jesteśmy także jego dziedzicami, to znaczy, że Bóg zaprasza nas do działania. Tak należy rozumieć bierzmowanie – jako rozeznawanie i podejmowanie własnej misji w Kościele. Według słów Tomasza, jeżeli człowiek podejmuje misję, Bóg daje mu dary, których w danym momencie potrzebuje – właśnie charyzmaty. Łaska uświęcająca czyni cię dzieckiem, a charyzmat sprawia, że zaczynasz działać w Kościele w sposób bardzo skuteczny.

Ciesząc się największym zainteresowaniem charyzmat uzdrawiania jest jednocześnie najtrudniejszy dla osoby nim obdarowanej. Zdarza się, że te osoby czują, iż są instrumentalnie traktowane. Tymczasem Tomasz zaznacza, że dar uzdrawiania jest dany przede wszystkim dla rozpalać wiary. Nie po to, byśmy mieli alternatywną służbę zdrowia. Apostołowie sami dla siebie nie prosili o uzdrowienie. Paweł odkrywa, że jego wewnętrzne zmaganie – ościć dla ciała – jest mu zadane, że „moc w słabości się doskonali”.

Czy posiadane talenty albo odkrywane powołania są charyzmatami?

Nie, charyzmaty są czymś ekstra. Ale nie ma się co na nich skupiać, bo to tak, jakbyśmy w relacjach z innymi skupiali się na otrzymywanych prezentach. Mogą one być różne, np. dary związane z poznaniem. Powiedzmy jeszcze raz: normalną drogą jest życie z Bogiem. Jeżeli żyjesz z Bogiem, nie powinienes się dziwić, że możesz mieć różnego typu doświadczenia charyzmatyczne – od prorocत्व, poprzez doświadczenia mi-

styczne, po różne iluminacje. Kiedy czytam „Dzienniczek” siostry Faustyny, widzę, że doświadczała ona różnych charyzmatów, tylko nie potrafiła ich ponazywać.

Pisze Ojciec za św. Tomaszem o „niewidzialnych postaniach Osób Boskich”. Co to takiego?

To jeszcze coś innego. Najważniejszą rzeczą jest zerwanie z grzechem, czyli nawrócenie i życie w stanie łaski uświęcającej. Wówczas Bóg spokojnie nas prowadzi do celu, jakim jest On sam. A pragnienie Boga jest wpisane w naszą naturę. Według św. Tomasza piekło nie będzie polegać na wyrafinowanym „grillowaniu”, tylko na spełnieniu naszych rzeczywistych pragnień – jeśli to było cokolwiek innego od Boga, np. rzeczy materialne, będziemy musieli się tym zadowolić na wieczność.

Życie w łasce – odnawiane w sakramencie spowiedzi, wzmacniane modlitwą i Słowem – przyrównać możemy do płynięcia łodzią z rozpostartym żaglem. Może się zdarzyć, że podczas życiowej podróży doświadczymy nagłego podmuchu i będziemy musieli zmienić kierunek żeglugi.

Tomasz nazywa to niewidzialnym posłaniem Osób Boskich. W pewnej chwili Bóg chce, żeby człowiek uczestniczył w Jego życiu, czyli w misji posłania w świat Syna-Słowa i Ducha Świętego-Miłości. Mówiąc kolokwialnie, jest to „podłączenie się” do działania Bożego w świecie. I ukoronowanie naszego życia duchowego.

Charyzmatycy to nagle duchowe „szarpnięcia” nazywają w sposób bardzo nieprecyzyjny, a nawet mylący, „chrztem w Duchu Świętym” i czasem wyżej je cenią od sakramentu chrztu, co jest teologicznym nieporozumieniem. Chrzest przywraca nam synostwo Boże i umożliwia życie w łasce. Natomiast posłanie Osób Boskich włącza nas w misję Boga w świecie.

A konkretnie, jeżeli dany człowiek ma posłania dotyczące myśli, wtedy otrzymuje dar prorocstwa. Ten dar „współpracuje” ściśle z naszą zmysłową i ulokowaną w mózgu wyobraźnią i nie oznacza, że się nagle słyszy jakiś wewnętrzny głos.

Jak go rozpoznać?

Mamy w wyobraźni odcisnięte w ciągu życia różne obrazy. Dar prorocstwa polega

na tym, że w naszej wyobraźni pojawia się nagle nadprzyrodzone światło (*lumen propheticum*), oświetla pewne obrazy i człowiek nie umie wytłumaczyć tej wizji np. tym, że coś zjadł na kolację czy obejrzał wciągający film.

Zawsze trzeba to poddać rozeznaniu. Jeżeli mnie by ktoś poprosił o radę w sprawie swojego daru prorocstwa, przede wszystkim doradziłbym mu ascezę wyobraźni. Tomasz mówi, że gdy wyobraźnia jest wyciszona, jej powierzchnia jest gładka i można więcej zobaczyć, jeżeli pojawi się światło. Wszystkie dary, jakie możemy otrzymać, związane są z naturalną pracą naszego mózgu. Mogą zatem występować różnego rodzaju zniekształcenia.

Wyobrażam sobie, że gdyby Tomasz trafił na spotkanie współczesnych charyzmatyków i usłyszał, że ktoś otrzymuje prorocstwo, zapewne wziąłby taką osobę na bok i zapytał, czy jednak pojawienia się tych obrazów nie potrafi wytłumaczyć w sposób naturalny. Potem zapytałby o to, jakie to prorocstwo przyniesie skutki dla wspólnoty. Jeśli złe, to trudno ich genezę przypisywać Bogu.

→

REKLAMA

IL DIVO

PREZENTUJE

TIMELESS
15th Anniversary

KONCERT

20 lipca 2019
Atlas Arena Łódź

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl

Prestige
MJM

RMF
Classic

GAZETA BANKOWA

empik

T3

STRÖER

WP

cgm.pl

VIXON
MEDIA

jaz
soul.pl

pap

Multikino

PRESS
SERVICE
managing medical

→ Ale Bóg jest dziwny, nie wiedzieć czemu zaprasza nas, ignorantów w zabłoconych butach, do swojego domu. Teraz jeszcze widzimy, że rozdaje swoje dary na prawo i lewo, co sprawia nam wyraźny kłopot.

A po co we wspólnotach charyzmatycznych glosolalia, czyli „mówienie językami”? Niektórzy twierdzą, że modlą się „językami aniołów”...

Tomaszowi nie było dane obserwować tego charyzmatu, ale na podstawie wypowiedzi św. Pawła trafnie wynioskował, czym on jest. Napisał, że to nie jest żaden artykułowany język, przyrównał tę modlitwę do gaworzenia dziecka. Dar języków jest formą chwaleń Boga w sposób, który rozumie sam Bóg. Wspólnota ma zatem z niego pożytek, jeżeli modlitwie tej towarzyszy dar prorokowania albo tłumaczenia języków. Tak czy inaczej jest to najbardziej prymitywny, czyli pierwotny charyzmat. Trudno chcieć zatrzymać się w rozwoju duchowym na gaworzeniu...

Pojawiają się też nowe zjawiska, jak np. „spoczynek w Panu” – prowadzący modlitwę nakłada ręce na głowę osoby i ona upada zemdlna. To nowe charyzmaty czy niebezpieczna psychomanipulacja?

Wszystkie duchowe doświadczenia, o których rozmawiamy, zakładają udział naszej sfery zmysłowej, emocji i mózgu. A mózgiem i psychiką można manipulować. W grę wchodzi złe rozpoznanie i mylenie przyczyn nadprzyrodzonych z naturalnymi. Pod uwagę trzeba brać też autosugestię, hipnozę czy to, czym się zajmuje psychologia tłumy.

Próbując „myśleć” świętym Tomaszem podejrzewam, że nie wykluczyłyby on takiego charyzmatu jak „spoczynek w Duchu Świętym”. Byłby to charyzmat zapowiadający to, co nas czeka w niebie – niezwykła rozkosz spoczynku w Bogu. Życie duchowe potwierdza, że w czasowy i bardzo niedoskonały sposób możemy doświadczać przedsmaku nieba. Tomasz zapewne dodałby, że charyzmat ten jest raczej rzadki. Na pewno trzeba tu byłoby rozpoznać rolę dotyku.

Skąd wśród charyzmatyków aberracje – np. straszenie przedmiotami, które rzekomo stanowią furtki dla demonów?

Najpierw odpowiedzmy na pytanie, dlaczego teologowie nie lubią zajmować się charyzmatykami. W doświadczeniu Bóg wymyka się nam spod kontroli. Teolog, dopóki Pana Boga nie doświadcza, może Go pozamykać w fajną siatkę kategorii i terminów, i traktować jak przedmiot badany w laboratorium. Ale z drugiej strony, pozostawiając doświadczenie bez intelektualnego namysłu, możemy się zwodzić i manipulować. Dlatego Piotr musi iść razem z Janem, wrażliwość z siłą, zmysły z intelektem, praktyka z teorią. I to jest apel skierowany przede wszystkim do kapłanów i liderów angażujących się w ruchy charyzmatyczne. A co się tyczy demonologii, warto pamiętać, że ich władza nad światem i nami jest dość ograniczona. Jak mówi Tomasz – mogą nas oglądać jedynie z zewnątrz jak wnikliwi obserwatorzy i szpiedzi, ale i tak nie mają żadnego wejścia i dostępu do naszego umysłu. Nasz umysł znany jest jedynie Bogu.

© P Rozmawiał ARTUR SPORNIĄK

Sto procent Bergoglia

EDWARD AUGUSTYN

Przez sześć lat mogliśmy przywyknąć do bezpośredniego i szczerego stylu Franciszka. A jednak wywiad udzielony Valentinie Alazraki zaskakuje. Może tylko ten jeden, jedyny raz papież pokazuje się takim, jakim naprawdę jest.

FRANCISZEK NIE BOI SIĘ MEDIÓW, Nawet jeśli idąc do dziennikarzy żartuje, że wchodzi do klatki lwów. Rozmawia z nimi swobodnie i serdecznie, mówi, co myśli (choć według niektórych – nie myśli, co mówi).

Czasem ma z tego powodu kłopoty, jak niemal po każdej samolotowej konferencji, które – jako mniej formalne i skracające dystans – sprawiają, że bardziej się otwiera. Albo w przypadku słynnych już popołudniowych pogawędek z Eugeniem Scalfarim, założycielem i wieloletnim redaktorem naczelnym dziennika „La Repubblica”, socjalistą i agnostykiem, prywatnie zaś przyjacielem papieża. Ich treść Scalfari odtwarzał z pamięci, obciążając papieża słowami, których nikt nigdy nie potwierdził ani im nie zaprzeczył. „Papież dał mi wolną rękę” – tłumaczył 95-letni nestor włoskiego dziennikarstwa. „Gdy pytałem, czy mogę to opublikować, mówił: »rób, co uważasz za stosowne«”.

Meksykanka Valentina Alazraki, akredytowana w Watykanie od 1974 r., również należy do tych, którzy cieszą się szczególnie sympatią Franciszka. Po lutowym szczycie ws. seksualnego wykorzystywania nieletnich to uczucie jeszcze zyskało na sile. Dziennikarka wygłosiła tam konferencję dla biskupów. Skorzystała z okazji, by powiedzieć im – od serca – słowa, które słyszą rzadko, a już na pewno nie od kobiety. Precyzyjnie wytknęła im wszystkie błędy, jakie popełniają, zamykając się w hermetycznym, skleryzowanym środowisku, próbując rozwiązywać problemy po cichu

ś.†P.

Elżbieta (Izia) Dembińska-Mycielska

Zmarła 29 maja 2019 roku w Warszawie.

Msza św. odbędzie się w sobotę 8 czerwca o godzinie 10.00
w Kaplicy Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi w Laskach,
po czym nastąpi pogrzeb na miejscowym cmentarzu.

ANDRZEJ, JOANNA I ANITA Z RODZINAMI



ALBERTO PIZZOLI / AFP / EAST NEWS

Franciszek i dziennikarka Maria Valentina Alazraki, wrzesień 2017 r.

i bez informowania opinii publicznej. „Zdecydujcie się w końcu, po której jesteście stronie: ofiar czy przestępców?” – wołała. Nie zawahała się oskarżyć przedstawicieli kurii o branie łapówek od Marciala Maciela, założyciela Legionistów Chrystusa, seryjnego pedofila i gwałciela, hołubionego w Watykanie. To przemówienie zrobiło na Franciszku ogromne wrażenie.

Ostatni wywiad (którego fragmenty opublikowano na YouTube, a tekst całości – na portalu vaticannews.va) jest tej sympatii dowodem i owocem. Alazraki to widzi i czuje, co znajduje wyraz w jej pytaniach: powoli stają się coraz trudniejsze. Dopytuje o najbardziej kłopotliwe szczegóły, a papież okazuje jej olbrzymie zaufanie: mówi otwartym tekstem, nie unika tematów, chociaż nie na każde pytanie umie znaleźć prostą, logiczną odpowiedź. Wygląda to naturalnie i spontanicznie, jakby rzeczywiście nie znał pytań i nie przygotował sobie żadnej strategii. Telewizyjny zapis dobrze to oddaje: padają kolokwialne zwroty i niedokończone zdania, mamy wrażenie, że rozmowa toczy się „na żywo”, bez montażu i redakcji. Zdarza się, że odpowiedź udzielona na jedno czy drugie pytanie przeczy tej, którą słyszymy przy trzecim.

Bałaganiarz z wizją

Choćby głośna „chilijska pomyłka”. Papież przyznaje, że został wprowadzony w błąd, zbyt uwierzył ludziom, którzy bronili skompromitowanego tuszowaniem prze-

stępstw pedofilskich księży bp. Juana Barrosa Madrida. Długo ślepo go bronił. Dopiero pytania dziennikarzy skłoniły go do refleksji, że może jednak jest inaczej, niż mu mówiono. Podobnie było w przypadku kard. George’a Pella, skazanego przez australijski sąd pierwszej instancji na karę więzienia za pedofilię. Franciszek tłumaczy się, że ktoś mu go polecił; że wybrał go do rady K9, bo potrzebował przedstawicieli wszystkich kontynentów; że wcześniej oczyszczono go z jakichś zarzutów...

„Człowiek to jedyne zwierzę, które dwa razy wpada do tej samej dziury” – mówi na początku rozmowy, w zupełnie innym kontekście: przestrzegając polityków, by nie popełniali tych samych błędów, co ich poprzednicy, którzy doprowadzili świat do wojny. Kilkanaście minut później sam ma identyczny problem: z uporem broni kard. Óscara Maradiagę, kolejnego ze swych doradców (z dziewięciu ostało mu się sześciu), oskarżanego o finansowe malwersacje. „Niczego mu nie udowodniono” – powtarza. „Może popełnił jakieś błędy, może się pomylił. Ale nie na skalę, jaką mu się zarzuca. To oszczerstwa”.

Jeszcze mniej przekonująca jest obrona decyzji w sprawie bp. Gustava Óscara Zanchetty. Argentyński hierarcha, oskarżony o seksualne wykorzystywanie kleryków, niegospodarność i przemoc psychiczną wobec podwładnych, rezygnuje w 2016 r. z kierowania diecezją, przyjeżdża do Watykanu i... dostaje wysokie stanowi-

sko w Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej. Z rozbrajającą szczerością Franciszek przyznaje, że wpierw wątpliwości rozstrzygał na korzyść oskarżonego, potem – gdy zarzuty potwierdziły wiarygodne osoby – wysłał go na badania psychiatryczne do Hiszpanii (a nie na wakacje, jak pisały media). Wykonane tam testy pokazały, że Zanchetta ma wiele cech „przydatnych w zarządzaniu i konsultingu” – brnie dalej papież. „Powierzonymi dziełami zarządzał dobrze, mimo bałaganu w finansach. Był bałaganiarzem, ale miał wizję”.

I padają słowa, które słyszymy często, choćby od polskich biskupów: o domniemaniu niewinności, przewlekłości procedur, a nawet że odpowiedzialni za sprawę urzędnicy kurii byli na urloпах. Do tego zastanawianie się niepamięcią, jak w przypadku zarzutów byłego nuncjusza w USA, abp. Carla Marii Viganò, że papież wiedział wcześniej, choćby od niego, o nadużyciach seksualnych kard. Theodore’a McCarricka i długo nie podejmował żadnych działań. „Nie mam pojęcia, czy mi o tym powiedziano, czy nie. Nie pamiętam” – broni się Franciszek, pytany o eskcesy byłego kardynała.

Ojciec nie taki święty

Mówiono o tym głośno zwłaszcza na początku pontyfikatu, dopatrując się zestawie Franciszkowych cech latynoskiego rysu. Spontaniczność, działanie intuicyjne, chaotyczne, nieprzywiązywanie

→ wagi do wypowiadanych słów, błędne decyzje personalne, zmiana opinii w oparciu o niejasne przesłanki, upór. Mówienie o „argentyńskiej mentalności” to jawna i niepoprawna politycznie stereotypizacja, ale wywiad w meksykańskiej telewizji jasno dowodzi, że „jego mowa go zdradza” – jak mówi Ewangelia. Franciszkowy sposób myślenia, mówienia, argumentowania i działania niektórych drażni, a dla wielu jest wręcz nie do zaakceptowania. I to nie tylko dlatego, że odbiega od stylu jego poprzedników: Jana Pawła II, równie uwielbianego przez media, który panował nad każdym wypowiedzanym słowem, dbając nie tylko o jego treść, ale i formę, a nawet intonację; albo precyzyjnego do bólu i oszczędnego w emocjach Benedykta XVI. Przede wszystkim dlatego, że odbiega od ich kulturowych, a więc europejskich czy też zachodnich, ukształtowanych przez wieki norm, oraz oczekiwań wobec papieża: niezmiennego, nieomylnego i wciąż przemawiającego z piedestału „świętego ojca”.

Franciszek jest zwykłym ojcem. W większości krajów katolickich „ojcami” nazywa się wszystkich księży, nie różniując ich, jak w Polsce, na „świeckich” (czyli diecezjalnych) i zakonnych. „Tak, jestem papieżem, biskupem, byłem kardynałem, ale nie zabraniajcie mi być księdzem” – mówi w wywiadzie. Nie przestał być proboszczem i duszpasterzem, który pewniej czuje się w rozmowie sam na sam z drugim człowiekiem, gdzieś w zaciszu parafialnej saliki, niż przemawiając z wysokości Piotrowej katedry. A na pytanie, czy zmienił się po wyborze na papieża, odpowiada: tak, zmieniłem zdanie w wielu sprawach, ale nie dlatego, że zostałem papieżem, tylko dlatego, że zmienia się świat i moja świadomość, że dojrzewam, uczę się, uświęcam. „Jako kardynał uchodził Ojciec za konserwatystę” – przypomina dziennikarka. „I dalej nim jestem” – odpowiada. „Mówię to, co zawsze mówił Kościół” – precyzuje; aborcję nazywa „zabójstwem na zlecenie”, małżeństwa homoseksualne uważa za „niedorzeczność”.

Jednocześnie nie widzi przeszkód, by okazać współczucie kobiecie, która usunęła ciążę, albo przyjąć na audiencji parę gejów czy osoby transseksualne. Ale też nie widzi powodów, by z tych spotkań wyciągać jakiegokolwiek uogólniające wnioski. Ludzkie problemy – nawet te o globalnej skali, jak kryzys migracyjny, bieda, niewolnictwo – mają dla niego zawsze twarz

konkretnych ludzi, których spotkał sam, albo o których mu opowiedziano. Na przykład zamordowanej na oczach swego dziecka meksykańskiej kobiety, jednej z tysięcy ofiar przemocy w tym kraju, której koszulkę Valentina Alazraki przekazała papieżowi w czasie rozmowy. Powtórzał jej imię – Rocío – jakby chciał na zawsze zapamiętać.

Muzeum, nie kuria

Franciszek jest przekonany, że papież ma prawo występować też „prywatnie”, że może udzielać rad konkretnym osobom, w konkretnych przypadkach, niczym kierownik duchowy na spowiedzi, i że rady te nie muszą ani w każdym innym przypadku być słuszne, ani tym bardziej powszechnie obowiązujące. Przyznaje sobie prawo do nieprecyzyjnej wypowiedzi, która może być źle zrozumiana, zwłaszcza wyjęta z kontekstu; tak jak prawo do zmiany zdania czy nawet błędu. Ale powiedzmy uczciwie: takie samo prawo daje i innym. Na tym polega w praktyce wolność słowa, prawo do szczerej, otwartej wypowiedzi, nawet krytycznej, jeśli tylko motywowana jest dobrymi intencjami.

Sam nie przejmując się zbytnio tym, czy zostanie właściwie zrozumiany. Wie, że nie jest w stanie sprostować wszystkich przeinaczeń, w jakich jego słowa obiegły już świat.

Choć czasem, przymuszony przez swą rozmówczynię, to robi. W ten sposób krótko, ale zdecydowanie broni Jana Pawła II przed oskarżeniami, których sam był poniekąd autorem, gdy w samolocie powrotnym z Abu Zabi opowiedział dziennikarzom „anegdotę”, z której wynikało, że papież Wojtyła chronił wspomnianego już ks. Maciela.

Teraz przyznał, że w opowiadanej *ad hoc* historyjce pomylił fakty, a Jan Paweł II nie miał zamiaru ukrywać przestępstw ani Maciela, ani innych przestępców, choć bez wątplenia był w tych kwestiach wprowadzany w błąd przez swych najbliższych współpracowników, jak też – ze względu na doświadczenia z komunistycznym reżimem – nie dawał wiary w oskarżenia księży, widząc w nich raczej element walki z Kościołem niż obraz trudnej do zaakceptowania, ale prawdziwej rzeczywistości. W Polsce te słowa spotkały się z szerokim omówieniem, ale w długim, ponad godzinnym wywiadzie były krótkim wyjaśnieniem narastającego od kilku miesięcy nieporozumienia.

Bez wątplenia bardziej niż niezrozumienie, Franciszka boli hipokryzja i kłamstwo. Zwłaszcza w najbliższym otoczeniu. Alazraki przytacza słowa jednego z biskupów rzymskiej kurii: „ciągle nas ruga, wychodzi na to, że tylko on jest dobry, a my zawsze źli”. Franciszek przyznaje, że opinia, jakoby bardziej dbał o tych, którzy są daleko, aniżeli o tych, co są przy nim, mu pochlebia. W tym widzi rolę pastora, który troszczy się nie tylko o owce w owczarni, ale też o te, które pozostały na zewnątrz. Wyjście do ludzi na obrzeża, margines, tam, gdzie najbardziej potrzeba wsparcia i pomocy, uważa za najważniejsze. Z takiej perspektywy – ewangelicznej, co wciąż podkreśla – wszystkie problemy i zadania Kościoła układają się w odpowiedniej kolejności. A wszystkie urzędy otrzymują sprecyzowany cel – pomoc człowiekowi. Reforma kurii, którą na konklawe powierzyli mu kardynałowie, też tylko temu ma służyć. „To ostatni w Europie dwór monarchy absolutnego” – zauważa Franciszek. Dworskie przyzwyczajenia i obyczaje czas odłożyć do muzeum.

Świat, który nie działa

Czy można się dziwić, że tak „ludzki” papież cieszy się sympatią mediów? Alazraki zdradza Franciszkowi, że dziennikarze nazwali go „Teflon”, bo w zadziwiający sposób nie chce się do niego przykleić żadna afera ani przyłgnąć zła opinia. Nie zaszkodziły mu nawet popełniane błędy. Zupełnie inaczej było z Benedyktem: ten cokolwiek zrobił, spotykał się z krytyką. Dziennikarka pyta, jak to możliwe, że w czasie największego od lat kryzysu Kościoła papież jest wciąż tak bardzo popularny, a jego „miodowy miesiąc” w relacjach z mediami trwa już sześć lat. Franciszek z taką opinią się nie zgadza: kryzys dotyka także jego – czego przykładem są choćby oskarżenia o herezję – a w Kościele jest dużo rzeczy godnych pochwały i popularyzowania. Kryzys to dla niego zawsze początek zmian, okazja na przeprowadzenie reform, które dzięki temu jawią się nie tylko jako potrzebne, ale już konieczne.

I jeszcze dodać można – co wynika z całej, długiej i wielowątkowej rozmowy – że kryzys dotyka nie tylko Kościół, ale też całe społeczeństwo, gospodarkę, środowisko, politykę – świat, który „nie działa”. Dotyka konkretnego człowieka. „Rocío” – przypomina Franciszek na koniec zapamiętane imię. I prosi, by o niej nie zapominać.

SZYMON

Hołownia: Solidarność na opak



NIE MA LEPSZEGO MOMENTU NIŻ TYDZIEŃ, w którym wypada 4 czerwca, by pomedytować nad sloganem założycielskim wolnej Polski: „Nie ma wolności bez solidarności”. 30 lat wystarczyło, by przekonać się, że o ile jako piękny postulat to hasło nadal pociąga siłą prawdy, o tyle na płaszczyźnie pragmatycznej da się je sfalsyfikować. Nikt przytomny nie zakwestionuje przecież tego, że żyjemy w wolnym kraju. A solidarność? Kto z Państwa ostatnio ją widział?

Nie mówię tu, rzecz jasna, o zredukowanym przez swoje kierownictwo do roli politycznej przystawki związku zawodowym, który nie wiedzieć czemu zachował historyczną nazwę – tę powinno się już dawno wycofać z bieżącego użycia jako narodową relikwię. Mówię o postawie, o opisującym ją pojęciu, którego etymologia sięga łacińskiego *in solidum*, oznaczającego dzielenie odpowiedzialności (np. przed sądem), owym: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Gdy za ojczyznę ma się język polski, nie da się chyba też uniknąć pokusy pofantazjowania wokół jeszcze jednego tropu: a co, jeśli solidarność wymaga od nas też „dawania soli” – dzielenia się tym, co niezbędne do przeżycia, bo wydobywa smak, konserwuje żywność? Ks. Tischner definiował solidarność jako „braterstwo dla porażonych”. „Wspólnota solidarności tym różni się od wielu innych wspólnot, że w niej pierwsze jest »dla niego«, a »my« przychodzi potem. Najpierw jest ranny i jego krzyk. Potem odzywa się sumienie, które potrafi słyszeć i rozumieć ten krzyk. Dopiero stąd rośnie wspólnota”. Wzorem solidarności jest więc miłosierny Samarytanin. „Jedni drugich brzemiona noście” – apeluje w Ewangelii Jezus. Ponawiam swoje pytanie: kto z Państwa ostatnio solidarność u nas widział?

Nie mówię o wymiarze jednostkowym, w nim ona – jasne – wcale często się zdarza: nad Wisłą nie brakuje dobrych ludzi, odsuwających na bok swój komfort, gdy w grę wchodzi dobro bliźniego. Pusty śmiech jednak ogarnia, gdy ktoś usiłuje mnie przekonać, że na solidarności zbudowane jest nasze życie publiczne, polityka, publicystyka. Ba – nawet to, jak układamy sobie wspólne sprawy w Kościele. Naprawdę ktoś chciałby przekonywać mnie, że polska demokracja ma solidarność w swoim DNA? Że ubiegającym się o zaszczyt reprezentowania nas w Sejmie czy w pałacach nie chodzi o obsesję siły, władzy, kompulsywne powtarzanie przymiotnika „mocny”, ale o budowanie bliskości opartej na świadomości, że wszyscy jesteśmy słabi, każdy z nas ma coś, ale nikt nie ma wszystkiego? O to, żeby między wyborcami PiS i KE było więcej braterstwa?

Komentarze po ostatnich wyborach. Ileż w nich było solidarnościowej troski! Szacunku dla bliźnich, stawiania – mimo różnic – razem, pragnienia wspólnego brania odpowiedzial-

ności. Jasne, że prymitywne kręcenie kielbasy wyborczej przez totalne rozdawnictwo to nie żadna łaska, tylko po prostu odroczone wyrok śmierci, ale są przecież w tym wprowadzonym przez PiS systemie redystrybucji zdrowe i sensowne elementy. Co wspólnego z solidarnością, z której 30 lat temu byliśmy tak dumni, ma okropne ponížanie ludzi, którzy dzięki 500 plus mogą podnieść głowę, a nawet pozwolić sobie na drobną przyjemność? Dlaczego – skoro ja zjadłem dziś mój suty obiad – ma mnie uwierać w pupę to, że ktoś przy udziale moich i jego podatków mógł też sobie na obiad pozwolić?

Solidarność międzypokoleniowa? „Odłożyć na koncie swojego dziecka jak najwięcej talarów na szkołę, mieszkanie” – oto nasza definicja pojęcia. A to, że idiotyczne (i ekonomicznie, i ekologicznie) przywiązanie do węgla sprawi, że świat naszych dzieci (a na pewno wnuków) będzie dusznym, gorącym piekłem? Że moje trzy posiłki mięsne dziennie (z rolnictwa przemysłowego, wspieranego u nas przez silne lobby i ministra powolnego owemu lobby niczym pensjonarka swej madame) oznaczają, że moje dzieci (a na pewno wnuki) będą musiały płacić horrendalne pieniądze już nie za parówki, lecz za zwykłą wodę? Polska eksporterem solidarności? Wolne żarty.

Zaczynając od wątku ekologicznego: zmiana klimatyczna, do której jako kraj rozwinięty mocno się przykładamy, pochłania najwięcej ofiar w krajach, które przyłożyły się do niej najmniej. Co im proponujemy? Słynną „pomoc na miejscu”, bez cienia refleksji o konieczności samoograniczenia się Polaków?

Kościół? Kto z Państwa ma wrażenie, że jego biskup nosi jego ciężary? Kto z Państwa nosi ciężary biskupa? Dla kogo z nas parafia jest „punktem wymiany brzemion”? Nie niedzielny sklepem z sakramentami, ale zarzewiem realnej, nie symbolicznej, wspólnoty z ludźmi z sąsiedniej ławki?

Jaka, pytam więc, solidarność? 4 czerwca będziemy zaklinać rzeczywistość, rozkładać kobierce tęsknoty, bając o tym, jak to drzewiej bywało.

„Nie ma wolności bez solidarności” – mówił w 1999 r. w Sopocie Jan Paweł II. – Ale dzisiaj wypada powiedzieć: nie ma solidarności bez miłości”. Czyli gdyby chcieć ułożyć z tego zbiorczy sylogizm: nie ma wolności bez miłości. Bez postawienia w centrum nie frakcyjnych walk, ale włączania do wspólnoty. Bez zluźniania ciśnienia, gdy 8 procent połowy Polaków (bo o takich wartościach przecież rozmawiamy) zagłasuje inaczej. Bez odkrycia, że tak jak chrześcijaństwo nie było u początków wielką, ideologiczną koldrą, którą Jezus chciał przykryć jak największą połą światła, a raczej kolekcjonowaniem przez Niego wyjątków, budowaniem relacji z wykluczonymi, odrzuconymi, zapłatnymi – nie zrozumiemy nic z „chrześcijańskich wartości”, które ufundowawszy nas ponad tysiąc lat temu, i w 1989 r., także i dziś (podobno) nas formują.

Jeśli w końcu nie zapagniemy pokolenia polityków innego od mniej lub bardziej żałosnych socjożynierów, jeśli nie zrozumiemy, że po tych 30 latach najwyższy już czas na nową, bezkrwawą rewolucję solidarności, na wcielanie w życie genialnej myśli Franciszka mówiącego, że „jedność to nie jednolitość, to pojednana różnorodność” – 40. rocznica będzie jeszcze bardziej odklejona od naszych faktycznych emocji niż 30. Chciałoby się powiedzieć: „dałby Bóg”, ale przecież to wyłącznie od nas zależy, czy każda kolejna będzie weselem solidarności, czy poświęconą jej pamięci stypa. ©



JESZCZE UNIA NIE UMARŁA

To może być początek nowej ery w dziejach integracji:
powstania w Unii autentycznej i wspólnej przestrzeni politycznej,
opartej na Parlamencie Europejskim.

OLAF OSICA



EMILIO MORENATTI / AP / EAST NEWS

Głosują mieszkańcy Bascary w Katalonii.
Hiszpania, 26 maja 2019 r.

WYBORY DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO jeszcze nigdy nie cieszyły się w Polsce takim zainteresowaniem i mobilizacją – i nie miały tylu konsekwencji. Choć jest to głównie efekt polaryzacji krajowej sceny politycznej, można mieć nadzieję, że wpłynie również na postrzeganie samej instytucji. Pozycja polityczna Parlamentu, wzmocniona silnym mandatem społecznym, wydaje się bowiem dorastać na naszych oczach do jej traktatowych kompetencji. I staje się wyzwaniem – także dla polskiej polityki w Unii.

W uniijnym krajobrazie Parlament Europejski jest jedną z trzech kluczowych instytucji – obok Rady Europejskiej (zrzeszają-

cej rządy) i Komisji (stojącej na straży traktatów). Jednak w Polsce kojarzył się dotąd głównie z dobrze płatnymi posadami dla polityków, którzy zasłużyli się swoim partiom lojalnością lub innymi przymiotami. Z kolei jeśli za punkt odniesienia przyjęlibyśmy ideę integracji, Parlament ma być głosem obywateli Unii i ich reprezentantem wobec rządów narodowych.

W każdej z tych ról było i jest nadal wiele prawdy. Jednak żadna nie oddaje w pełni tego, co stało się w ostatnich wyborach. Zwiastują one początek nie tylko nowego rozdania politycznego, ale – być może – także początek nowej ery w dziejach integracji: stworzenia autentycznej i wspólnej przestrzeni politycznej w Europie, opartej właśnie na Parlamencie.

Cztery dekady stabilności

Zanim uzasadnię, dlaczego tak uważam, warto przypomnieć kilka faktów.

Parlament Europejski w swej obecnej odsłonie pojawił się dopiero w 1979 r. Wcześniej jego skład tworzyli posłowie do parlamentów krajowych, którzy spotykali się na sesjach w Brukseli. Od tamtego czasu stopniowo zwiększały się jego kompetencje. Kolejne zmiany traktatów przyniosły wzrost jego funkcji kontrolnych, potem opiniowanie aktów prawnych, aż po pełną kontrolę budżetu i współdecydowanie o większości legislacji na równi z Radą.

Kluczowe dla tej ewolucji było powołanie do życia w 1993 r. Unii Europejskiej (na bazie Wspólnoty Europejskiej, następczyni Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej) i przyspieszenie politycznej integracji na początku lat 90. XX w. Wówczas to Parlament zaczął postrzegać sam siebie jako przedstawiciela zwykłego Europejczyka, który – w przeciwieństwie do rządów – potrafi myśleć w kategoriach całego zjednoczonego kontynentu.

Natomiast co nie zmieniło się od 1979 r., to brak możliwości inicjowania aktów legislacyjnych. Nie zmieniła się też, aż do tych wyborów, dominacja dwóch ugrupowań, które dzierżyły monopol na rządzenie Parlamentem. Chodzi o chadeków (Europejską Partię Ludową) i socjalistów (po 2000 r. dołączyła do nich włoska Partia Demokratyczna, z czego powstał Postępowy Sojusz Socjalistów i Demokratów). Trwająca cztery dekady dominacja tej chadecko-socjalistycznej koalicji, przy rosnących uprawnieniach Parlamentu (m.in. wpływu na wybór przewodniczącego Ko-

misji), przyniosła stabilizację i przewidywalność, ale zarazem osłabiała polityczną legitymizację Parlamentu. Widać to było zwłaszcza w ostatniej kadencji.

Nowy świat, nowi wyborcy, nowe projekty

Tymczasem przemiany polityczne w wielu krajach Europy przyniosły w ostatnich 10 latach trzęsienie ziemi w krajobrazie partyjnym. W efekcie umowny podział na chadecję i socjaldemokrację – który wyznaczał także większą część historii integracji europejskiej po 1945 r. – odszedł w przeszłość.

Oczywiście stało się to nie od razu i nie wszędzie w tym samym czasie. Kryzys socjaldemokracji – szukającej nowej „trzeciej drogi” w świecie zderegulowanej gospodarki, otwartych granic, upadku tradycyjnego przemysłu i kryzysu państwa opiekuńczego – zaczął się wraz z końcem rządów kanclerza Gerharda Schrödera w Niemczech (2005) i premiera Tony’ego Blaira w Wielkiej Brytanii (2007).

Początkowo osłabienie tradycyjnej lewicy skutkowało wzmocnieniem chadecji i konserwatystów, którzy przesunęli się „na lewo” w sprawach światopoglądowych (np. małżeństwa tej samej płci) i pełnymi garściami korzystali z rozwoju gospodarczego, opartego na globalnej dominacji Zachodu. Jednak już od 2008 r. – gdy zaczął się kryzys finansowy (najpierw w USA, a potem w Unii) – widać było, że tradycyjny duopol prawica-lewica nie tylko nie wypełnia już głównego nurtu polityki, lecz traci też kontakt z rzeczywistością.

Kryzys gospodarczy i zmiana układu sił w świecie – renesans Chin, polityczna i terytorialna dekonstrukcja Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, zawirowania strategii USA – przyniosły zupełnie nowy świat. Jednocześnie do urn zaczęło chodzić pierwsze pokolenie urodzone po zakończeniu zimnej wojny, które – podobnie jak ludzie urodzeni w latach 80. XX w. – nie miało tych samych pomysłów, obaw i obsesji, co reprezentujący ich w parlamentach politycy, urodzeni w pierwszych dwóch dekadach po II wojnie światowej.

W konsekwencji swój potencjał wyborczy zaczęły rozbudowywać ruchy polityczne, które dotąd pozostawały jeśli nie na marginesie, to w każdym razie w swojej „niszy” – w rodzaju zielonych, liberałów czy alternatywnych prądów lewicowych. Równocześnie na popularności zyskiwać →

→ zaczęły nowe projekty populistyczne, łączące w sobie elementy konserwatywnej narracji społecznej i lewicowej retoryki gospodarczej.

Rozszerzony mainstream i dwie opozycje

Dopiero teraz, po wyborach do Parlamentu, to postępujące rozdrobienie europejskiej sceny partyjnej znalazło swoje odbicie: w nowym składzie tej instytucji.

Jednak – wbrew obawom jednych i nadziejom innych – głównymi wygranymi tej batalii okazały się nie ruchy prawicowo-populistyczne, lecz te sytuujące się na lewo od dotychczasowego duopolu: liberałowie i zieloni. Wprawdzie skrajna prawica (Le Pen) i ruchy kontestujące integrację polityczną (Salvini we Włoszech, Fidesz, PiS) zwiększyły stan posiadania, ale nie są w stanie wpłynąć na nowy – albo raczej: rozszerzony – główny nurt polityki.

Powstanie on najpewniej wokół chadeków, socjalistów i liberałów, mając po lewej stronie twardą opozycję w postaci zielonych (dla części z nich kwestie klimatu są nową ideologią abstrahującą od uwarunkowań, w których przychodzi nam walczyć o zahamowanie degradacji środowiska), a po prawej twardych „tożsamościowców” (dla nich jedynymi podmiotami współpracy w Europie są naród i państwo). Dodajmy do tego wzrost liczby kobiet, która według szacunków sięgnie dobrze ponad 40 proc. (w poprzednim Parlamencie było ich 36 proc.). A to wszystko przy rekordowej frekwencji, sięgającej w Unii ponad 50 proc. – i wielu nowych młodych twarzach w ławach w Strasburgu.

Co to oznacza dla polityki w Unii? Przede wszystkim mocną pozycję Parlamentu, którego skład po raz pierwszy od dekady odzwierciedla zróżnicowanie i bogactwo politycznych idei w Europie. W tym sensie jest on nareszcie instytucją reprezentatywną dla współczesnej Unii, a tym samym – w znacznie większym stopniu niż dotąd – staje się integratorem przestrzeni politycznej w Europie. Hasło unii politycznej, które towarzyszy nam od początku lat 90. i było fundamentem prac nad unijnym traktatem konstytucyjnym (odrzuconym w referendum we Francji i Holandii), zyskuje zatem silną podstawę.

Nowy model dla Europy

Konsekwencją tego będzie nowa próba sił i budowa nowej umowy politycznej między Parlamentem a Radą Europejską.

Wbrew obawom jednych i nadziejom innych, głównymi wygranymi tych wyborów nie są ruchy prawicowo-populistyczne, lecz liberałowie i zieloni.

Proces ten już się zaczął – dotyczy obsady głównych stanowisk w Unii. Jego przejawem jest próba utracenia idei *Spitzenkandidaten* – zasady, że szefem Komisji Europejskiej powinien zostać przywódca zwycięskiej frakcji politycznej (stąd niemieckie pojęcie *Spitzenkandidat*, sztandarowy kandydat). W tym wypadku byłby to Manfred Weber, szef Europejskiej Partii Ludowej i zarazem polityk bawarskiej CSU.

W zamyśle idea ta miała sprzyjać rozwojowi demokracji: obywatele mieli wskazać nie tylko europosłów, ale pośrednio także szefa Komisji. W praktyce jednak jest ona przejawem rosnącego oderwania Europejskiej Partii Ludowej od realiów Europy, gdzie wyborcy jak kania dżdżu oczekują zmiany pokoleniowej i nowych polityków, rozumiejących współczesny świat.

Kolejnym skutkiem wyniku wyborczego i utworzenia koalicji z liberałami przez dotychczasowych monopolistów może być izolacja ugrupowań eurosceptycznych (m.in. prawdopodobne jest wyzucenie Fideszu z Europejskiej Partii Ludowej i zepchnięcie Węgier na margines unijnej polityki). A także próba realizacji – w skali Unii – głównych elementów programowych takiej nowej koalicji: walki z bezrobociem, inwestycji, ochrony rynku przed Chinami i USA (hasło „suwerenności cyfrowej i technologicznej”) oraz przyspieszenia w sprawach ochrony klimatu i transformacji energetycznej. Z tego miksu może powstać spójna agenda społeczno-gospodarcza Europy, która stanie się podstawą nowego ładu bądź modelu europejskiego (Unia takowego nie ma, a bardzo go potrzebuje).

Wydaje się też oczywiste, że nowy Parlament Europejski jeszcze bardziej niż do tej pory będzie sprzyjał osłabianiu roli USA w polityce i gospodarce Unii, budując na dominujących dziś w Europie antamerykańskich nastrojach (dodatkowym motorem będzie antyeuropejskość głównego nurtu polityki amerykańskiej).

Nowy układ a sprawy polskie

Możliwa nowa rola Parlamentu i jego przesunięcie w umowne lewo – to ogromne wyzwanie dla polskiej polityki.

Po pierwsze, patrząc na nową mapę polityczną Europy, która znalazła odbicie w składzie Parlamentu, rzuca się w oczy nasza niekompatybilność. Chodzi nie tylko o to, że nasza scena partyjna idzie pod prąd trendom w Europie Zachodniej (konsolidacja wokół dwóch biegunów, a nie fragmentaryzacja), ale bardziej o to, że szereg nowych tematów europejskich nie znajduje swej polskiej reprezentacji. Nie tylko nie mamy socjaldemokratów, liberałów czy zielonych, ale – co gorsza – nie mamy elementów idei tych nurtów w programach PiS-u i PO, naszych głównych ugrupowań.

Efektom może być polityczny szpagat, który dotąd intensywnie ćwiczyliśmy w stosunkach transatlantycznych. Teraz przyjdzie nam trenować go także w polityce europejskiej. Od ochrony klimatu przez agendę społeczną, integrację polityczną aż po związki partnerskie: w tych wszystkich obszarach nie mamy nic istotnego do powiedzenia, bo (w naszym polskim mainstreamie) dopiero się zastanawiamy, co moglibyśmy tutaj chcieć i jak to osiągnąć. Co gorsza, nasza delegacja w Parlamencie będzie jedną ze starszych, a w wielu sprawach bariera wieku ma znaczenie (podobnie jak kwalifikacje i umiejętność poruszania się po korytarzach).

W tej sytuacji czekają nas dwa scenariusze. Albo spróbujemy nawiązać kontakt i odcisnąć swoje opinie na nowej mapie polityki europejskiej, albo będziemy odbiorcami cudzych pomysłów, dla których realizacji nie będzie w Polsce miejsca (o zrozumieniu nie wspominając). To będzie wyzwanie dla silnej reprezentacji PiS-u i polskiego rządu: chcąc walczyć o wpływ w Unii, PiS musiałby przesunąć się do nowego centrum w Europie, mając świadomość, że w Polsce to centrum jest w innym miejscu. Ale także druga strona – Platforma Obywatelska – nie ma powodów do zadowolenia. Na tle swych chadeckich partnerów i ich nowych koalicjantów wygląda tradycjonalistycznie w myśleniu o społeczeństwie, polityce i gospodarce.

Choć więc wybory w Polsce odesłały w niebyt wizję polexitu, to pamiętajmy, że pojęcie polexitu może być również opisem sposobu myślenia. Na tle nowego Parlamentu może on dotknąć wielu polskich polityków, niezależnie od partyjnych barw.

© OLAF OSIKA



Członkowie hinduistycznej Narodowej Organizacji Ochotników trenują walkę kijami. Ahmadabad, maj 2019 r.

Matka Indie patrzy w prawo

TEKST I ZDJĘCIA **TOMASZ AUGUSTYNIAK** Z DELHI I AHMADABADU

Wyborcom nad Gangesem posmakował koktajl z modernizacji, nacjonalizmu i szowinizmu, który serwuje im premier Narendra Modi. Jego Indyjska Partia Ludowa właśnie zmienia politykę i społeczeństwo.

Z PRZYJEMNEGO PORANKA W JEDNYM z parków Ahmadabadu, największego miasta w stanie Gudżarat, korzysta kilka kobiet ćwiczących w cieniu drzew jogę. Wśród spacerowiczów i biegaczy widać też pojedyncze medytujące osoby.

Spokój ich medytacji naruszają bojowe okrzyki. To grupa członków miejscowego oddziału Narodowej Organizacji Ochotników zaczyna poranną musztrę.

Aditya, młody instruktor prowadzący zajęcia, ma na sobie białą koszulę i krótkie spodenki khaki, tradycyjne umundurowanie organizacji.

– Dzień zaczynamy o wpół do siódmej – wyjaśnia. – Przede wszystkim wywieśzamy naszą szafranową flagę. Później rozgrzewka, elementy jogi, ćwiczenia z kijami, gry sprawnościowe i dyskusja na dowolny patriotyczny temat. Spotkania zawsze kończymy patriotyczną pieśnią i modlitwą skierowaną do ojczyzny, w której obiecujemy zrobić wszystko dla dobrobytu naszej ziemi – mówi.

Aby kraj był zdrowy i bogaty

Narodowa Organizacja Ochotników (Rashtriya Swayamsevak Sangh, RSS) po-

wstała jeszcze w 1925 r., na długo przed tym, jak w 1947 r. Indie uzyskały niepodległość. Stawia sobie za cel budowę czysto hinduistycznego państwa, w którym wszelkie mniejszości muszą się bezwarunkowo podporządkować rządzącym.

Uczestnicy spotkania w parku, z których połowa to nastoletni chłopcy, usłyszeli dziś historyczny wykład o tym, jak Akbar, mogolski władca, który w XVI w. podbił niemal całe Indie, uprowadzał hinduskie kobiety. Dowiedzą się też o szlachetnej postawie hinduistycznych królów, którzy podczas licznych wojen nigdy nie wazyli się tknąć kobiet wroga. Oprócz uczniów wśród słuchaczy są pracownik miejscowego urzędu, sprzedawca elektroniki i menedżer supermarketu.

„*Bharat Mata ki dżai!*” (Niech żyje Matka Indie!) – krzyczą.

– Nie rozumiemy nacjonalizmu w taki sam sposób, jak to robił Hitler – to pierwsze, co po spotkaniu w parku ma mi do powiedzenia Vijay Thakur, pracownik banku, który po godzinach zajmuje się promowaniem RSS w całym Gudżaracie. – Chodzi nam o nacjonalizm kulturowy. Rzecz polega na tym, że każdy, kto tutaj mieszka, powinien być indyjskim patriotą. To konieczne, żeby kraj był zdrowy, bogaty i mógł przewodzić światu.





ADITYA: Spotkania kończymy patriotyczną pieśnią i modlitwą skierowaną do ojczyzny. Ahmadabad, maj 2019 r.

Nacjonalistyczna twarz Indii

⇒ Thakur nie chce się wprawdzie przyznać do popierania rządzącej partii, ale mówi, że jest dumny z Modiego. – Jego wartości są dokładnie takie jak nasze – dodaje.

Pochodzący z północnego Gudżaratu premier Narendra Modi nigdy nie ukrywał, że czerpie inspirację z ideałów RSS, której członkiem był przez wiele lat.

W ubiegły czwartek, po przytłaczającym zwycięstwie, które jego Indyjska Partia Ludowa (BJP) odniosła nad konkurencyjną Partią Kongresową (INC), Modi został ponownie zaprzysiężony na szefa rządu.

W swojej kampanii BJP zwracała się przede wszystkim do stanowiących prawie 80 proc. społeczeństwa hinduistów, jednocześnie grając na nastrojach antymuzułmańskich.

Jej politycy wykpiwali strategię Kongresu, który ich zdaniem dbał o interesy mniejszości religijnych (liczą one ponad 260 mln ludzi – w społeczeństwie, którego liczebność wkrótce dojdzie do półtora miliarda).

Politycy BJP krytykowali też przy okazji „politykę dynastyczną” – bo kierująca Kongresem rodzina Nehru-Gandhi rządziła Indiami przez większość czasu od utworzenia niepodległego państwa.

Równocześnie w społeczeństwie kwitną teorie spiskowe, napędzane przez partyjną retorykę. Jak ta o tzw. miłosnym dżihadzie, według której młodzi muzułmańscy mężczyźni w zorganizowany sposób uwodzą hinduskie kobiety, żeby po ślubie zmusić je do konwersji. Mowa jest też o konieczności ochrony krów, zwierząt uważanych w hinduizmie za święte, i o tym, że przedstawiciele mniejszości nie tylko jedzą krowie mięso, ale także nielegalnie zabijają bydło.

Taka retoryka pada na podatny grunt. Vivek Gandhi, przedsiębiorca budowlany i wbrew nazwisku zagorzały zwolennik BJP, powtarza, że kłopot z muzułmanami jest taki, iż są antypaństwowi (wyraża się właśnie tak: nie bawi się w niuanse, określa w ten sposób ich wszystkich). Uważa, że nigdy nie można być pewnym, czy w razie konfliktu nie staną po stronie Pakistanu. – Oni powinni pamiętać, żeby stawić nasze państwo i naród na pierwszym miejscu, a często tego nie robią – mówi Vivek Gandhi, ale przykładów wymienić nie potrafi.

Tymczasem po przejściu władzy przez nacjonalistów w Indiach odnotowano gwałtowny wzrost liczby przestępstw motywowanych nienawiścią religijną. Organizacja IndiaSpend zebrała w bazie

danych opisy 260 ataków, z których 76 zakończyło się czyjąś śmiercią. Większość ofiar stanowili muzułmanie i chrześcijanie, a część ze zorganizowanych pobic przeprowadziły grupy samozwańczych „obrońców krów”, które – często na podstawie plotek – za cel brały swoich sąsiadów.

Nic dziwnego, że mniejszościom religijnym ponowny wybór Modiego jawi się jako katastrofa.

– Wiele z tego, z czego Indie są znane na świecie, to skutek pokojowej i trwającej stulecia koegzystencji muzułmanów, hinduistów i ludzi innych wyznań. Kuchnia, architektura, literatura, osiągnięcia w astronomii i matematyce, to wszystko ma wielokulturowe korzenie. Rządy BJP to koniec tego współistnienia i krok w stronę faszystyzacji kraju – uważa Sultan Shahin, założyciel i redaktor liberalnego portalu NewAgeIslam.com.

Shahin nie ma też wątpliwości, że powtarzające się ataki mogą ułatwić islamskim radykałom używanie syndromu oblężonej twierdzy do radykalizowania indyjskich muzułmanów. – Ciągłe powtarzanie, że jakaś grupa obywateli chce szkodzić państwu, albo że nie zasłużyła na prawa obywatelskie, jest równoznaczne ze spychaniem jej do getta. To się może skoń-

czyć niebezpiecznym wykluczeniem społecznym i pogłębiać podziały. Radykalne organizacje tylko na to czekają – przekonuje dziennikarz.

Propaganda „hinduskości”

Jednak dla wielu Indusów nacjonalistyczna koncepcja hindutvy (hinduskości), proponowana przez BJP, okazała się atrakcyjna. Niektórzy uważają zresztą, że ideologia to jedynie narzędzie, istota rządów Modiego polega zaś na czymś zupełnie innym.

Należy do nich Avinash, 31-letni prawnik z Waranasi na północy kraju. – Dla mnie to kwestia tego, czy lepiej postawić na kogoś, kto ma w ogóle jakąś wizję przyszłości kraju, czy na kogoś, kto nie ma żadnej wizji. A nie widzę wizji w polityce Kongresu – mówi.

Podobnie musiały pomyśleć setki milionów jego współobywateli. Frekwencja była najwyższa w historii niepodległych Indii (67 proc.), po raz pierwszy głosowała też porównywalna liczba kobiet i mężczyzn. W dużym stopniu to kobiety zdecydowały o wyniku wyborów.

BJP swój sukces zawdzięcza m.in. umiejętnemu posługiwaniu się promocją w mediach, w tym społecznościowych. Poza biegłością jest to także kwestia potrzebnych inwestycji.

– Znam około 20 agencji, które pracują dla BJP w samym tylko Gudźaracie. Tworzą dla nich narzędzia, obsługują portale internetowe ministerstw, tłumaczą manifesty na regionalne języki. Zarządzają profilami polityków w mediach społecznościowych, tworzą wideo – wylicza Namita, szefowa małej agencji *public relations* w Ahmadabadzie, która od kilku lat realizuje rządowe zlecenia.

W każdym z 29 stanów oraz 7 terytoriów, na jakie dzielą się Indie, dla partii Modiego pracują osobne zespoły zajmujące się komunikacją w sieci.

W delhijskiej siedzibie BJP działa legendarna już specjalna komórka zajmująca się internetową propagandą, tzw. Narodowe Centrum Operacji Cyfrowych (NDOC). Pracują tu dziesiątki osób odpowiedzialnych za tworzenie na facebooku, twitterze i instagramie treści przychylnych BJP oraz treści atakujących jej przeciwników. W wydanej w 2017 r. książce „Jestem trollem” dziennikarka Swati Charvedi ujawniła, jak ta „cyfrowa armia” sący nienawiść w mediach społecznościowych.



Członkini parlamentu i rzeczniczka BJP Meenakshi Lekhi dziękuje lokalnym działaczom swojej partii. Delhi, 12 maja 2019 r.

Modernizacja: druga twarz BJP

Ale to tylko jedna z twarzy BJP. Ta druga, długo niedostrzeżona przez wielkomiejskie elity, jest skierowana głównie w stronę prowincji.

Zaraz po objęciu rządów w 2014 r. Modi postawił na rozwój infrastruktury w miejscach zaniedbanych przez poprzedników, zwłaszcza na wsi. Dziś chwali się, że spełnił jedną z obietnic, ponad rok temu kończąc elektryfikację wszystkich wiosek w kraju. Powstały też miliony domów dla najuboższych. Rząd uruchomił kampanię zachęcającą ubogich do otwierania kont bankowych i rozwinął istniejący wcześniej program BharatNet, mający zapewnić szerokopasmowy dostęp do internetu we wszystkich wiejskich urzędach. Subsidia na butle z gazem w dużym stopniu uwolniły kobiety od konieczności zbierania drewna na opał. Liczba gospodarstw domowych używających gazu wzrosła z niecałych 60 proc. cztery lata temu do ponad 80 proc. w połowie 2018 r.

Najbardziej spektakularne efekty przynosi jednak tzw. Misja Czyste Indie (Swachh Bharat Abhiyan), której głównym celem jest likwidacja problemu defekacji na zewnątrz. W ramach programu w całym kraju zbudowano 90 mln toalet. Według rządowych danych liczba chodzących „za potrzebą” pod chmurkę spadła dzięki temu z 550 mln osób w 2014 r. do „zaledwie” 150 mln w 2018 r. Krytycy programu zarzucają wprowadzie rządowi, że manipuluje statystykami, ale nawet niezależne instytucje przyznają, że dostęp

do toalet znacznie się polepszył. Według Research Institute for Compassionate Economics pięć lat temu ubikację miało 37 proc. gospodarstw domowych, a w ubiegłym roku już 71 proc.

Avinash, prawnik z Waranasi: – Modi pokazał, że rozwiązuje problemy zwykłych ludzi. A większość z tych zwykłych ludzi ciągle mieszka poza wielkimi miastami. Ogromne połacie kraju mają problemy z rzeczącami, które mieszkańcy metropolii od dawna uważają za naturalne. Nadal więcej Indusów ma dostęp do smartfona niż do ubikacji – podkreśla.

Program Czyste Indie miał też na celu posprzątanie dróg, ulic i takich miejsc jak stacje kolejowe, poprawienie systemu utylizacji śmieci i zapewnienie większej liczbie obywateli dostępu do czystej wody pitnej.

Indie wciąż są cywilizacyjnie zapóźnione w porównaniu ze wszystkimi innymi krajami z pierwszej dwudziestki największych gospodarek. Świetnie pokazują to filmy z Akshayem Kumaarem (który otwarcie popiera Modiego): „Toilet: Ek Prem Katha” (Toaleta: Historia miłosna) z 2017 r. oraz „Padman” z 2018 r., opowiadający o człowieku, który wynalazł tanie tampony dla kobiet pozbawionych dostępu do środków czystości.

Aarti Tikoo, dziennikarka dziennika „Times of India”, w czasie kampanii spędziła wiele tygodni, jeżdżąc po całym kraju. Jej zdaniem to przede wszystkim głosy wiejskich wyborców pomogły Modiemu w wyborczym zwycięstwie.

– Dla ludzi na prowincji to prawdziwy mesjasz! Nie dość, że herbarciarz, który został premierem, to jeszcze dał ludziom domy, toalety, elektryczność, drogi i butle gazowe. Z kolei dla ludzi w miastach, którzy już to wszystko mieli, jest urodzonym liderem, obrońcą indyjskiej cywilizacji – wyjaśnia.

Tylko dla mniejszości religijnych lepszy byłby każdy inny premier niż on. – Wielu mówiło mi, że choć przez 70 lat niewiele dostali od Kongresu, to przynajmniej mieli spokój ducha – opowiada Aarti Tikoo.

Prężenie mięśni

W lutym, niedługo przed rozpoczęciem maratonu wyborczego

→ (głosowanie zaczęło się w kwietniu i trwało łącznie kilka tygodni), w Kaszmirze doszło do ataku terrorystycznego. Zginęło 40 policjantów. W odpowiedzi Indie przeprowadziły pokazowy nalot na rzekomy obóz szkoleniowy islamskich terrorystów, znajdujący się na terenie kontrolowanym przez Pakistan.

Napięta sytuacja w tym regionie, o który oba państwa toczą spór od 1947 r., została wykorzystana przez BJP w trwającej wówczas kampanii. Niedługo po incydencie w całym kraju pojawiły się billboardy pokazujące liderów partii na tle samolotów mirage 2000 przy których użyciu dokonano nalotu.

Indie przeją muskuły także w stosunkach z Chinami – choć głównie retorycznie. Z Pekinem spierają się o terytoria na północnym wschodzie oraz o dominację na Oceanie Indyjskim. Chińczycy, znacznie bogatsi od sąsiadów zza Himalajów, inwestują w infrastrukturę w całej Azji Południowej, a ich okręty bez przeszkód zawijają do portów krajów, które Indie tradycyjnie uważają za swoją strefę wpływów. W odpowiedzi Modi wzmacnia relacje z indyjską diasporą w Malezji, Indonezji i Singapurze, prezentując tam swój kraj jako wschodzącą potęgę.

Amit Shah, przewodniczący BJP, w jednym z przedwyborczych wywiadów powiedział, że Indie powinny zostać *mahaśakti* – supermocarstwem. Zaznaczył, że w języku hindi termin ten oznacza nie dominację, lecz siłę i niemożność pomijania Indii na arenie międzynarodowej.

Potknięcia BJP, bezzadność Kongresu

Osiągnięcia rządu Modiego w sferze gospodarki są jednak dyskusyjne.

Słynna kampania „Make in India” nie przyniosła zwiększenia liczby miejsc pracy w przemyśle. Bezrobocie jest na najwyższym poziomie od lat, nie udało się też rozpocząć budowy kolei wysokich prędkości.

Trwa kryzys w rolnictwie połączony z samobójstwami farmerów, a wzrost gospodarczy zwalnia. Tzw. demonetyzacja, a raczej zdelegalizowanie z dnia na dzień pod koniec 2016 r. banknotów o największych nominałach, wymierzona w nielegalnie zgromadzone majątki, odbiła się na drobnych przedsiębiorcach. Związek branżowy wytwórców opublikował raport, w którym mowa o likwidacji 3,5 mln miejsc pracy. Przyczyną miały być rosnące koszty po wprowadzeniu narodowego podatku od dóbr i usług (GST) i właśnie demonetyzacja.

W tym samym czasie rząd wstrzymał publikację oficjalnych danych potwierdzających wzrost bezrobocia. Choć wprowadzenie podatku GST stworzyło w Indiach jeden rynek i zapewniło wpływy do państwowej kasy, to danina jest postrzegana przez klasę średnią jako dodatkowy ciężar.

Jednak mimo potknięć Modiego, Kongres nie potrafił z pacyfistycznej i wielokulturowej wizji Indii uczynić atrakcyjnej propozycji dla wyborców. Jego lider Rahul Gandhi zaczął za to mówić cytatami z hinduskiej mitologii i chodzić na pielgrzymki do ważnych hinduistycznych świątyń.

Skazani na wielkość?

Indie to kraj zarazem bardzo biedny i bardzo bogaty.

Powstają tu hipernowoczesne wieżowce, ale niedaleko od nich ciągle można natknąć się na wozy zaprzężone w muły. Dochód narodowy w przeliczeniu na

mieszkańca ledwie przekracza 2 tys. dolarów – to ponad siedmiokrotnie mniej niż w Polsce.

Jednocześnie Indie wysyłają sondy na Księżyc i na Marsa. Ich program kosmiczny, również ten komercyjny, dynamicznie się rozwija, a niedawno premier Modi ogłosił, że do 2022 r. jego kraj wyśle na orbitę swoich pierwszych astronautów.

Hindol Sengupta, pisarz i historyk, wierzy w mocarstwową przyszłość Indii.

– Lada moment staniemy się piątą największą gospodarką świata, wyprzedzając Wielką Brytanię. Tymczasem zachodnie media ciągle próbują nam dyktować, kogo mamy sobie wybrać na premiera. Z całym szacunkiem dla krajów takich jak Wielka Brytania, ale niech się lepiej nie wtrącają – mówi mi otwarcie.

Taki duch zaczyna się coraz śmielej pojawiać w indyjskiej debacie publicznej, a słowa Sengupty potwierdzają dane Banku Światowego. Według nich Indie w 2017 r. były już większą gospodarką niż Francja.

Mimo spowolnienia gospodarczego i rosnącego bezrobocia, kraj pozostaje też najszybciej rozwijającą się spośród dużych gospodarek świata. I ciągle powiększa swoją populację: według szacunków ONZ za kilka lat będzie tu żyło więcej ludzi niż w Chinach, a w 2029 r. ma to być już półtora miliarda.

O ukrytym indyjskim potencjale, który należy wykorzystać, mówił nawet Rahul Gandhi.

Wszystko wskazuje na to, że z powodu samego tylko potencjału Indie są skazane na wielkość. Pytanie, co z tą wielkością zrobią, pozostaje otwarte.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



BORGES W RYBNICKIM LABIRYNCIE

W czwartek 30 maja MONIKA OCHĘDOWSKA poprowadziła lekcję w ramach XIV Warsztatów Humanistycznych „LABIRYNT” w Zespole Szkół nr 1 im. Powstańców Śląskich w Rybniku. Tematem dyskusji było opowiadanie „Dom Asteriona” z tomu „Alef” Jorge Luisa Borgesa. Dwudniowe Warsztaty Humanistyczne „LABIRYNT” były dla uczestników szansą na spotkanie nie tylko z literaturą, ale także z filmem i fotografią.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na  / LekcjeCzytania





REUTERS / FORUM

John Walker Lindh już jako jeńiec. Mazar-i-Sharif w Afganistanie, grudzień 2001 r.

Johnny Walker, amerykański talib

WOJCIECH JAGIELSKI

Właśnie wyszedł na wolność. Pokrętnie drogi powiodły go z Kalifornii do Afganistanu, gdzie zaciągnął się na dżihad. Tam dostał się do niewoli i wrócił do ojczyzny, aby spędzić w więzieniu ostatnich 17 lat.

USŁYSZAŁEM O NIM PO RAZ PIERWSZY niemal 18 lat temu. Jesienią 2001 r., kiedy talibowie uciekli z Kabulu przed bombardującymi miasto Amerykanami, zamieszkałem w Kabulu w wynajętej willi, w najlepszej dzielnicy Wazir Akbar Chan.

Nie byłoby mnie na to stać, gdyby nie wojenne okoliczności. Sprawili, że większość mieszkańców uciekła ze stolicy, po-

zostawiając domy pod opieką tych, którzy uciekać nie chcieli albo nie mogli. Od jednego z takich opiekunów wynajęliśmy w kilka osób piętrową, ogrodzoną murem willę z ogrodem i garażem. Piętro zajęliśmy dla siebie, na parterze mieszkał zarządca domu, który za dopłatą zgodził się nam gotować. Wprowadzili się do niego także nasz kierowca, zwany Dużym Saidem, oraz tłumacz i przewodnik Mały Said. Za-

daniem Małego Saida było też nadstawianie ucha i przynoszenie nam zasłyszanych w mieście nowin i pogłosek.

Wieczorami, po nadaniu codziennych korespondencji, siadywaliśmy na tarasie i paląc skręty z haszyszem przyglądaliśmy się amerykańskiemu samolotowi przelatującemu nad miastem nad Góry Białe, nad pakistańską granicą, gdzie w wyrtych w skale labiryntach twierdzy Tora Bora miał ukryć się Osama ibn Ladin.

Tamtego wieczoru siedzieliśmy tak na tarasie, niewiele rozmawiając, każdy pogrążony w milczeniu, kiedy wbiegł zdyszany Mały Said. Przyniósł wiadomość, że w mieście Kunduz, na północnym wschodzie kraju, Amerykanie wzięli do niewoli białego taliba pochodzącego z Kalifornii.

„Tylko jednego?” – ktoś mruknął.

„Jednego wam mało?” – rzucił Mały Said. Łatwo się obrażał, gdyśmy z niewystarczającą powagą witali wieści, które nam znosił.

Tym razem miał powód, by czuć się urażony, bo amerykański talib istniał na prawdę.

Ocalały z buntu jeńców

Minęło kilka dni, a pokazały go wszystkie telewizje świata. Wymizierowany, kuddłaty i brudny, o dzikim spojrzeniu, nieprzytomnie wpatrywał się w obiektyw kamery, która rejestrowała przesłuchania talibów, wziętych do niewoli w Kunduzie, ich ostatniej twierdzy.

„Jak się nazywasz? Kim jesteś?” – pytał oficer Centralnej Agencji Wywiadowczej Jonny „Mike” Spann, który jako jeden z nielicznych Amerykanów uczestniczył podczas tamtej jesiennej kampanii w walkach na afgańskiej ziemi. Aby uniknąć strat we własnych szeregach, Amerykanie zaatakowali Afganistan z powietrza, bombardując hindukuskie miasta i doliny, zmuszając talibów do panicznej ucieczki. Operacje na lądzie zostawili afgańskiemu pospolitemu ruszeniu – lokalnym partyzanckim komendantom i wszelkiej maści watażkom, którzy opierali się dotąd talibom, a teraz, mając wsparcie Amerykanów, ochoczo rzucili się, by ich gromić.

Talibowie z Kunduzu zostali wzięci do niewoli przez uzbeckiego watażkę Raszida Abdula Dostuma, cieszącego się jak najbardziej zasłużoną opinią najgorszego okrutnika. Z Kunduzu przewieziono ich do fortecy Kala e-Dzanghi w pobliżu Mazara e-Szarifa, największego miasta na afgańskiej północy. Dostum miał tam swoją

→ kwaterę, w której odwiedzałem go kilka razy.

„Odpowiadaj, jeśli ci życie miłe” – groził jeńcowi oficer CIA. Ale chwilę później to Jonny Spann już nie żył. Wiedząc, że z rąk Dostuma mogą spodziewać się najgorszego, wzięci do niewoli talibowie podnieśli bunt i jako pierwszego zabili właśnie „Mike’a”, który w ten sposób stał się pierwszą amerykańską ofiarą afgańskiej wojny.

Potrzeba było długiego tygodnia i wsparcia amerykańskiego lotnictwa, by stłumić bunt talibskich jeńców. Do piwnic fortecy, w których się ukryli, partyzanci Dostuma wlewali na przemian lodowatą wodę, by potopić obrońców, albo podpaloną ropę, żeby ich żywcem spalić. To cud, że z pół tysiąca jeńców ocalało prawie stu, a wśród nich także amerykański talib.

Przejęty przez Amerykanów, został przewieziony do więzienia w Sziberhanie. Tam odnalazł go sławny korespondent wojenny Robert Pelton, pracujący w tamtym czasie dla stacji telewizyjnej CNN. Jeńiec wyznał mu, że nazywa się John Philip Walker Lindh, że pochodzi z Kalifornii, i że przystał do talibów, a partyzanckiego fachu uczył się w obozach szkoleniowych Osamy ibn Ladina. I że niczego nie żałuje.

Jaś Wędrowniczek

Naprawdę przyszedł na świat w stołecznym Waszyngtonie w 1981 r., a do Kalifornii przybył wraz z rodzicami, Marilyn Walker i Frankiem Lindhem. Kalifornia, a zwłaszcza miasteczko San Anselmo nad szmaragdową zatoką, wśród łąk, lasów i gór, cieszyła się opinią raj na ziemi, który w epoce Wodnika ściągnął hipisów i wszystkich, którym obrzydł wielkomiejski wyścig szczurów, a zamarzyło się życie w zgodzie z naturą.

Rodzice Johnny’ego nie byli hipisami, ale łączyło ich z nimi umiłowanie wolności i duchowości. Swojemu synowi nadali imię po Johnie Lennonie, zamordowanym rok wcześniej w Nowym Jorku pieśniarzu i buntowniku, który głosił wyższość miłości nad wojną i niczym nieskrępowanej wolności nad jakimikolwiek zakazami.

Po przejściu w dorosłość udało się im zachować wierność młodzieńczemu idealizmowi. Zgodnie z wyznawanymi przez siebie poglądami zachęcali trójkę swoich dzieci, by same poszukiwały własnej drogi w życiu, niczego im nie narzucali ani nie podpowiadali, uważając, że byłoby to ograniczeniem ich wolności. Za to we wszystkich wyborach starali się wspierać.

W więzieniu John-Sulejman nie wyrzekł się braterstwa myśli z dawnymi towarzyszami walki.

Tak sugerują kazania, które wygłaszał po arabsku podczas modłów ze współwięźniami, jak on żołnierzami „dżihadu”.

Nieustannie szukali też prawdy o samych sobie. Matkę Johnny’ego pociągały religie, mistyka i spirytualizm. Przeszła zauroczenie judaizmem i wierzeniami północnoamerykańskich Indian, odnalazła się w buddyzmie, zajmowała astrologią. Ojciec, katolik, potomek irlandzkich osadników, w którym nigdy nie zgasło przywiązanie do tradycji, po 20 latach małżeństwa odkrył w sobie homoseksualistę i wyprowadził z domu.

Johnny pogodził się z rozpadem rodziny i zachował dobre relacje z ojcem. Ale zdecydował, że odtąd będzie nosił jedynie nazwisko matki: Walker. Johnny Walker, Jaś Wędrowniczek.

Męki wolności

W przeciwieństwie do rodziców, Johnny nie czuł się dobrze w Kalifornii. Wciąż chorował, zmieniał szkoły. Nieśmiały, zamknięty w sobie, nie miał przyjaciół ani znajomych i w ogóle stronił od ludzi.

Kontakt ze światem utrzymywał jedynie przez komputer. W wirtualnej rzeczywistości udawał czarnoskórego rapera. Podczas wędrówek po witrynach jego uwagę przykuły w końcu te związane z islamem, wyznawcami którego było wielu muzyków ulubionego przez Johnny’ego czarnego rapu.

O takich jak on mówi się, że niczego im w życiu nie brakowało. Ani pieniędzy na rozwijanie zainteresowań, ani poczucia bezpieczeństwa, ani życzliwej troski i cierpliwości rodziców. Nikt mu nie mówił, w co ma wierzyć, a rodzice nie stawiali się za wzór do naśladowania. Wszystko miało być kwestią jego osobistego, nastoletniego wyboru. Rodzice dbali tylko, żeby ich dzieci mogły poznać jak najwięcej. Nie tylko mógł, ale miał robić, co chciał. Tego się po nim spodziewano, tego od niego wymagano.

Po latach kalifornijski imam, który stał się pierwszym przewodnikiem Johnny’ego, powiedział, że choć chłopiec miał niby wszystko, to brakowało mu wyraźnych drogowskazów. „A religia, zwłaszcza islam, jego Święta Księga, Koran, i hadisy, przypowieści z życia Proroka Mahometa, spisane w jego ojczystej mowie, zawierają wszystkie odpowiedzi, drogowskazy i przepisy, regulujące każdy aspekt ludzkiego żywota – powiedział imam. – Wystarczy je poznać i ich przestrzegać, a człowiek nigdy nie będzie się czuł zagubiony, ani niepotrzebny, nigdy nie poczuje pustki w sercu ani w duszy”.

Jak Johnny został Sulejmanem

Ochrzczony na katolika, Johnny miał 16 lat, gdy oznajmił rodzicom, że postanowił przyjąć wiarę muzułmańską, i że zamiast chodzić do szkoły, będzie teraz zgłębiał islam i uczył się Koranu. Poprosił, by odtąd nazywali go Sulejmanem. Rodzice byli zachwyceni i dumni z samodzielnego wyboru syna oraz z tego, że – jak sądzili – w epoce komiksów i komputerów odnalazł się w sferze duchowości.

Rok później poprosił rodziców o zgodę i pieniądze na podróż do Jemenu, gdzie język arabski najbardziej przypomina ten, którym władał Prorok. Johnny zamierzał uczyć się języka, islamu, a żyjąc wśród muzułmanów, najlepiej się do nich upodobić. Rodzice się zgodzili. Ojciec był przekonany, iż syn zostanie kimś ważnym – mułłą, imamem.

W ostatnim roku starego stulecia Johnny-Sulejman wrócił na chwilę do Kalifornii, ale czuł się w niej już tylko obco. Unikał domu, przesiadywał w okolicznych meczetach. Aż w końcu, zaraz na początku nowego wieku, znów wyjechał do Jemenu.

Był w jemeńskiej stolicy Sanie, gdy w adęńskim porcie zamachowcy z Al-Kaidy, tej terrorystycznej międzynarodówki, przypuścili na motorowych łodziach samobójczy atak na amerykański okręt wojenny USS „Cole”. Gdy w rozmowie telefonicznej ojciec zalił się, że w zamachu zginęło kilkunastu marynarzy, rówieśników Johnny’ego, ten oburzył się i rzucił, że niewierni nie mają prawa kłaść swoją obecnością świętej ziemi islamu. A skoro zawinęli już do muzułmańskiego portu, powinni wiedzieć, że oznaczało to wypowiedzenie wojny.

W jednym z listów do ojca napisał też, że o ile w Ameryce nieustannie jest samotny

i nigdy na swoim miejscu, to wśród braci muzułmanów czuje się po prostu jak u siebie.

Pół roku później zapytał rodziców – bo, jako przykładowy syn-muzułmanin, zawsze pytał ich o zgodę – czy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby pojechał na jakiś czas do Pakistanu, poznał tamtejszych muzułmanów, zapisał się do przemyślanej szkoły, medresy, i pomagał żyjącym tam wojennym uchodźcom z Afganistanu.

Tak nową akademią Johnny'ego-Sulejmana stała się medresa w mieście Bannu – na afgańsko-pakistańskim pograniczu, krainie wojowniczych Pasztunów, w której dorastali i wychowywali się afgańscy talibowie, wojenne sieroty, ślepo posłuszni mułom, swoim jedynym nauczycielom i wychowawcom, gotowi zginąć na ich rozkaz.

Sulejman idzie na wojnę

Więcej już o zgodę nie pytał. Późną wiosną 2001 r. napisał tylko rodzicom, że latem upały w Pakistanie są trudne do zniesienia, więc zamierza przenieść się na parę tygodni w góry. I że nie ma tam dostępu do internetu, nie działają telefony, nie dochodzi nawet tradycyjna poczta, więc niech rodzice nie niepokoją się, jeśli nie będą otrzymywać od niego wieści.

O tym, że w ogóle pojechał do Afganistanu i zaciągnął się na „świętą wojnę”, dowiedzieli się dopiero pół roku później, z telewizji. Od dziennikarzy usłyszeli, że ich syn postanowił przystać do talibów, którzy wytłumaczyli mu, iż w zaprowadzeniu Państwa Bożego na ziemi przeszkadzają im ostatni wrogowie – dawni mudżahedini, partyzanci, którzy 10 lat wcześniej bohatercko walczyli z bezbożnymi Rosjanami, a teraz wysługiwali się im i przyjmowali od nich broń.

20-letni Sulejman spotkał w Afganistanie również Arabów. Pomagali talibom i zaproponowali mu, że może wyszkolić się na partyzanta w jednym z ich obozów. Nosiło nazwę Al-Faruk, a dowodził nim Osama ibn Ladin.

Był to jeden z obozów szkoleniowych szajki (jak nazywali go jego ludzie) – założyciel i przywódca Al-Kaidy został zaproszony tu przez talibów w połowie lat 90., jeszcze gdy walczyli o władzę w Kabulu. Pozwolili mu założyć obozy dla jego dżihadystów. To właśnie z afgańskiej kryjówki Osama dał rozkaz do zamachów z 11 wrze-



Styczeń 2002 r.: John Walker Lindh w drodze do sądu federalnego w Aleksandrii (w stanie Wirginia). W maju 2019 r., po 17 latach spędzonych w więzieniu, wyszedł na wolność.

śnia 2001 r. na Nowy Jork i Waszyngton. Gdy USA zażądały od talibów, by wydali Osamę, a ci odmówili, Amerykanie dokonali inwazji na Afganistan, obalili rządy talibów i zainstalowali nowe władze.

Zanim jeszcze to wszystko się wydarzyło, Sulejman spotkał kilka razy Osamę. Pewnego razu szajka zagadnął go, czy jako amerykański muzułmanin nie miałby ochoty podłożyć bomby gdzieś w USA albo Izraelu. Uprzejmie odmówił, a szajka nie nalegał. Przychylił się do prośby Amerykanina, by przeszkolono go na prostego żołnierza i pozwolono wstąpić do armii talibów.

Latem 2001 r. dostał przydział do oddziału w północnej prowincji Tahar. Przebiegała przez nią linia frontu, który rozdzielał państwo talibów od zbuntowanych północnych powiatów, które odmawiały poddania się władzy talibskiego wodza – emira mułły Omara. To w Taharze Sulejman dowiedział się o samobójczych atakach Al-Kaidy na Nowy Jork i Waszyngton. Przypomniał sobie, że w obozowisku Al-Faruk krążyły pogłoski, iż Osama wysyłał przeszkolonych tam ludzi z misją specjalną do Ameryki. Pojął też, co miał na myśli szajka, gdy prosił podwładnych, by „modlili się za powodzenie misji 20 męczenników”.

Wyrok, kara i nowe życie

Podczas śledztwa i procesu, który wytoczono mu w Stanach, Johnny-Sulejman Phillip Walker Lindh zeznał, że na „świętej wojnie” nie zdążył ani razu wystrzelić.

W ojczyźnie, która wciąż pałała żądzą odwetu za cierpienie i upokorzenie z 11 września, wielu domagało się, aby Jasia Wędrowniczka vel Sulejmana powiesić jak najgorszego zdrajcę. Wyrok 20 lat więzienia uznał więc pewnie za łagodny. Właśnie wyszedł – na trzy lata przed terminem, w nagrodę za dobre sprawowanie, jako prawie 40-letni mężczyzna.

Jest na warunkowym zwolnieniu, a więc przez prawie trzy lata nie wolno mu wyjeżdżać ze Stanów. Jeśli będzie chciał używać poczty elektronicznej czy telefonu, wolno mu posługiwać się wyłącznie językiem angielskim. Jego korespondencja, rozmowy i wszystkie wędrowki po internecie będą bacznie śledzone. Ma też spotykać się z psychiatrą, który ma badać stan jego umysłu i duszy.

W więzieniu wystąpił o obywatelstwo Irlandii, ojczyzny przodków ze strony ojca, i je otrzymał. Nosi teraz nowe imię: Abu Sulejmana al Irlandiego. Jeszcze przed ogłoszeniem wyroku, zabiegając o łagodniejszą karę, wyparł się talibów, przemocy i przysięgał, że nigdy nie zamierzał wyrządzić krzywdy Ameryce.

Jednak nie wyrzekł się ani islamu, ani braterstwa myśli i wiary z dawnymi towarzyszami z Afganistanu, Pakistanu i Jemenu. Takie wrażenie odniosły więzienne władze, czytając tłumaczenia kilku kazań, które wygłosił po arabsku podczas modłów ze współwięźniami – tak jak on, żołnierzami „świętej wojny”.

I nie wiadomo, co z nim będzie dalej.

© P. WOJCIECH JAGIELSKI

WOJCIECH

Bonowicz:

Coś, na co nie ma nazwy



MAMY ROK WYBORCZY I TRZEBA WYBRAĆ, czym się człowiek będzie zajmował. Ja już zdecydowałem – zajmę się końcem świata. Nawet najnowsza książkę tak zatytułowałem: „Dziennik końca świata”. Tytuł optymistyczny, wbrew pozorom. Ale czemu optymistyczny, nie wiem. Wiem natomiast, że nie należy się oszukiwać: świat się kończy i trzeba o tym pisać. Zresztą literatura ma tu akurat spore zasługi.

Świat kończył się już wielokrotnie, to jasne. Właściwie w każdej epoce można było napisać apokalipsę i traktować ją jako prozę realistyczną, nawet jeśli wokół nie było akurat „błyskawic i gromów” (a przeważnie były). Jednak dzięki dawnym apokalipsom świat szedł do przodu: społeczeństwa określały swoje ideały, które czasem wyprowadzały je na słoneczne równiny, a czasem kierowały w ślepą uliczkę. Potem korygowano błędy i popełniano nowe, zawsze jednak z myślą o pewnym etycznym „naprzód” czy raczej „w górę”. W końcu nad głowami zabłysła idea godności człowieka, a potem – porozumienia między ludźmi, które nie powinno być tak trudne, mimo wszystkich różnic, skoro godność jest wspólna. Idea się przebiwała albo nie, najpierw było krwawo, potem jakby się uspokoiło. Można powiedzieć, że w naszej części świata do pewnego momentu idei godności wiodło się nie najgorzej. Ale przyszły wielkie katastrofy, monstrualne wojny i ludobójstwa idące w miliony ofiar – i już nie wiadomo było, co myśleć.

Ludzie wyciągają różne wnioski z katastrof. Najbogatsi budują schrony, najlepiej w kilku miejscach globu, i rzeczywiście mogą się czuć bezpieczni. Cała reszta musi radzić sobie inaczej. Idea porozumienia ciągle się między nami błąka, ale trudno jest budować porozumienie w społeczeństwach, w których coraz więcej jest nadawców, a odbierać nie ma komu. Miał rację Tischner, kiedy pisał, że żyjemy na tym świecie jak na wielkim targowisku, gdzie każdy nawołuje, żeby zatrzymać się przy jego akurat straganie. W tym świecie coraz mniej się perswaduje, coraz więcej nawołuje właśnie, a nawołując – straszy lub zawstydza. Człowiek wie, zwłaszcza jeśli nie jest najbogatszy, że aby przetrwać, potrzebuje innych. Państwo niby też powinno to wiedzieć. I klasa polityczna także. Ale politykę prowadzi się dziś tak, jakby nikt inny na tym świecie nie był potrzebny – tylko nasza frakcja czy partia. Partia, czyli część, nie całość.

No więc koniec świata polega na odmowie porozumienia. Może nawet nie werbalizuje się tego w ten sposób: ostatecznie słowo „porozumienie” zapewne nigdy nie zniknie z politycznego słownika. Ale wewnętrznie już dokonała się odmowa. Nie tylko w polityce, w innych sferach także. Wszystkie wielkie problemy – przemoc, ekologia, kryzys demokracji – tu mają swoje źródło. Kto inny, kto ma odmienne zdanie, odmienne cele i ideały, niech zniknie albo niech swą odmienność ukrywa. Nie ma godności poza kręgiem, który sam zakreśli. Nie ma świata poza takim, jakim go widzę.

To nawet nie jest wojna wszystkich ze wszystkimi. To jest coś, na co dopiero trzeba wymyślić nazwę. Zanim nie będzie za późno. ©

Przyjaciół z Rennes

HENRYK WOŹNIAKOWSKI

Spotkanie ludzi tak lojalnych i wiernych w przyjaźni jak Jacek Brzeziński, tak bezinteresownych i życzliwych, to szczęśliwy przywilej.

BYWA, ŻE LUDZKIE LOSY BIEGNĄ OBOK SIEBIE PRZEZ dłuższy czas w dużej bliskości, aby ni stąd, ni zowąd energicznie się splatać. Tak było z moją przyjaźnią z Jackiem Brzezińskim. Spotykaliśmy się przelotnie w Krakowie od końca lat 60. XX w., mieliśmy wspólnych znajomych, mijaliśmy się w dominikańskim kręgu czy w drzwiach u Wojtka Gołubiewa, z którym Jacek pracował po studiach w Spółdzielczym Instytucie Badawczym – ale chodziliśmy innymi ścieżkami. Z tamtego czasu pamiętam głównie jego okazałą białogwardyjską futrzaną czapę, dobrze pasującą do jego solidnej postury i mocno zarysowanego profilu. Z początkiem lat 80. Jacek znikł z Krakowa – wiedzieliśmy, że osiedlił się z żoną we Francji, a ponieważ został tam nielegalnie, nie mógł przez dłuższy czas pokazać się w Polsce.

Lekcja wolnego rynku

Tymczasem z początkiem lat 90. okazało się, że okręt flagowy Znak nabiera wody. Wskutek gwałtownych przemian w ówczesnej polityce, Kościele i na rynku prasowym „Tygodnik Powszechny” jął tracić czytelników. Jerzy Turowicz złożył wówczas na moje plecy prezesurę Znak w mniemaniu, że kilkunastomiesięczna służba w ekipie Tadeusza Mazowieckiego dała mi wiedzę, jak radzić sobie ze skutkami transformacji. Brakowało nam pomysłów, a przede wszystkim kapitału, żeby odzyskać starych i przyciągnąć nowych czytelników.

Postanowiłem wówczas odwołać się do francuskich przyjaciół, z którymi spotkałem się wcześniej w Radzie Międzynarodowej Unii Prasy Katolickiej. Przedstawiłem projekt stworzenia *joint venture* ze Znakiem, która skupi się na wsparciu „Tygodnika” w postaci *know-how* i niezbędnego, acz niewielkiego zastrzyku kapitałowego.

Jednym z trzech partnerów tego przedsięwzięcia został koncern wydawniczy Ouest-France kierowany przez François Régis-Hutina, podczas stanu wojennego inicjatora transportów humanitarnych do Polski. Jego asystentem był Jacek Brzeziński, który z ogromnym zapałem włączył się we współtworzenie nowej spółki i w budowanie porozumienia między delegatami francuskich partnerów a Znakiem.

„Tygodnik” co prawda postanowił pozostać jeszcze przez kilka lat „niewygodny”, w dużym formacie, jednak zasilenie kapitałowe pozwoliło zyskać na czasie, zaczerpnąć nieco oddechu i zaadaptować się do zmniejszonej sprzedaży. Pojawili się też ciekawi francuscy doradcy. Jacek świadomie rozbudowywał te związki pomiędzy swymi dwiema ojczyznami, które leżały w jego zawodowych kompetencjach i zaspokajały pasję społeczną. Entuzjastą „Tygodnika” pozostał do końca życia, organizując załozde regularne staże w Rennes i czytając pismo od deski do deski. Znakowi w osobach mojej i Danuty Skórowej pomógł przeprowadzić wizytę w licznych wydawnictwach zarówno należących do grupy Ouest-France, jak i spoza niej, podczas której francuscy koledzy po fachu odsłaniali przed nami tajniki swego warsztatu. Było to nieocenioną lekcją u początków wdrażania się w gospodarkę rynkową. Za pośrednictwem stowarzyszenia Europe Presse Solidarité Jacek rozwinął też współpracę z wydziałem dziennikarstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Radość i optymizm

Taki był, pokrótce mówiąc, pewien fragment zawodowo-społecznej działalności Jacka i jej owoce. Ale równie owocna była jego przyjaźń, jego entuzjazm i nie-



ARCHIWUM RODZINNE

spożyty optymizm. U początków naszej współpracy okazało się, że planujemy wyjazd wakacyjny do amerykańskich parków narodowych. Postanowiliśmyjechać razem i odtąd co roku spędzaliśmy dwa-trzy tygodnie wakacji przemierzając w dwie pary małżeńskie malownicze rejony Europy i świata: Albanii, Bałkanów, Andaluzji, Argentyny, Kanady itd.

Jacek był głównym organizatorem tych wypraw: po starannej lekturze licznych przewodników proponował trasę, rezerwował noclegi, przygotowywał opisy czytając to wszystko z wielką perfekcją, a potem – namiętnie fotografował oglądane pejzaże, zabytki, ludzi. Podczas długich godzin, gdy nawijaliśmy na koła kilometrów szos, raczył nas niezliczonymi anegdotami i plotkami, zawsze z nutą niepozobawionej ironii życzliwości, o znanych nam i nieznanach przyjaciółach polskich i francuskich, o ukochanej jedynaczce Agacie i małych wnuczkach. W najpiękniejszych rejonach świata, z dala od obowiązków spędzaliśmy intensywne, bez troskie chwile.

Może nie zawsze bez troskie: Jacek bowiem przez kilkanaście lat zmagął się dzielnie z poważną chorobą nowotworową. Umiął jednak zgrać swoje kolejne, coraz liczniejsze zabiegi i terapie z naszymi podróżami: nieco słabszy i szczuplejszy, co roku pojawiał się wraz z Ewą, pełen wigoru, na starcie kolejnej wspólnej trasy. Do choroby i związanych z nią niedogodności podchodził z odwagą, humorem, optymizmem i stosunkiem analitycznym: opowiadał o jej postępach i o reakcjach własnego organizmu, o wysiłkach lekarzy, jak gdyby opisywał ciekawy medyczny przypadek.

Co roku spotykaliśmy się też w Polsce. Jacek miał chałupę góralską na Tarsówce, bez prądu i wody bieżącej, w której spędził sporą część dzieciństwa i młodości, co mu dało znakomitą znajomość gwary góralskiej, śpiewu i obyczaju, a także trwałe sąsiedzkie przyjaźnie. W tej chacie otwartej na tatrzańską panoramę, dalekiej od gwaru wczasowisk, spędzał pozostałą część urlopu kosząc trawę, rąbiąc drwa, nosząc wodę ze studni i gwarząc z sąsiadami. Rozstanie z tym miejscem, wymuszone postępiami choroby, było dla niego trudne, ale jak zawsze bacząc pilniej na pełną niż na pustą połówkę szklanki cieszył się, że chata poszła w ręce jego góralskich przyjaciół.

Spotkanie ludzi tak lojalnych i wiernych w przyjaźni jak Jacek, tak bezinteresownych i życzliwych, jest rzadkie – to szczęśliwy przywilej. Przedwczesne odejście człowieka, który tak cieszył się życiem i przysparzał światu niemało dobra – to odwieczna tajemnica. Ale ponieważ żadne dobro się nie marnuje, to i Jacek nie wszystek od nas odszedł. ©

KS. ADAM BONIECKI

ODWIEDZIŁ REDAKCJĘ W LIPCU ZESZŁEGO ROKU.

Zawsze, kiedy przyjeżdżał do Polski, odwiedzał nas na Wiślniej. Tamta wizyta – nikt z nas wtedy nie myślał, że ostatnia – była szczególnie. Jacek Brzeziński wyszedł – jak się zdawało – zwycięsko z ciężkiej choroby, radość więc ze spotkania była tym większa. On sam nią promieniał. Od wielu lat był naszym wypróbowanym przyjacielem. Tajemnica tej przyjaźni z „Tygodnikiem” i całym środowiskiem

leżała nie w tym, że w trudnych sytuacjach spieszył z pomocą, przecierając drogi do środowisk francuskich wydawców, które doskonale znał i w których cieszył się zaufaniem, ale w tym, że doskonale rozumiał, wręcz czuł sens tego, co robimy, i do „Tygodnikowej” i „Znakowej” filozofii miał zaufanie. Rozumiał nas i w nas wierzył. W trudnych okresach najnowszej historii „Tygodnika” było to niesłychanie ważne. Jacek nie był amatorem-dyletantem, znał się na dziennikarstwie, znał

arkana sztuki wydawniczej, katolicki świat wydawniczy nie był mu obcy. Trudno nawet opisać, ile tej przyjaźni zawdzięczamy, bo najbardziej liczy się to, czego policzyć się nie da. Wzruszył mnie wtedy w lipcu. Z najgłębszym przekonaniem zapewniał nas, że wyjście z choroby zawdzięcza naszym modlitwom. Tak, gorąco modliliśmy się za Jacka, ale żeby aż tak... Myślę, że najwspanialszym dorobkiem „Tygodnika” są tacy jak Jacek przyjaciele. Bez nich dawno byśmy się pogubili, a może nawet przepadli. ©©

WITOLD, MÓJ BOHATER

JACK FAIRWEATHER, AUTOR KSIĄŻKI „OCHOTNIK”:

Badając historię Pileckiego zdałem sobie sprawę, jak trudno czasem zrozumieć cierpienie innych.

Jemu w Auschwitz się to udało.

Mam nadzieję, że jego historia zainspiruje ludzi tak, jak zainspirowała mnie.

ZDJEŚCIE ZE ZBIORÓW RODZINY PILECKICH / AIPN



Pilecki ze znajomym Aleksandrem Żeligowskim. Lida, 1930 r.

PATRYCJA BUKALSKA: Jest Pan brytyjskim dziennikarzem, bez związków z Polską. W jakich okolicznościach usłyszał Pan po raz pierwszy o Witoldzie Pileckim?

JACK FAIRWEATHER: Jesienią 2011 r. opowiedział mi o nim mój przyjaciel, korespondent wojenny Matt McAllester. Razem relacjonowaliśmy wojny na Bliskim Wschodzie. Staraliśmy się zrozumieć to, czego byliśmy tam świadkami. Szukając odpowiedzi, Matt pojechał do Auschwitz – miejsca, gdzie dokonano się największe

zło w historii – i tam usłyszał o Witoldzie. Ta historia kilku odważnych ludzi, którzy stawili czoła nazistom w takim miejscu, była dla nas krzepiąca. Byłem jednak zaskoczony, dlaczego tak mało wiadomo o misji Witolda. Postanowiłem dowiedzieć się więcej.

Nad tą książką pracował Pan pięć lat. Co było najtrudniejsze?

Samo pisanie było pełne napięcia. Korzystałem z relacji więźniów obozu koncentracyjnego, więc miałem poczucie

swego rodzaju zobowiązania wobec nich, by opowiedzieć ich historię z taką mocą, jak na to zasługuje.

Z kolei syn Witolda, Andrzej Pilecki, poświęcił mi wiele godzin. Opowiadał o ojcu. Pokazałem mu pierwszą wersję tekstu i byłem wzruszony, widząc, że mu się podoba.

Zanim zacząłem pisać, przeczytałem mnóstwo książek o II wojnie światowej i udziale w niej Polaków. Dużo tam dyskusji, polemik. Czułem, że nie muszę się w te debaty angażować. Nie chodzi o to,

WITOLD PILECKI miał 39 lat, gdy we wrześniu 1940 r. trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz – dobrowolnie. Ten weteran wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. i uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r., a następnie konspirator, miał w Auschwitz ustalić, co to za miejsce i co tak naprawdę się tam dzieje.

OBÓZ KL AUSCHWITZ Niemcy uruchomili dopiero pół roku wcześniej, w pierwotnym zamiśle dla polskich



AUSCHWITZ.ORG

więźniów politycznych. Zadaniem Pileckiego było też zorganizowanie w obozie konspiracji – podziemie zakładało (jak się okazało, nazbyt optymistycznie), że w sprzyjających okolicznościach

możliwe będzie powstanie więźniów i – dzięki skoordynowanej akcji z zewnątrz – wyzwolenie obozu. Pilecki przebywał w Auschwitz 2,5 roku, po czym w kwietniu 1943 r. zdecydował się na ucieczkę,

wraz z dwoma współwięźniami. O swoim pobycie składał raporty podziemu.

W LATACH 1943-44 Pilecki służył w Kierownictwie Dywersji Komendy Głównej AK (w pionie wywiadu). Walczył w powstaniu warszawskim, a po jego upadku trafił do niemieckiej niewoli (miał wtedy stopień rotmistrza, tj. kapitana kawalerii). Po 1945 r. znalazł się na Zachodzie i wstąpił do II Korpusu gen. Andresa, gdzie służył w Oddziale II (wywiadzie).

by unikać trudnych tematów, ale chciałem napisać historię Pileckiego w nowy sposób. Chciałem też zaprezentować jak najuczciwiej punkt widzenia Pileckiego, tak aby czytelnicy sami mogli wyrobić sobie opinię na temat wydarzeń, motywacji i poglądów bohaterów. Mam też nadzieję, że poczują więź z Pileckim, taką jak ja, za czymś odczuwać.

Trudno jest pisać o postaciach, które są już ustawione na pomnikach. Wiemy, że Pilecki był niezwykle odważny. Pan pokazuje go też jako człowieka z dylematami, momentami lęku. Pisz Pan, że jego wielkość polega na tym, iż był zwykłym człowiekiem, takim jak my. Tak go Pan widzi?

Zadaje pytanie, dlaczego Pilecki zrobił to, co zrobił. Jednak sama tylko odpowiedź, że był heroiczny, oddaliłaby mnie od niego, zmniejszyłaby szansę, by zrozumieć jego motyw. Czułem, że dopiero opisując – na ile to możliwe – jego niepokój czy złożoność charakteru, mogę pokazać jego heroizm.

To historia tak niezwykła, że nie trzeba karmić czytelników tylko heroicznymi cnotami. Wystarczy pokazać, co zrobił. Jego działania mówią same za siebie. Bo choć ludzie potrzebują bohaterów, których mogą podziwiać jako wzorce, to powinniśmy też wiedzieć, że za tak wielkim człowiekiem kryje się również mężczyzna w średnim wieku, z obowiązkami rodzinnymi, zmagający się z życiem. Zwłaszcza momenty, gdy Pilecki musiał mierzyć się z ważnymi decyzjami, były dla mnie najistotniejsze.

Na przykład decyzja, by dobrowolnie pójść do Auschwitz?

Zwykle przedstawia się tę jego decyzję prosto: że bez wahania zgłosił się na ochotnika. W istocie był to dłuższy proces. W pierwszej chwili nie podjął się tego. Nie był to zresztą jego pomysł, zadanie zostało na niego nałożone, a istotną rolę odegrał tu spór Pileckiego z kolegą z konspiracji [Tajnej Armii Polskiej, do której wtedy należał – red.], dotyczący politycznej orientacji ich organizacji. W pewien sposób misja była okazją, by pozbyć się Pileckiego z Warszawy. On rozumiał, że także o to chodzi. Stąd jego decyzja o pójściu do Auschwitz jako więźnia była bardziej skomplikowana, niż zwykłyśmy sądzić. Ponadto nie chodziło tylko o ryzyko, jakie sam podejmował, lecz także o niebezpieczeństwo, które mógł sprowadzić na swą rodzinę. Dopiero gdy zdamy sobie z tego sprawę, możemy w pełni docenić jego heroizm.

Starat się Pan wczuć w myślenie Pileckiego?

Myślę, że dopiero pod koniec zbierania materiałów znalazłem sposób, by zrozumieć, jak udało mu się wypełnić misję, zorganizować grupę ruchu oporu w obozie, wytrzymać potworne traktowanie. I znów okazało się, że to nie była tylko kwestia odwagi, patriotyzmu czy wiary – choć oczywiście one miały znaczenie. Gdy w obozie pozyskiwał ludzi do konspiracji, wśród głodnych i zdesperowanych współwięźniów, musiał konkretnej osobie powiedzieć: „Ufam ci, czy do nas dołączysz?”. Właśnie to zaufanie drugiemu człowiekowi, oddanie swego życia w jego

ręce, wydaje mi się kluczowe, gdy idzie o zrozumienie Pileckiego. Fakt, że ufał innym i sam wzbudzał zaufanie, sprawił, że mógł zostać przywódcą. Cały proces budowania konspiracyjnej siatki w obozie był oparty na serii takich momentów zawieszenia drugiemu człowiekowi.

Informacje o tym, co się dzieje w obozie, które Pilecki przekazywał na zewnątrz, przyjmowano z niedowierzaniem. W książce pokazuje Pan, jak sam Pilecki stara się zrozumieć to, czego jest świadkiem. Na początku ma z tym problem i dopiero stopniowo uświadamia sobie skalę potworności niemieckiego systemu.

To sedno całej opowieści. To też wyjaśnia, dlaczego nie było reakcji na jego raporty. Pilecki jest jedną z pierwszych osób, które stają twarzą w twarz z kolejnymi fazami systemu zorganizowanego przez Niemców. Musi znaleźć słowa, jak opowiedzieć to, co Niemcy robią z polskimi więźniami. Potem musi zrozumieć fakt zagazowania sowieckich jeńców. Potem wyjaśnić, dlaczego został zagazowany cały transport żydowski. Początkowo jego próby wyjaśnienia są błędne, bo on stara się znaleźć jakiś racjonalny powód tych masowych mordów. Skala tego była dla niego początkowo niepojęta. Zresztą nawet dziś trudno nam to zrozumieć, mimo naszej wiedzy.

Wyjaśnijmy to czytelnikowi: Pilecki widzi wymordowanie transportu sowieckich jeńców i myśli, że to dlatego, że nie przygotowano dla nich miejsc w obozie. Potem

→

W grudniu 1945 r. zdecydował się dobrowolnie wrócić do zajętej przez komunistów Polski i działać w konspiracji, w organizacji poakowskiej NIE. Zajmował się wywiadem, m.in. rozpracowywał Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Aresztowany w maju 1947 r. przez UB, w śledztwie torturowany, skazany na śmierć, został zamordowany w 1948 r. w więzieniu na Mokotowie.

JACK FAIRWEATHER, brytyjski dziennikarz, pracował przez wiele



BARNEY JONES

lat na Bliskim Wschodzie oraz w Afganistanie, skąd pisał m.in. dla „Washington Post” i „Daily Telegraph”. W 2003 r. był korespondentem wojennym w Iraku; za publikacje o wojnie irackiej otrzymał British Press Award (to brytyjski odpowiednik Nagrody Pulitzera). Na podstawie

swoich doświadczeń napisał książki „A War of Choice” (o Iraku) i „The Good War” (o Afganistanie).

OPOWIEŚĆ O PILECKIM pod tytułem „The Volunteer: One Man, an Underground Army, and the Secret Mission to Destroy Auschwitz” („Ochotnik. Jeden człowiek, podziemna armia i tajna misja zniszczenia Auschwitz”) to jego kolejna książka. Pisząc ją, opierał się na materiałach z archiwów nie tylko w Polsce, ale też

w Londynie, Waszyngtonie, Nowym Jorku, Tel Awiwie i Szwajcarii, a także na relacjach świadków Holocaustu (ponieważ Fairweather nie zna polskiego, musiał korzystać z pomocy researcherów znających język). Połączenie tak różnych źródeł pozwoliło na opowiedzenie historii Pileckiego na nowo, także z uwzględnieniem ówczesnego kontekstu międzynarodowego – oczami obserwatora zupełnie zewnętrznego. Polski przekład książki ukaże się wkrótce.

© WP, PB

→ widzi wymordowanie transportu żydowskiego i myśli, że chodziło o zagarnięcie ich własności. Nie sądzi, że zostali zabici tak po prostu. Pokazanie, jak rozwija się świadomość Pileckiego o systemie Zagłady, nadaje książce uniwersalny wymiar: pokazuje przyzwoitego człowieka stojącego twarzą w twarz z czystym złem i jego początkową niemożność, aby to zło pojąć.

Trzeba też widzieć kontekst: jego współwięźniowie oswajają się z tym, koncentrują na przetrwaniu. Pilecki cały czas pamięta o zadaniu, nie przestaje próbować zrozumieć, co się dzieje, i w końcu mu się to udaje.

Był w obozie 2,5 roku. Czy to świadomość, że ma misję do spełnienia, dała mu siłę, by wytrwać?

Pilecki był jedynym więźniem Auschwitz, który trafił tam z własnego wyboru. To swego rodzaju poczucie kontroli pomagało mu przetrwać. Z kolei on pomógł przetrwać innym, pokazując, że nazistom można się przeciwstawić. To dawało poczucie siły. To było coś całkowicie odmiennego od stanu tzw. zmużmania, w jaki popadali niektórzy więźniowie [w slangu obozowym nazywano tak tych, którzy tracili wolę przetrwania – red.]. Bo utrzymanie woli życia nie było proste. Gdy więzień raz się załamał, nie było dla niego ratunku. Pilecki chronił przed tym ludzi. Ci z jego przyjaciół, którzy zginęli, ginęli z poczuciem godności.

Ma Pan poczucie, że zbliżył się do zrozumienia, skąd zło w ludzkiej naturze?

Dobre pytanie. Praca nad tą książką była jak historyczne śledztwo detektywistyczne. Ja i mój zespół, który wspierał mnie w researchu, siedzieliśmy nad setkami relacji, szukając okrucieństw, które pomogą odtworzyć doświadczenia Pileckiego. Starałem się to poskładać, ale co chwila jakieś zdanie z relacji byłego więźnia rozbijało iluzję chłodnej pracy detektywistycznej, porażało mnie potwornością. Emocjonalnie była to trudna praca. Czasem musiałem ją przerywać na kilka dni, żeby dojść do siebie. Myślę, że w pewien sposób pomogło mi to zrozumieć zmagania Pileckiego, który starał się przeżyć kolejny dzień, patrząc na kolejny transport, kolejną śmierć. Musiał się na to uodpornić.



O Witoldzie opowiedział mi

mój przyjaciel, z którym razem relacjonowaliśmy wojny na Bliskim Wschodzie. Byłem zaskoczony, że tak mało wiadomo w świecie o misji Witolda.

Miał chwile kryzysu.

Opisuję scenę, której był świadkiem, a która wpłynęła ostatecznie na jego decyzję o ucieczce z obozu. Zobaczył rodzinę, może polską, może żydowską. To był styczeń-luty 1943 r., wieczór. Widział po ich twarzach, że wiedzą, iż za chwilę zostaną zastrzeleni. Był tam chłopiec w wieku jego syna. Potem w nocy Witold nie mógł spać, nie mógł zapomnieć twarzy tego chłopca. Myślał o tym, że nie zrobił nic, aby tego jednego chłopca ocalić.

Niewiele mógł zrobić.

Jego osobista uczciwość w uznaniu pewnej porażki jego misji – bo przecież nie doszło do powstania więźniów KL Auschwitz, nie udało się zatrzymać zabijania – wzbudza mój szacunek. Natomiast jego sukces polega na tym, że pokazał nam prawdę o masowych mordach. W naszym świecie też dzieją się przerażające rzeczy.

Ilu z nas czyta o Syrii czy Jemenie i nie robi nic, zupełnie nic? Przesłanie Pileckiego mówi nam, że zawsze mamy jakiś wybór. Jego wybór polegał na pójściu do Auschwitz i zdobyciu wiedzy o zbrodniach nazistów. My też mamy wybór. Nie, nie musimy od razu jechać do Syrii. Ale możemy zwrócić uwagę na cierpienie ludzi tam. Albo, po prostu, zrobić coś dobrego w naszym otoczeniu.

Cytuje Pan memorandum brytyjskiego MSW rozesełane podczas wojny do mediów: z sugestią, by „oszczędnie” informować o niemieckich zbrodniach. Takiego słowa użyto: informować, ale oszczędnie.

I nie mówić o Żydach! To też zaznaczono.

To pokazuje, jak niektórzy ludzie – w przeszłości i teraz – odmawiają nawet przyjęcia do wiadomości, co dzieje się z innymi ludźmi. Wolą odwrócić się plecami do zła. Pilecki musiał czuć wielką samotność, wiedząc, że zrobił tak wiele, by przekazać wiadomości z obozu, a jednak niewiele one zmieniły.

Dlatego jego poobozowe doświadczenia i odczucia były dla mnie tak interesujące. Rozczarowanie, frustracja. I gniew. Wiadę to w jego notatkach. Jedną z najpiękniejszych rzeczy napisał tuż przed swoim aresztowaniem przez komunistów. To



Na sąsiedniej stronie: Pilecki z młodzieżą z powiatu lidzkiego (gdzie mieszkał i działał jako społecznik) w Warszawie, koniec lat 30. Z lewej: zdjęcie ślubne Marii i Witolda Pileckich, kwiecień 1931 r.

się niewyobrażalne zło. A to jest książka o człowieku, który tam poszedł z własnej woli. Nie jest ofiarą, lecz świadkiem, który dokumentuje i przekazuje informacje. To niezwykła perspektywa. Wiele osób na Zachodzie może też nie wiedzieć, że zanim Auschwitz stał się epicentrum Holokaustu, był obozem dla polskich więźniów. Nie sposób też opowiedzieć o przedwojennej czy wojennej historii Polski bez podejmowania tematu antysemityzmu. To też część tej opowieści.

Pokazuje Pan osobisty sprzeciw Pileckiego wobec antysemityzmu.

Nie wiemy wiele o poglądach politycznych Pileckiego. Wydaje się, że on w ogóle nie lubił polityki. Ale jego konflikt z kolegą z konspiracji wziął się stąd, że tamten chciał opublikować podziemny biuletyn z antysemickimi treściami, z przesłaniem „Polska dla Polaków”. W tej sytuacji uwiadamnia się poglądy Pileckiego. On pochodził ze środowiska, w którym antysemityzm nie należał do rzadkości. Ale to sprawia, że jego późniejsze poglądy w obozie, współczucie wobec współwięźniów, stają się jeszcze ciekawsze. I znów jest to coś, co możemy odnieść do nas, np. w kwestii współczucia dla muzułmanów cierpiących w Syrii.

W obozie Pilecki musiał poradzić sobie ze swoją niechęcią do Sowietów, uzasadnioną przecież także jego biografią – brał udział w wojnie 1920 r. – aby w raportach podjąć los sowieckich jeńców. Uznał, że jego osobiste odczucia nie mogą wpływać na jego misję.

Staram się pokazać historię Pileckiego tak otwarcie, jak to możliwe. Gdy mówię, że może jest prowokacyjna, to nie w sensie szukania kontrowersji. Chciałem pokazać, jak ludzie wtedy reagowali na to, co się wokół nich działo, i jak to wpływało na zmianę ich poglądów. I także na zrozumienie Holokaustu. Cytuję holenderskiego teologa Willema Visser't Hoofta, który po wojnie pisał: „Ludzie nie mogli znaleźć w swoim sumieniu miejsca na tak niewyobrażalną zgrogę, i nie mieli dość wyobraźni ani odwagi, by stanąć z nią

twarzą w twarz”. Antysemityzm odegrał istotną rolę, gdy idzie o reakcje na Holokaust. Ale brak wyobraźni, by uwierzyć w rzeczy, które działy się wtedy w Europie, też był ważny. W efekcie świat nie zareagował na raporty Pileckiego tak, jak powinien.

Wcześniej napisał Pan książki o Iraku i Afganistanie, był Pan tam korespondentem wojennym. Wojna tak Pana interesuje?

Gdy pracuje się jako reporter na wojnie, relacjonuje się w szybkim tempie wydarzenia z wydarzeniem. W Iraku przez dwa lata pisałem po kilka tekstów dziennie. Po tych wojnach miałem potrzebę, aby zrozumieć z tego coś więcej, sięgnąć głębiej. To, co się tam stało, było tak straszne, że uznałem, iż jestem coś winien tym wszystkim ludziom, których tam spotkałem, jak irackie rodziny czy żołnierze tam walczący. Chciałem pokazać, jak ważne decyzje podejmowane w Waszyngtonie wpływają na życie zwykłych ludzi w tamtych krajach. Czasem media opisują jakieś wydarzenie gdzieś daleko, np. w Iraku, jakby po prostu się zdarzyło, a zapomina się, że ma ono swoją przyczynę.

Opisuje Pan scenę, jak esesmani znęcają się nad Pileckim i innymi więźniami, zmuszają ich do „żabek”, skakania w kółko. Pilecki przypomina sobie wtedy, jak przed wojną widział w swojej wiosce ludzi znęcających się nad złapanym zwierzęciem. Pamięta jego skowyt przed śmiercią. Wtedy myślał, że to odośobniony przypadek. W Auschwitz zrozumie, że taka jest ludzka natura.

Znów widać w tym siłę Pileckiego, który nie ma już złudzeń co do ludzkości, ale i tak potrafi zobaczyć w ludziach dobro.

Czego się Pan spodziewa po tej książce, jakie wnioski mieliby wyciągnąć czytelnicy?

Badania, które przeprowadziłem, pozwoliły mi zdać sobie sprawę, jak trudno czasem dostrzec i zrozumieć cierpienie innych. Witoldowi Pileckiemu w Auschwitz się to udało. Mam nadzieję, że jego historia zainspiruje ludzi tak, jak zainspirowała mnie.

© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA
Dziękujemy warszawskiemu Instytutowi Pileckiego (instytutpileckiego.pl) za pomoc w zorganizowaniu wywiadu.

tylko jedna strona, ale znacząca. Pokazuje, co było w nim najpiękniejszego. Zaczyna znów od tego, co działo się w obozie, z trudem znajduje słowa. A potem, nagle – jakby uznając, że jednak nigdy nie zrozumie, jak człowiek może coś takiego zrobić drugiemu człowiekowi – opisuje, jak nieraz siedział w obozie ze swoimi przyjaciółmi w noc przed ich egzekucją. I każdy miał w sobie ten sam żal: że nie dał z siebie więcej innym ludziom. Traktuję to jako ostatnie przesłanie Pileckiego. Napisał to na kilka miesięcy przed swym aresztowaniem w 1947 r.

Zaczynając książkę, zapewne miał Pan jakieś pierwsze wyobrażenie o Pileckim. Czy ten obraz się potem zmienił?

Najbardziej zaskakujące było przesłanie jego podróży intelektualnej. Wcześniej wiedziałem o jego heroizmie w obozie. Ale zrozumienie wysiłku, jaki musiał podjąć, aby zrozumieć zbrodnie nazistów, w tym i to, czym był Holokaust, pokazały mi niezwykłą jakość jego myślenia. Większość osób wie tylko o tym, co on robił. A tutaj nastąpił jeszcze niezwykły i bogaty intelektualny proces, przez który musiał przejść, by zrozumieć Auschwitz.

We wstępie pisze Pan, że książka jest prowokacyjna. W jakim sensie?

Amerykański czy brytyjski czytelnik myśli o Auschwitz w sposób niemal symboliczny: jako o miejscu, gdzie dokonało

POŻERACZE SERIALI

Wielogodzinne oglądanie seriali metodą „odcinek za odcinkiem” to obecnie częste doświadczenie, a nawet element stylu życia. Zjawiskiem tym coraz mocniej interesują się psychologowie.

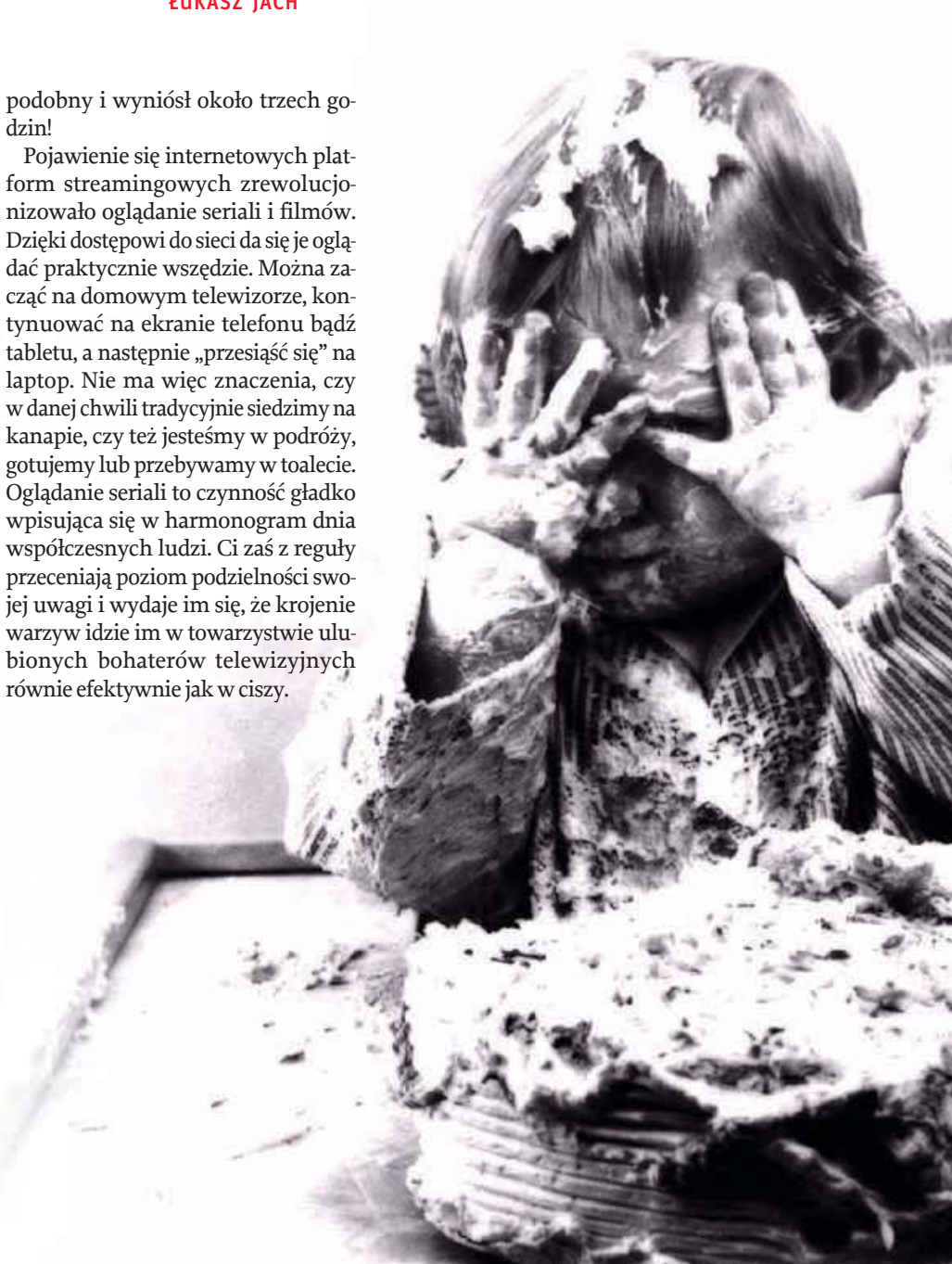
ŁUKASZ JACH

JEŚLI NIE OBEJRZELIŚCIE JESZCZE ANI jednego z 73 odcinków zakończono już serialu „Gra o tron”, możecie nadrobić kulturowe zaległości w ciągu czterech dni. Starczyłoby nawet czasu na krótkie przerwy na sen i zaspokojenie innych potrzeb ciała.

W DSM-5, czyli klasyfikacji chorób Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, wyróżnia się zaburzenie z napadami objadania się (*binge-eating disorder*), którego objawami są m.in. sięganie po pożywienie mimo braku odczuwania głodu, przyjmowanie nadmiernych porcji pokarmu oraz poczucie braku kontroli nad jedzeniem. Przez analogię mianem *binge-watching* zaczęto określać oglądanie materiałów wideo, najczęściej seriali, w ilościach przekraczających wielkość ich standardowych „porcji”. To właśnie liczba obejrzanych epizodów, a nie czas na to przeznaczony, wydają się być w tym przypadku ważniejszym kryterium identyfikacji zjawiska. Jeśli usłyszymy, że ktoś w trakcie weekendu obejrzał pod rząd dziewięć odcinków sitcomu, automatycznie wyobrazimy sobie człowieka pożerającego odcinki serialu niczym chipsy – jeden za drugim, z niewielką szansą na zaprzestanie, zanim w paczce pojawi się dno. Jeżeli jednak ktoś obejrzałby film „Ojciec chrzestny”, nasze skojarzenia poszłyby raczej w kierunku amatora twórczości Coppoli lub prozy Maria Puzo. A przecież w obu przypadkach czas spędzony przed ekranem byłby

podobny i wyniósł około trzech godzin!

Pojawienie się internetowych platform streamingowych zrewolucjonizowało oglądanie seriali i filmów. Dzięki dostępowi do sieci da się je oglądać praktycznie wszędzie. Można zacząć na domowym telewizorze, kontynuować na ekranie telefonu bądź tabletu, a następnie „przebrać się” na laptop. Nie ma więc znaczenia, czy w danej chwili tradycyjnie siedzimy na kanapie, czy też jesteśmy w podróży, gotujemy lub przebywamy w toalecie. Oglądanie seriali to czynność gładko wpisująca się w harmonogram dnia współczesnych ludzi. Ci zaś z reguły przeceniają poziom podzielności swojej uwagi i wydaje im się, że krojenie warzyw idzie im w towarzystwie ulubionych bohaterów telewizyjnych równie efektywnie jak w ciszy.



Szwedzki stół

Platformy cyfrowe na żądanie oferują dostęp do dziesiątek produkcji. Niektóre z nich udostępniają nawet z góry całe sezony nowych epizodów, czym wystawiają na próbę naszą silną wolę. W ujęciu psychologii ekonomicznej konieczność oczekiwania na satysfakcjonujące zdarzenie interpretuje się w kategoriach kosztu, który trzeba ponieść, aby zrealizować zamierzony cel. Życie obfituje w sytuacje wymagające odroczenia gratyfikacji, jak choćby oszczędzanie przed zakupem czy stanie w kolejce przed wejściem na interesującą wystawę. Niekiedy jednak wydaje się ono rzeczą tak nieprzyjemną, że jesteśmy skłonni zadowolić się mniej atrakcyjną, ale szybko dostępną opcją lub zamienić koszty czasowe na koszty innego rodzaju (jak wtedy, gdy sięgamy po wysokooprocentowaną „chwilówkę”, aby kupić coś już dziś, zamiast poczekać do następnej pensji). Problem ten znika jednak w przypadku dostępu do całego sezonu od ręki – nie ma już konieczności trenowania się w cierpliwości, zostaje tylko przyjemność z oglądania. Dostawcy telewizji sto-

sują też inne zabiegi obniżające poziom uciążliwości. Tuż po obejrzeniu epizodu widz często zapraszany jest automatycznie do kolejnego. Niektóre platformy oferują nawet możliwość pominięcia sekwencji początkowej, przez co przejście z jednego odcinka do drugiego staje się jeszcze bardziej płynne.

Do wpadania w ciągi serialowe może skłaniać również niechęć do ponoszenia strat, nawet jeżeli są one jedynie subiektywnie postrzegane. Ilu z nas zdarzyło się np.

zjeść leżący w lodówce produkt, którego termin przydatności do spożycia wkrótce się kończył, mimo że wcale nie mieliśmy na niego ochoty? Albo ilu z nas wyszło z kina lub teatru w trakcie mało interesującego przedstawienia? Rezygnacja spostrzegana jest w takich sytuacjach jak strata, choć paradoksalnie jej unikanie prowadzi do jeszcze większych kosztów. Trudno jednak wygrać z własną psychiką, dlatego przekroczywszy pewną niewidoczną granicę decydujemy się na dojsie do końca – odcinka, sezonu czy nawet całej produkcji. Podobne zjawisko może pojawiać się w głowach osób wkraczających w świat platform serialowych ze względu na promocje lub okres wykupionej subskrypcji. Czas nagli, możliwości sporo, a oferta nie powinna się zmarnować! W ten sposób pozerający odcinki widz upodabnia się do klienta, który porażony mnogością smakolików dostępnych na szwedzkim stole podczas hotelowego śniadania spożywa porcję znacznie większą niż ta, którą zwykle konsumuje w domu.

Zagłądanie w umysł

Maëva Flayelle z Uniwersytetu Luksemburskiego wraz z zespołem europejskich badaczy opracowała kwestionariusz do badania ogólnych powodów oglądania seriali: od wzmacniania więzi społecznych, poprzez chęć odczuwania silnych emocji, poszerzanie wiedzy i umiejętności, aż do radzenia sobie z codziennymi problemami. Wśród właściwości charakterystycznych dla wpadania w serialowe ciągi znalazły się m.in. poczucie zaangażowania w proces oglądania, poczucie zależności, wrażenie utraty kontroli oraz pragnienie utrzymywania przyjemnego stanu pojawiającego się w sytuacji śledzenia fabuły.

Swati Panda i Satyendra C. Pandey na podstawie badań przeprowadzonych na amerykańskich studentach wskazują natomiast, że wyższa motywacja do angażowania się w łańcuskowe oglądanie może mieć u swoich źródeł motywacje społeczne oraz ucieczkowe. Młodzi ludzie zanurzają się w świat seriali, bo dzięki temu mają o czym rozmawiać ze znajomymi, co daje im poczucie bycia „na czasie” i uwalnia od lęku przed wypadnięciem poza nawias grupy traktującej pozeranie seriali jako normę. Serie ułatwiają im także zapomnienie o codziennych problemach. Przyczyny wybierania ciągów serialowych mogą być też znacznie bardziej prozaiczne – to po prostu tania i łatwo dostępna roz-

rywka, której popularyzację napędzają dobrze zaprojektowane kampanie marketingowe. Co jednak może niepokoić – dalsze chęci kompulsywnego oglądania seriali deklarują również te osoby, które pod koniec sesji serialowych doświadczają ich negatywnych konsekwencji: zmęczenia, poczucia straty czasu czy przegapienia szansy na spotkanie z przyjaciółmi.

Interesujących informacji na temat motywacji do taśmowego oglądania dostarczają wyniki zebrane przez badaczy z Korei Południowej i Chin. Dotarli oni do blisko 800 osób w różnym wieku, które w ciągu ostatnich trzech miesięcy miały za sobą serialowe maratony. Badania wykazały, że angażowanie się w łańcuskowe oglądanie w celu odczuwania radości jest bardziej charakterystyczne dla osób o podwyższonej potrzebie doświadczania silnych emocji (*sensation seeking*). Ludzie lubiący mocne wrażenia mogą sięgać więc po serie ze względu na ich charakterystyczną budowę, obejmującą częste zwroty akcji oraz pozostawianie kulminacyjnych punktów fabuły na ostatnie minuty odcinka. Prawdopodobieństwo angażowania się w pozeranie seriali jest większe również u osób z podwyższoną potrzebą poznania (*need for cognition*), objawiającą się preferowaniem bardziej złożonych problemów, zadań i scenariuszy.

Nieco przewrotnie tendencje do „hurtoowego” oglądania odcinków mogą wynikać również z... dostępu do mediów społecznościowych i innych kanałów dostarczających informacji o serialowych zwrotach akcji i zakończeniach. Przeglądając strony internetowe można niechcący natknąć się na spoilery, czyli doniesienia zdradzające szczegóły fabularne odcinków, a nawet finałów całych sezonów. Dla niektórych widzów konfrontacja ze spojlerem oznacza drastyczny spadek satysfakcji z oglądania danej produkcji. Chcąc zatem uniknąć popuszczenia zabawy, starają się pochłaniać nowy materiał tak szybko, jak to tylko możliwe.

Oceny i przestrogi

Oczywiście nie brak głosów wskazujących na negatywny wpływ binge-watchingu na zdrowie. W tym kontekście wymienia się m.in. problemy ze snem czy schorzenia układu kostnego, oddechowego i krwionośnego, charakterystyczne dla osób prowadzących siedzący tryb życia. Ponieważ z łańcuskowym oglądaniem wiążą się niezdrowe zachowania żywieniowe – sięganie po produkty →



THREE LIONS / GETTY IMAGES

→ zawierające duże ilości cukrów, słone przekąski czy fast food oraz obniżenie kontroli nad ilością spożywanych pokarmów – pożeranie seriali może prowadzić do nadwagi czy otyłości. Konsekwencje psychologiczne mogą z kolei brać się z przemęczenia i przeciążenia poznawczego. Należą do nich problemy z uważnością i koncentracją czy obniżony nastrój, mogący mieć u swoich podstaw zaniedbania dotyczące higieny snu. Do nieprzyjemnych stanów, z jakimi konfrontują się serialożerzy, zalicza się również poczucie pustki, pojawiające w momencie zegnania się z ulubionymi bohaterami.

Namysł nad dynamiką binge-watchingu nieco utrudnia nazwa, kojarząca to zjawisko z napadowym objadaniem się. U osób spożywających nadmierne porcje epizody objadania pojawiają się nagle, przebiegają w samotności, a ich wystąpieniu towarzyszy poczucie wstydu, a nawet obrzydzenia względem samego siebie. W przypadku części serialożerców bywa podobnie, jednak inni przed rzuceniem się w wir odcinków podejmują przemyślane przygotowania. Nie należy też zapominać o towarzyszących korzyściach związanych ze znajomością aktualnych serialowych trendów. O ile więc społeczny odbiór napadowego objadania się jest jednoznacznie negatywny, o tyle reakcje na ciągi serialowe są w najgorszym przypadku ambiwalentne.

Binge-watching bywa nazywane niekiedy „uzależnieniem od seriali”. Dynamika stanów psychicznych pojawiających się u serialożerców faktycznie przypomina nieco tę, która charakteryzuje ludzi oddających się grom hazardowym. Część hazardzistów nastawiona jest na akcję (tzn. zaangażowanie poznawcze i interakcję z innymi), inni zaś na ucieczkę od natrętnych myśli czy niedogodności dnia codziennego. Podobnie jednych widzów na wiele godzin do ekranu może przyciągać możliwość oddawania się spekulacjom na temat fabuły lub poczucie uczestniczenia w zbiorowym wydarzeniu, innych z kolei uodwodzi możliwość oderwania się na jakiś czas od poczucia samotności, stresu czy lęków. I w jednym, i w drugim przypadku pojawia się również dążenie do kontynuowania procesu. Potrzeba gry trwa bez względu na to, czy się wygrywa, czy też nie, gdy zaś brakuje już odcinków, można sięgać po internetowe komentarze na ich temat, materiały zakulisowe, informacje o aktorach, wpadkach lub easter eggach (żartach i nie-

spodziankach celowo wplatanych przez scenarzystów w fabułę epizodów).

Co więcej, hazardzista w zależności od preferencji może sięgać po gry różniące się stopniem rywalizacji, kontaktu z innymi ludźmi, skomplikowania czy nawet wiedzy. Analogicznie „serialożerca” ma do wyboru przekazy o różnym natężeniu czy rodzaju wzbudzanych emocji. W ciąg serialowy wpaść można wszak równie dobrze rozwiązując wraz z bohaterami zagmatwane łamigłówki detektywistyczne, jak i śledząc losy grupy przyjaciół czy wielopokoleniowej rodziny w popularnych sitcomach.

Moda, która minie?

Tendencja do nadawania zmianom stylu życia etykiet rodem ze słownika problemów psychicznych nie dla wszystkich stanowi właściwy kierunek. Uporczywe przyglądanie się codziennym czynnościom przez pryzmat kategorii „zdrowia” i „choroby” zdaniem części socjologów jest przejawem medykalizacji, czyli procesu przenoszenia terminologii i wzorców działania wypracowanych na gruncie medycyny na wszelkie inne obszary ludzkiej aktywności.

Odnosząc się do innego współczesnego trendu związanego z użytkowaniem internetu John M. Grohol zasugerował kiedyś, że ludzie zaczynając swoją przygodę z nowym medium często mają tendencję do zachowań nadmiarowych, po serii których następuje stopniowe stabilizowanie się częstotliwości jego używania na znacznie niższym poziomie. Być może tak właśnie przygodę z pożeraniem seriali przeżywa większość z nas – od zachłystnięcia się możliwością głębokiego zanurzenia w pasjonujących światach, poprzez doświadczenie przesytu, aż do uznawania łańcuszkowego oglądania nie za model wzorcowy, ale raczej za jedną z możliwości kontaktu z fabułą.

Bez względu jednak na to, czy potraktujemy *binge-watching* jak działanie potencjalnie zagrażające, czy też wyraz indywidualnych upodobań, jest bardzo prawdopodobne, że nasze odrętwiałe od siedzenia w jednej pozycji plecy i kark prędeż czy później upomną się o swoje. Warto więc między jednym a drugim odcinkiem serialu wyjść na spacer, trochę pobiegać czy wykonać kilka ćwiczeń. Bez obaw! Czas ten można przecież wykorzystać na przewidywanie kolejnych zwrotów akcji.

© ŁUKASZ JACH

Literat w świecie kwarków

MICHAŁ ECKSTEIN

Zawdzięczamy mu teorię wyjaśniającą budowę jąder atomowych. Murray Gell-Mann, fizyk, noblista, zmarł 24 maja.

ZAPYTANY NA JEDNYM Z PRZYJĘĆ. Zo swoje korzenie, Murray Gell-Mann wywodził swoje nazwisko od połączenia rzek Gell i Mann w Szkocji. W rzeczywistości obie rzeki znajdują się w Australii, przy czym nie mają szansy się spotkać na lądzie, gdyż jedna przepływa przez Tasmanię, a druga przez Nową Południową Walię. Co więcej, rodzice Murraya pochodzili z zachodniej Ukrainy. Ojciec nazywał się Gellmann – dywizu w nazwisku oraz syna, który rozślawił je na cały świat, dorobił się już w USA.

Murray Gell-Mann studia na Uniwersytecie Yale ukończył w wieku 19 lat, po trzech latach obronił doktorat w MIT. Początkowo zamierzał wybrać archeologię lub historię. Jego ojciec naciskał na bardziej praktyczny, inżynierski kierunek. Po twardych negocjacjach stanęło na fizyce. Po latach Gell-Mann przyznał, że zrobił to tylko po to, by „dać staruszkowi satysfakcję”.

Fizyka okazała się jednak jego pasją. Zgłębiał tajemnice rodzącej się teorii cząstek elementarnych, współpracując z takimi osobistościami jak Enrico Fermi czy Richard Feynman. Przełom lat 50. i 60. stanowił złoty okres dla tej dziedziny, dzięki badaniom promieniowania kosmicznego i pierwszym eksperymentom akceleratorowym. Co rusz odkrywano nowe krótkożytowe cząstki (jak wówczas się wydawało) elementarne: piony, kaony czy hyperiony... Brakowało jednak teorii, która pozwalałaby przewidywać ich



Murray Gell-Mann, 2007 r.

własności. Uporządkowanie tej stajni Augiasza było dziełem Murraya Gell-Manna.

Ośmioraka droga

Na początku lat 60. przyszły noblista zaczął zauważać podobne wzorce we własnościach różnych cząstek i próbował uchwycić je przy użyciu pewnych symetrii matematycznych (na podstawie teorii grup). Pierwszym krokiem była tzw. ośmioraka droga (ang. *eightfold way*) oparta na idei klasyfikacji cząstek w ramach oktetów. Pozwoliła ona Gell-Mannowi przewidzieć istnienie nowej cząstki omega minus, która faktycznie została zaobserwowana w 1964 r. w akceleratorze w Brookhaven na Long Island.

Ośmioraka droga (nawiązująca lingwistycznie do Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki w filozofii buddyjskiej) okazała się jednak niewystarczająca. Przełom nastąpił, kiedy Murray Gell-Mann odważył się uderzyć w najbardziej podstawowe składniki materii: protony i neutrony tworzące jądra atomowe. „Pomysł, że proton i neutron są fundamentalne, wydawał mi się całkowicie absurdalny” – powiedział i w 1964 r. ogłosił światu, że są one zbudowane z trzech „kwarków”. Sama nazwa pochodzi z powieści Jamesa Joyce’a „Finneganań tren”, z enigmatycznego zdania „*Three quarks for Muster Mark!*”. Niezależnie na podobny pomysł wpadł George Zweig, który nazwał naj-

mniejsze składniki materii „asami”. Ostatecznie to jednak kwarki zadomowiły się w nomenklaturze fizyki cząstek i przyniosły Gell-Mannowi szybką Nagrodę Nobla w 1969 r.

Konstrukcja Gell-Manna ma w sobie coś podobnego do układu okresowego pierwiastków Mendelegiewa. Sam wspominał: „Ja bawiłem się cząstkami elementarnymi, on – pierwiastkami. Było naturalne, żeby porównywać obie sytuacje, choć osobiście uważam, że odkrycie Mendelegiewa jest dużo ważniejsze”. W pierwotnej wersji teorii kwarki były trzy: górny, dolny i dziwny. Do tego dochodzą ich antypartnerzy, czyli cząstki o takiej samej masie, ale o przeciwnych ładunkach elektrycznych. Teoria jednak wymagała, aby kwarki posiadały ułamkowy ładunek (wielokrotność jednej trzeciej), co było kamieniem obrazy dla fizyków atomowych. Już po tym, jak istnienie kwarków zostało pośrednio potwierdzone w akceleratorze SLAC w Kalifornii, Gell-Mann postanowił ugasić pożar benzyną: ogłosił, że kwarki są uwięzione we wnętrzu protonów i neutronów i w stanie swobodnym istnieć nie mogą. Tym, co trzyma kwarki razem, jest oddziaływanie silne jądrowe, przenoszone przez gluony.

Okazało się, że ta cokolwiek ekscentryczna wizja podstawowych budulców materii faktycznie odpowiada obserwowanej rzeczywistości. Dziś kwarkowy mo-

del Gell-Manna stanowi fundament tzw. teorii kwantowej chromodynamiki, opisującej wewnętrzną strukturę protonów i neutronów. W ostatnich latach udało się nawet „uwolnić” kwarki i gluony na ułamek sekundy. W najpotężniejszych akceleratorach wytworzono stan plazmy kwarkowo-gluonowej, w którym cząstki te zachowują tak, jakby były swobodne.

Walka z ortodoksją

Posprzątawszy cząstkową stajnię Augiasza, Murray Gell-Mann nie ustawał w poszukiwaniach jeszcze lepszych modeli i został gorącym orędownikiem tzw. teorii strun, na długo zanim stało się to modne. Głosi ona m.in., że wszystkie cząstki elementarne są tak naprawdę drganiem małych obiektów zwanych roboczo „strunami”. Choć teorii strun Gell-Mann kibicował do końca swych dni, w 1984 r. zmienił front i przeniósł się do Nowego Meksyku, gdzie współtworzył Santa Fe Institute – interdyscyplinarny ośrodek badań nad złożonością. Jednymi z osiągnięć „nowej metody” są zrozumienie biologicznej złożoności układu immunologicznego i opis systemów adaptacyjnych.

Dla niektórych Murray Gell-Mann był czarujący, dla innych irytujący, nikt jednak nie odmawiał mu przenikliwości umysłu. Miał genialną intuicję fizyczną, ale pasjonował się też m.in. lingwistyką, co wyjaśnia literackość nazewnictwa w świecie subatomowym. Podczas bankietu noblowskiego zaskoczył zebranych, kończąc swoją przemowę po szwedzku. Znany był również z ostrych sformułowań: jednego ze swoich dawnych współpracowników, Abrahama Paisa, nazywał „złym karlem”, a szanowanego fizyka eksperymentalnego Leona Ledermana – „hydraulikiem”. W rozmowie z dziennikarzem „Science News” Tomem Siegfriedem o pewnym znanym fizyku powiedział: „Nie wiem, co ten facet wygaduje!”, innego (noblistę) określił wprost mianem „maniaka”. W głośnym wywiadzie z 2009 r. stwierdził jednak: „Większość prób obalenia naukowej ortodoksji jest zła. Wiele z nich to czyste maniactwo. Jednak zdarza się od czasu do czasu, że taki pomysł jest właściwy”.

Wydaje się, że dziś fizyka cząstek znowu potrzebuje „szalonej idei”, i niewykluczone, że śmiałość zdolny ją ująć w matematyczne ramy urodził się już na rozstaju nieistniejących rzek. ©



WYBUCHŁO!

Nieoczekiwanie, bez żadnej zapowiedzi, kiedy wielu widzów było jeszcze pogrążonych w żałobie po starej, dobrej „Grze o tron”. „Nowy najlepszy serial”. „Arcydzieło”.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

KRYTYCY I PUBLICZNOŚĆ ZGODNI JAK rzadko – w serwisie IMDB zbierającym opinie widzów imponujące 9,7/10 przy ponad 80 tysiącach głosów.

Entuzjazm jest jednak usprawiedliwiony. „Czarnobyl”, bo to o nim mowa, to wizualny i narracyjny majstersztyk. Liczący pięć odcinków miniserial HBO opowiada o następstwach katastrofy w elektrowni atomowej. Twórcy zafundowali nam opowieść o lęku, bohaterstwie, sile nauki i bezduszości totalitarnej biu-

rokracji. Każdy z tych wątków był już wprawdzie porządnie wyeksploatowany, ale scenarzyści „Czarnobyli” mają wyjątkowy talent do budowania wielopiętrowych anegdot-symboli.

W nowym serialu uniwersalna przypowieść miesza się z drobiazgową rekonstrukcją wnętrza i kostiumów, wzniosłe metafory przeplatają się z przyziemnym, czasem odrażającym wręcz konkretem, bohaterstwo jest piękne i tragiczne, a nade wszystko – wiarygodne. Serial jest tak do-

bry, że nawet polski widz, nieco z przedstawioną na ekranie rzeczywistością oswojony, po kilku minutach wchodzi w jego świat tak głęboko, że przestają go razić radzieccy dygnitarze rozmawiający ze sobą angielszczyzną wyniesioną wprost z herbatki u królowej.

Ten sukces wydaje się tym bardziej niewiarygodny, że pomysłodawcą i scenarzystą serialu jest Craig Mazin, autor takich hitów jak „Kac Vegas w Bangkoku” czy „Straszny film 3”, obecnie pracujący nad



Kadry z filmu: noc wybuchu reaktora i poranek – mieszkańcy Prypeci biegną oglądać płonącą elektrownię, gdzie pracują ich żony i mężowie.

przebojem „Kowboj, Ninja, Wiking” – adaptacją komiksu o superagencie z rozszczepieniem osobowości, który, zgodnie z tytułem, jest na przemian kowbojem, ninją i wikingiem.

Ale „Czarnobyl” to poważna sprawa. Wydarzenie kulturalne, którego lepiej nie przegapić; moda, której warto ulec. Tyle że im lepszy jest ten serial – tym gorzej. Bo za fasadą wspaniale rozpisanych postaci i imponujących efektów wizualnych kryje się mroczna tajemnica, którą spece od opowieści z HBO chcieliby przed nami ukryć.

Śmierć bezgłośnie i niewidzialna

Pokazać niewidzialne zagrożenie – oto wyzwanie, przed którym stają i twórcy serialu, i jego główny bohater – Walerij Legasow, radziecki chemik koordynujący wysiłki na rzecz zminimalizowania skutków awarii. Legasow, w którym w serialu wcielił się przekonująco Jared Harris, to postać autentyczna. Jego biografia stanowi gotowy scenariusz, włącznie z tragicznym zakończeniem. Dokładnie dwa lata po katastrofie uczony postanowił

odebrać sobie życie. Nie zdradzam tu zakończenia. Przeciwnie – śmierć Legasowa ukazana jest w pierwszej scenie pierwszego odcinka.

Dopiero potem z okien mieszkania w bloku z wielkiej płyty widzimy błysk eksplodującego reaktora, a chwilę później, gdy fala uderzeniowa dociera do oddalonego o 20 kilometrów miasta Prypeć, słyszymy też huk. To pomysłowy symbol opóźnienia informacyjnego, stanowiącego jeden z głównych tematów serialu. W ten sposób, zgodnie z klasycznym już przepisem Hitchcocka, zaczyna się „Czarnobyl”. Najpierw trzęsienie ziemi, a potem emocje tylko rosną.

Katastrofa jest początkiem, nie końcem. Oglądając serial śledzimy więc równoległe wysiłki Legasowa dążącego do zminimalizowania śmiertelnego żniwa, i drogę, która doprowadzi go do targnięcia się na własne życie.

Podstawowy problem polega na tym, że zagrożenia nie widać. Pierwsze ofiary Czarnobyla giną przede wszystkim dlatego, że nie zdają sobie sprawy z ryzyka. Dosięga ich niedostrzegalny gołym okiem

zabójca – fizyczny proces, którego większość ludzi nie zna i nie rozumie. Jak wytłumaczyć im – zwykłym robotnikom i partyjnym dygnitarzom – że w powietrzu, wodzie i na ziemi unosi się śmiertelna siła bez koloru, zapachu, dźwięku czy smaku? Zadania nie ułatwia propaganda radzieckiej nieomyślności i brutalne tamowanie obiegu informacji.

Scenarzysta, reżyser, aktorzy i twórcy efektów wizualnych – wszyscy oni musieli sprostać temu samemu wyzwaniu. Jak za pomocą medium audiowizualnego pokazać coś, co jest bezgłośnie i niewidzialne? Z tego zadania twórcy „Czarnobyla” wywiązali się mistrzowsko. Potrafili zasugerować wszechobecność niszczącej siły pracą kamery, muzyką, ekspozycją poszczególnych detali. Oglądając serial niemal czuło się promieniowanie. Tym silniejsze i bardziej niewymuszone wrażenie wywierały sceny, w których posłużono się bardziej dosłownymi narzędziami stopniowania grozy, jak coraz szybsze trzeszczenie liczników Geigera czy przyspieszający oddech ludzi w skafrach. Pierwszy odcinek, w którym ➔

→ widzimy najwięcej skutków napromieniania, ogląda się jak horror. W kolejnych zagrożenie jest coraz bardziej sugerowane, coraz mniej obecne.

Gdzie ścina się głowy posłańcom złych wieści

Serialowy Legasow, tak jak jego rzeczywisty pierwowzór, musi się mierzyć nie tylko z radiacją, lecz także z sowiecką biurokracją nastawioną na ochronę nie obywateli, lecz dumy największej atomowej potęgi świata. Sprawia to, że odtworzony na ekranie Związek Radziecki jest równie przerażający jak promieniowanie. Mam świadomość, że określenia w rodzaju „gęsta, duszna atmosfera” należą do kanonu frazesów, których każdy krytyk filmowy powinien się wystrzegać, ale nic na to nie poradzę – taki właśnie jest „Czarnobyl”.

Craig Mazin i reżyser Johan Renck wykreowali na ekranie przekonujący świat. Serial jest nie tyle elegią dla ofiar rzeczywistego, historycznego ZSRR, ile ważną, uniwersalną przestrogą przed tym, jak niebezpieczny jest system, w którym nie ma możliwości przekazywania złych wieści. Każdy z nas napotyka czasem ten mechanizm – w państwie, w partii, w firmie, w rodzinie, nawet we własnej głowie. Szukamy potwierdzenia własnych zasług, wieści o tym, jacy jesteśmy fajni, jaka dobra jest obrana droga. Posłańcom przynoszącym złe wieści ścinamy głowy w akcie furii. To gwarancja, że kolejne niepomyślne doniesienia już do nas nie dotrą. Ale nie dlatego, że nagle zaczniemy mieć rację. Po postu będziemy utwierdzać się w błędzie, otoczeni murem złudzeń podtrzymywanych przez przemoc.

O takim świecie opowiada „Czarnobyl”. I jest to świat odmalowany w każdym detalu, z epickim rozmachem. Kultura kłamstwa, strachu i propagandowej nowomowy rozciąga się od łypiących na siebie nieufnie przechodniów aż po najwyższe szczeble władzy. W lęku żyją nawet partyjni dygnitarze.

Na takim tle tym wyraźniej rysuje się heroizm. Mazin i Renck odmalowują go pięknie, ale bez zbędnej estetyzacji, poświęcając wiele uwagi postaciom drugoplanowym.

Ukazane w „Czarnobylu” bohaterstwo jest pokorne, fatalistyczne, ale też niepozabawione ironii, która dla wielu przedstawionych na ekranie bohaterów okazuje się ostatnim bastionem – ołowianym far-

Serial nie jest elegią dla ZSRR, ale przestrogą przed tym, jak niebezpieczny

jest system, **w którym nie ma możliwości przekazywania złych wieści.**

tuchem chroniącym przed wszechobecnym promieniowaniem kłamstwa, które rozpuszcza tkankę społeczną, powodując nowotwór duszy. Jest w tym portrecie pewnie trochę amerykańskiego stereotypu w spojrzeniu na Rosjan. Ale w „Czarnobylu” stereotypowość nie razi, bo równoważy ją szacunek dla detalu.

Półprawdy

A teraz pora na zdemaskowanie mrocznego sekretu twórców „Czarnobyla”. Tematem serialu są kłamstwa. Ale sami autorzy mają sporo problemów z prawdą. Nie tyle chodzi tu o przeinaczanie ukazanych na ekranie faktów, ile właśnie o sugerowanie czegoś, czego ostatecznie nie widzimy, ale mamy się domyśleć.

Doskonale ilustruje to pokazana w serialu autentyczna historia trzech bohater-skich ochotników. Ananenko, Baranow i Biespałow zanurkowali w radioaktywnej wodzie, by opróżnić grożące kolejnym wybuchem zbiorniki. Z ekranu kilkakrotnie słyszymy, że to misja samobójcza. W jej trakcie dozymetry trzeszczą jak oszalałe.

Mężczyźni wychodzą z podziemia ledwo żywi, by potem nigdy już nie pojawić się w scenariuszu.

Nic dziwnego, że wielu widzów na całym świecie po obejrzeniu tego odcinka umieszczało w mediach społecznościowych wrzuszające epitafia dla bohaterów. Tymczasem Baranow zmarł na serce w 2005 r., bez związku z katastrofą. Ananienko i Biespałow pewnie z zainteresowaniem obejrzą serial. Obaj żyją, mają się dobrze, w zeszłym roku odebrali z rąk prezydenta Poroszenki medal za wykazaną podczas katastrofy odwagę.

Tak samo przedstawia się sprawa z ukazanymi na ekranie górnikami kopiącymi tunel pod reaktorem czy z „biorobotami” – ludźmi odpowiedzialnymi za oczyszczanie dachu elektrowni z radioaktywnych pozostałości. W scenariuszu czują się coraz gorzej, a potem znikają. Ich los pozostawiony zostaje wyobraźni widza. Tymczasem nikt z nich nie zmarł natychmiast, a liczba nowotworów nie wzrosła wcale dramatycznie. W niczym nie umniejsza to bohaterstwa tych ludzi. Wielu z nich liczyło się z tym, że ich misja może być samobójcza. Nie zmienia to też winy urzędników, którzy narażali likwidatorów na nadmierne napromieniowanie, nie przestrzegając ustalonych wcześniej procedur.

Prawda jest jednak taka, że niewidzialny zabójca okazał się ostatecznie znacznie mniej groźny, niż się pierwotnie spodziewano. Mniej straszny, niż nam to sugerują twórcy „Czarnobyla”, którym nie udało się uniknąć pokusy podkoloryzowania niebezpieczeństwa.



MATERIAŁY PRASOWE HBO X3

Razem ze mną serial HBO obejrzał Adam Błażowski – inżynier efektywności energetycznej, publicysta i współzałożyciel fundacji FOTA4Climate. W skrócie – człowiek od pragmatycznej ekologii zaangażowany m.in. w komunikację rzeczywistego ryzyka, wad i korzyści związanych z wprowadzaniem energetyki jądrowej.

– Trzeba rozumieć, co konkretnie się tam stało, by móc odróżnić fakty od fikcji wprowadzonej w celu zwiększenia dramaturgii. Postaci wypowiadają zdania nacechowane emocjami, strachem, a często przesadą niezbędną, by zmusić komunistyczny aparat władzy do reakcji – zauważa Błażowski. Innymi słowy: filmowy Legasow czasem przesadza. W świecie przedstawionym serialu ma to sens. Komunistycznymi dygnitarzami trzeba wstrząsnąć, by chronić ludzi i zapobiec potencjalnym kolejnym awariom. Ale czy widzowie mają tego świadomość?

W jednej ze scen Legasow grozi zamianą sporej części Europy w nuklearną pustynię. – Legasow musiał wiedzieć, że żadna eksplozja o mocy megaton fizycznie nie mogła mieć miejsca w dniach po katastrofie – komentuje Błażowski.

Jak zatem przedstawia się rzeczywisty bilans katastrofy? Bezpośrednie ofiary to kilkadziesiąt osób – likwidatorzy zaangażowani w pierwszą fazę usuwania skutków eksplozji. Informacje o ostatecznej liczbie ofiar poznawaliśmy stopniowo. Na początku nikt nie mógł przewidzieć, jaki dokładny skutek wywrze promieniowanie. Obawiano się tragedii. Ale początkowe estymacje mówiące o czterech tysią-

Mit Czarnobyla jako apokalipsy, którym karmiono nas od lat, jest równie nieprawdziwy, jak **propagandowa wersja o tym, że nic się nie stało.**

cach potencjalnych ofiar zmarłych na nowotwory się nie potwierdziły.

– Szczegółowe badania nie wykazały po latach oczekiwanego wzrostu liczby nowotworów w populacji, nawet wśród tzw. „biorobotów”. Obserwowany wzrost niegroźnych zmian w tarczycach (efekt najbardziej groźnego jodu) dzieci był najpewniej w dużej mierze rezultatem zwiększonej diagnostyki – mówi Błażowski.

Jego słowa potwierdza opublikowany 20 lat po katastrofie raport WHO, mówiący o 50 (!) zgonach powiązanych bezpośrednio z awarią elektrowni. Ale nawet te początkowe, niepotwierdzone ostatecznie szacunki mówiące o czterech tysiącach ofiar oznaczałyby, że katastrofa reaktora zabiła dziesięciokrotnie mniej ludzi niż trzęsienie ziemi, które nastąpiło dwa lata później w Armenii – druga, zapomniana dziś w Polsce katastrofa, która zachwiała potęgą ZSRR.

A co ze skażeniem, które przez stulecia miało wyniszczać okolice Prypeci? – Sama strefa, która wydawała się na wieki skażona, jest dziś unikatowym przykładem

rezerwatu bujnej i dzikiej przyrody. Od promieniowania – dziś prawie wszędzie porównywalnego do naturalnego promieniowania tła – o wiele gorsza dla niej jest obecność ludzka – zauważa Błażowski.

Mit Czarnobyla jako apokalipsy, którym karmiono nas od lat, jest równie nieprawdziwy, jak propagandowa wersja o tym, że nic się nie stało. Częściowo stanowi on zrozumiałą reakcję na początkowe zatajenie informacji o zagrożeniu. Częściowo zaś wynika z zimnowojennych lęków przed bombą atomową. Lęki te Hollywood podsycał w nas przez wiele lat, coś bowiem lepiej nadawało się na symbol ostatecznego, egzystencjalnego zagrożenia niż promieniowanie? „Czarnobyl”, mimo wszystkich zalet, niestety podąża tą ścieżką, wbrew deklaracjom twórców, którzy zapewniają, że

– Lekcja z Czarnobyla nie mówi nam o tym, że nowoczesna energia atomowa jest niebezpieczna. Lekcja jest taka, że niebezpieczne są kłamstwo, arogancja i zamknięcie na krytykę – komentuje Błażowski.

Straszne i groźne

Wyobraźmy sobie tabelę 2x2. W poziomie: groźne/niegroźne, w pionie: straszne/niestraszne. Jeden współczynnik mówi nam o rzeczywistych konsekwencjach danego zjawiska, drugi – o społecznym nastawieniu do niego. Strach jest ważny i potrzebny. „Czarnobyl” doskonale to pokazuje. Bez strachu nie sposób zmobilizować ludzi do działania, a władzy – do aktywności i troski o obywateli. Ale naszym – naukowców, publicystów, polityków →

Wasilij Ignatienko, strażak i jego żona Ludmiła w moskiewskim szpitalu. Po prawej: jeden z wielu bohaterskich ratowników.



→ – zadaniem powinno być takie komunikowanie ryzyka, żeby groźne było straszne, a niegroźne – niestraszne. Ten, kto straszy niegroźnym, jest winien wywoływania paniki. Ten, kto bagatelizuje groźne – usypiania czujności i zwiększania żniwa katastrofy. Jako społeczeństwo mamy ograniczoną zdolność mobilizacji. Niezwykle ważne jest, by zasoby, energię i emocje kierować ku problemom i zagrożeniom rzeczywistym, a nie urojonym.

To wyzwanie często przypomina zadanie Legasowa i twórców „Czarno-byla”. Jak opowiedzieć o niewidzialnym, odległym, abstrakcyjnym zagrożeniu? O jakości powietrza (nie zawsze ją widać), o światowych nierównościach, o zbliżającej się katastrofie klimatycznej...

– Serial i samo katastrofalne zdarzenie jest paradoksalnie najsilniejszym argumentem za energetyką jądrową – przekonuje Błażowski. – Skoro tak koszmarna katastrofa skończyła się niemożliwym do wykrycia efektem zdrowotnym dla ludzi i przyrody, to energetyka jądrowa okazuje się najbardziej bezpiecznym i ekologicznym sposobem wytwarzania elektryczności. W kraju, w którym blisko 50 tys. ludzi rocznie umiera przedwcześnie z powodu złej jakości powietrza, powinniśmy o tym pamiętać każdego dnia.

Obejrzałbym serial „Bełchatów”. Niewidzialna siła, która chwyta za gardła tysiące niepodejrzewających niczego ofiar w miastach całej Polski. Politycy cynicznie ignorujący problem, apatyczna opinia publiczna i samotni bohaterowie walczący o prawdę. Nie jest im łatwo, bo nikt nie chce słuchać dramatycznych wieści o nowotworach, chorobach płuc i układu krążenia. Oto prawdziwe wyzwanie dla czołdziejów z HBO.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Chmura z żydowskich pierzyn

DARIUSZ KOSIŃSKI

Polski teatr wraca do Jedwabnego za sprawą Pawła Passiniego i Artura Pałygi. W tytule ich przedstawienia zatarta nazwa miasta („J.d....e”) i słowo „zapominanie” – jak wyrzut i próba pomocy.

NASZA SCENA OD DAWNA MIERZY SIĘ z rodzimym antysemityzmem i wypartą pamięcią współobecności i współudziału Polaków w Szoah. Od „Naszej klasy” Tadeusza Słobodzianka po „Polski teatr Zagłady” Grzegorza Niziołka wielu twórców polskiego teatru z odwagą i bez taryfy ulgowej pytało nie tyle i nie tylko o zbrodnię i odpowiedzialność tych, których określa się czasem angielskim terminem *bystanders*, ale w większej mierze o to, co stworzyliśmy i co tworzymy dziś na (nie)pamięci tamtych zdarzeń.

Joanna Krakowska, której ważną książkę „Demokracja. Przedstawienia” przywołuję tu po raz kolejny, umieściła rozdział poświęcony tematyce żydowskiej w specjalnie stworzonym aneksie, by w ten sposób zaznaczyć jej wyjątkowe znaczenie dla polskiego teatru ostatnich dekad. Zwraca tam uwagę na paradoks polegający na tym, że „podjęcie kwestii rozliczeń historycznych i roztrząsanie win Polaków odsyła nie tyle do problemu relacji polsko-żydowskich, nie tyle upodmiotowiło Żydów jako współobywateli, ile przede wszystkim pozwoliło na zagłębienie się w wyobrażenia Polaków o samych sobie”.

W jakiejś mierze ta teza odnosi się też do zrealizowanego w Teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy przedstawienia „J.d....e. Zapominanie” (premiera 25 maja). Tyle że tym razem ten zwrot ku nam samym wykonywany jest świadomie, a pytania o polskie zapętlenia tożsamościowe formułowane są z pozycji tożsamości wybranej i jednoznacznie oznaczonej jako żydowska.

Klatka z wyboru

Paweł Passini i Artur Pałyga, reżyser i dramaturg wielokrotnie już ze sobą pracu-

jący, tematykę żydowsko-polską podejmują od lat. Obaj byli uczestnikami poświęconych jej warsztatów Sztuka Dialogu, zorganizowanych w roku 2007 z inicjatywy Laboratorium Dramatu Tadeusza Słobodzianka w Nasutowie pod Lublinem. Passini wyreżyserował jedną z części tryptyku „Nic, co ludzkie” napisanego po tych warsztatach przez Pałygę, który niedługo potem stworzył obecną wciąż w repertuarach polskich teatrów sztukę „Żyd” (2008).

Jako polski reżyser o żydowskich korzeniach, silnych i świadomie umacnianych więziach z kulturą żydowską oraz wielkiej o niej wiedzy, Paweł Passini wielokrotnie mierzył się ze wspólną przeszłością, by wspomnieć tylko stosunkowo niedawne i względnie dobrze znane przedstawienia stworzone wspólnie z Patrycją Dołowy: „The Hideout/Kryjówka” (neTTheatre, 2014) i „Matki” (Teatr Żydowski w Warszawie, 2016). W jego dorobku „J.d....e. Zapominanie” to przedstawienie dość wyjątkowe – świadomie skomponowane jako linearne, stosunkowo oszczędne pod względem środków wyrazu, rezygnujące z tak lubianej przez reżysera wielości i symultaniczności na rzecz wyraźnej rozdzielonych i uporządkowanych planów.

Mogło się wydawać, że niesamowita przestrzeń legnickiej sceny Nowy Świat – niemal zrujnowanego wnętrza sali dawnego Wojewódzkiego Domu Kultury, a wcześniej żydowskiego Teatru im. Gerszona Duy – sprzyjać będzie rozbuchanej mnogości.

A jednak, choć została w pełni wykorzystana, scenograf Mirek Kaczmarek podporządkował ją wyraźnemu układowi znaczeniowemu. W centrum wysoka klatka, przypominająca arenę do walk MMA, z dwóch stron otoczona miejscami dla wi-

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków goszczą
dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl



KAROL BUDREWICZ / TEATR MODRZEJSKIEJ W LEGNICY

„J.d....e. Zapominanie”

dzów. W głębi, na dawnej widowni, połączona z centralną sceną drewnianym pomostem, scena wewnętrzna, na której pod pochylą ścianą z krzywych matowych luster przez cały czas trwania spektaklu porusza się w niesamowitym (nie)tańcu udręczone ciało Płonącej Dziewczyny (Natalia Biegaj).

Chór aktorów wchodzi niekiedy na pomost biegnący nad sceną aż na górne piętro, wykorzystuje też długi korytarz biegnący od sceny do wejścia do teatru. Ale te górne i tylne plany nie są rozgrywane w symultanicznym kontrapunkcie. Wykorzystuje się je raczej jako miejsca znaczącej opozycji wobec klatki centralnej – miejsca Jedwabnego, sceny, na której pojawiają się opowieści i rozmowy zaczerpnięte w większości z reportażu Anny Bikont „My z Jedwabnego”.

Ta klatka jest sceną pamięci o żydowskich ofiarach i oporu wobec niej. To, co wokół, to przestrzeń zewnętrznego świata, niech będzie – Polski. Ale i przestrzeń teatru, w której na początku aktorzy prowadzą rozmowy o sensie i powodach realizowania rozpoczynanego właśnie przedstawienia. Nie, nie sprawiają wrażenia grupy ludzi, która z entuzjazmem podejmuje pracę nad spektaklem o Jedwabnem, choć przyznają, że to wciąż nieprzepracowane, że nadal budzi napięcia, lęki. Ale można odnieść wrażenie, że powtarzalność tematu i wielość tego, co już o nim powiedziano, sprawia, że podejmuje się go

jako ciężki obowiązek, z powagą, ale bez animuszu.

Ta wyjściowa sytuacja zmienia się, gdy do centralnej klatki wchodzi Sara (Zuza Motorniuk), aktorka, która oznajmia swoim kolegom, że jest Żydówką, o czym dowiedziała się właśnie od matki długo ukrywającej przed nią ten fakt. Matka powiedziała córce prawdę przypadkiem, „wygadała się”. Córka w odpowiedzi świadomie i zdecydowanie wybiera żydowskość, a wybór ten ma wszelkie znamiona konwersji prowadzącej do dogmatycznej ortodoksji. Wywołuje to gwałtowną niechęć najbliższych: brata, przyjaciela, córki, także samej matki, którzy ostrzegają Sarę przed identyfikacją z tym, co w Polsce oznacza nie tylko identyfikację z innością, ale wręcz przyjęcie piętna.

Mimo to Sara przyjmuje żydowsko-polską tożsamość, co prowadzi ją do przemiany w Annę – reportażystkę jadącą do Jedwabnego, by pytać o pamięć zbrodni. Rozmawia zarówno z jej sprawcami i tymi, którzy ją negują lub usprawiedliwiają, jak i z ludźmi, którzy ryzykując bardzo wiele ratowali zagrożonych sąsiadów. Stopniowo Anna coraz głębiej wchodzi w historię przemocy, by odkryć jej powtarzalność, wręcz stałość pogromowych mechanizmów i scenariuszy. W finale – znów skonfrontowana z niechęcią otoczenia – powtarza swoją początkową decyzję, wybierając tym razem jednak już nie tylko uogólnioną żydowskość, ale

wierność wyciskanemu na ciałach ofiar piętnu, które tym samym neguje.

Niedokończona tragedia

Decyzję Anny poprzedza wstrząsająca opowieść żydowskiej matki (Gabriela Fabian), która usiłuje zdjąć z siebie „Żydów” ze swoich dzieci i przywrócić im dziecięcość, recytując razem z nimi „Kaczkę dziwaczkę” Jana Brzechwy. Między piętnem wyciśniętym na ciele zbiorowości a walką o prawo do innej identyfikacji konfrontowani jesteśmy z pytaniem o to, jak stajemy się tym, kim jesteśmy. Na ile jest to nasza decyzja (jak w przypadku Sary/Anny), na ile „los”, a na ile efekt mechanizmów przemocowych, którym się poddajemy?

Bo choć sekwencje zaczerpnięte z reportażu Anny Bikont stanowią trzon tekstu Artura Pałygi, przewodnim tematem przedstawienia nie wydaje się ani zbrodnia w Jedwabnem, ani pamięć o niej. Jest nim raczej złożona i pełna napięć relacja między nimi a tożsamością współczesnej polskiej zbiorowości. Relację tę próbuje się opowiedzieć i przedstawić na wiele sposobów, wśród których są też te dobrze znane, wręcz schematyczne. Przechodzimy jednak przez katalog stereotypów, by w końcu wejść w sferę pytań najbardziej podstawowych i bolesnych.

Te formułowane są wprost jako polska potrzeba „Żyda” – innego, bez którego nie ma nas, wobec którego „my” się ustanawiamy. Nie chodzi tu jednak tylko →

→ o mechanizm wytwarzania „naszości” w obliczu i kontraście do inności. Diagnoza stawiana przez Passiniego i Pałygę dotyczy chyba czegoś innego. Jedwabne i inne pogromy nie mogą zostać zapomniane nie dlatego, że powinniśmy o nich pamiętać ze względu na ofiary i dla przestrogi przed zawsze możliwym ponowieniem, ale dlatego, że na tej obciążonej winą pamięci buduje się szczególna odmiana wewnętrznie sprzecznej, a przez to ożywianej napięciem, dynamicznej tożsamości.

By wyjaśnić, o co mi idzie, odwołam się do klasycznej już teorii kozła ofiarnego René Girarda. Mówiąc w koniecznym tu uproszczeniu, „inność” jest w jej świetle efektem procesu naznaczania i projektowania przeprowadzanego przez kultury zagrożone upodobnieniem. Gdy różnice wydają się zacierać, a zbiorowość traci tworzące ją dystynkcje, wytwarza „innego”, na którego projektowane są wszystkie napięcia trapiące wspólnotę. Ten kryzys ofiarniczy prowadzi ostatecznie do zbrodni polegającej na stworzeniu kozła ofiarnego oskarżanego o wszystko to, co sama zbiorowość generuje jako zagrożenie dla siebie, a następnie pozbyciu się go.

Ofiara złożona z kozła przywraca czasowy ład, co z kolei uznane zostaje za „cud” przez nią lub za jej pośrednictwem sprawiony. W ten sposób kozioł ofiarny przemieniony zostaje w „zbawcę”, a popełniona na nim zbrodnia – zapomniana i zastąpiona mitycznymi opowieściami o nadprzyrodzonej interwencji lub pokornym samoofiarytowaniu. Nieuchronna zbrodnia i nieuchronne zbrodni zapomnienie tworzą zbiorowość i jej kulturę. Girard twierdzi, że u korzeni wszelkiej kultury jest mord i wynikające z poczucia nieusuwalnej winy kolejne działania, które mają mu zaprzeczyć, sprawić, by „rzeczy ukryte od założenia świata” takimi pozostały. Jednym z największych wytworów i zarazem modeli tego procesu wielkiego zapomnienia jest antyczna tragedia – płacz morderców nad ofiarami niewypowiedzianej i nieuznawanej zbrodni.

Zagłada zatrzymuje ten proces. Choć w jakiejś mierze da się ją przedstawić jako efekt mechanizmu ofiarniczego, to nie wydaje się możliwe jej zasłonięcie sakralizującym mitem. Mity milkną wobec komór gazowych i krematoriów. To niedomknięcie procesu uniemożliwia zapomnienie i oczyszczenie, a jednocześnie – siłą działającego przeciw wciągu mechanizmu – rodzi nieustanne próby zaprze-

czania temu, że ofiary były niewinne, paradoksalnie podtrzymując antysemityzm właśnie tam, gdzie po Szoah nie powinno być dlań miejsca.

W Polsce to niedomknięcie jest szczególnie, bo polska pamięć Zagłady nie jest ani pamięcią sprawców, ani ofiar. Jest pamięcią nieprzyjmującą imienia, nienazwaną, uciekającą przed identyfikacją. Oczywiście zbiorowość pragnęłaby być ofiarą i niekiedy demonstracyjnie tak się ustawia, wykrzykując histerycznie, że to „my byliśmy najbardziej męczeni”. Ale Szoah swym bezwzględny ogromem i systematycznością niweczy te próby i wystawia na śmieszność podejmujących je, każąc zadać najtrudniejsze pytanie: „Gdzie byliśmy wtedy?”.

Pytanie w pierwszej osobie, bo nie chodzi o jakichś „onych” – konkretnych zbrodniarzy, szmalcowników, morderców i złodziei, których z ulgą i radością wypieramy ze swojego grona, powtarzając, że w każdej zbiorowości są czarne owce. Chodzi o nas – powoływany, ustanawiany i umacniany wciąż na nowo (a od kilku lat szczególnie intensywnie) podmiot zbiorowy.

Zła pamięć polskiego świadczona o Zagładzie, wzroku biednego chrześcijanina patrzącego na getto, o którym na łamach „Tygodnika Powszechnego” pisał Jan Błoński, nie jest pamięcią jakichś „ich”, ale naszą. „Polaków” usiłuje się wprowadzić do wytworzyć bez tej pamięci, poza nią, jako podmiot nowy i niewinny. Ale to się nie uda i nie udaje, bo pracuje w nas to, co Marianne Hirsch nazwała postpamięcią – zapośredniczony, niejasny, fantazmatyczny związek z nigdy niewypowiedzianą, nie dającą się wypowiedzieć, bo zapośredniczoną, traumą. A jest to postpamięć tym gorsza, że nie dotyczy – jak w przypadku badań Hirsch – drugiego czy trzeciego pokolenia potomków ofiar, ale kolejnych pokoleń stojących obok zbrodni i mieszkających w jej miejscach. Im bardziej zaprzeczamy, oburzamy się, racjonalizujemy i fantazjujemy, tym silniejsze oddziaływanie tej postpamięci. Tym bardziej „tu”, w którym „jest Polska”, okazuje się miejscem Zagłady.

Początek

„J.d...e. Zapominanie” rzeczywiście wraca do opisywanego przez Krakowską mechanizm wykorzystywania tematu Zagłady i relacji żydowsko-polskich do „zagłębiania się w wyobrażenia Polaków o samych sobie”. Ale wraca w sposób – jak mi się wy-

daje – odmienny od tego, co w polskim teatrze robiono wcześniej. W przedstawieniu polskiego i żydowskiego reżysera, jak mało kto czującego złożoność kultury niedawno jeszcze nazywanej ponowoczesną, mówi się do nas i o nas ze świadomości przyjętej pozycji, nie w pierwszej, ale w drugiej osobie liczby mnogiej.

Nie jest to jednak pozycja oskarżyciela, bo oskarżenia formuje sama odtwarzana przez znakomity legnicki zespół zbiorowość, wołająca: „Dajcie nam Żyda!”. „Wy” pojawia się w próbach udzielenia nam pomocy, rozpoczęcia terapii, bez której zbiorowość udręczona traumatyczną postpamięcią nigdy nie zapomni i nie wyzdrowieje. Tytułowe „zapominanie” w mniejszym stopniu jest oskarżeniem o ponowne uruchamianie mechanizmów agresywnego wyparcia, które dzień po premierze o mało nie przyniosły wyborczego sukcesu jawnie antysemickiej Konfederacji, a w większym – zachętą do rozpoczęcia niezwykle trudnego procesu leczenia.

Na początek trzeba spróbować zmierzyć się z tym, czego nie mogę pamiętać, bo nikt mi nigdy niczego nie opowiedział. No dobrze, raz babcia wspominała, jak przekradała się do getta, bo żydowski krawiec miał jej uszyć piękną sukienkę. Gdzie było to getto? Pewnie w Radomsku, bo rodzina mojej matki pochodzi ze wsi nieodległej od tego miasta. Czy w tej wsi byli Żydzi? Czy dom w Zawierciu, do którego po wojnie mój dziadek sprowadził rodzinę, mógł zostać przez jego krewną zajęty dlatego, że wygnano z niego poprzednich właścicieli? Kto i dlaczego drżącym szeptem powiedział mi po raz pierwszy, że wielki sklep, w którym z dziecięcą fascynacją oglądałem motocykle, to była synagoga?

W scenie przywołującej najbardziej wprost zbrodnię w Jedwabnem legnicki aktorzy rozrywają poszycia żydowskich pierzyn. Chmura pierza unosi się w powietrzu i po chwili osiada na ubraniach, włosach, skórze widzów siedzących po obu stronach centralnej klatki. Ludzie zaczynają kasłać, bo drobne piórka wciskają się im do gardeł, wchodzą w nozdrza. Po krótkiej chwili pierze przestaje krążyć i drażnić płuca. Ale gdy wychodzimy z teatru, wszyscy mamy na sobie białe, drobne dowody, że byliśmy świadkami. Ktoś próbuje je strzepnąć, ale nie poddają się tak łatwo. Wczepione w ubrania, we włosy jeszcze długo pozostaną na nas, gdy idziemy przez miasto, by wracać do siebie. ©

DARIUSZ KOŚCIŃSKI



KRAKOW PHOTOMONTH

Andy Sewell, bez tytułu, z cyklu „Coś podobnego do gniazda”, 2014

To nam się podoba

PIOTR KOSIEWSKI

„Chcemy razem z naszymi odbiorcami doświadczać fotografii – takiej, jaką lubimy, i takiej, która budzi emocje, pozostaje z nami na długo” – deklarują organizatorzy krakowskiego Miesiąca Fotografii.

MIESIĄC ZORGANIZOWANO JUŻ PO RAZ siedemnasty, w tym roku pod dość przewrotnym tytułem: „Co nam się podo-

ba”. Od lat poszczególne edycje festiwalu były podporządkowane wybranym tematom, a program corocznie kształtował specjalnie zapraszany kurator. Tym razem postąpiono inaczej: cały program ułożono kolektywnie, a jako zasadę przyjęto różnorodność.

Organizatorzy zastrzegają, że nie chodzi o ucieczkę od „tematów ważnych, dotyczących naszego życia oraz zadawania pytań o rolę fotografii i o to, jak sobie radzi ze współczesnymi problemami społecznymi”. Jednak zamiast wybierać jedne kwestie, a inne odrzucać lub nadawać im mniejszą wagę, przedstawili cały katalog problemów, historii i obrazów. Mimo tej różnorodności powstał program zwarty i przekonujący.

Co nas określa

W tegorocznej edycji Miesiąca nie ucieka się od kwestii społecznych. Przeciwnie, przygotowana przez kuratorkę i pisarkę Natashę Christie wystawa „Jesteś tym, co jesz” w Bunkrze Sztuki dotyka kwestii

dziś kluczowej: związków między tym, co i jak produkujemy oraz jemy. Spożywanie, rzecz niby oczywista, obecnie staje się coraz bardziej polityczne.

„Przeklęta niech będzie ziemia z twego powodu: w trudzie będziesz zdobywał od niej pożywienie dla siebie po wszystkie dni twego życia. Cierń i osiet będzie ci ona rodziła, a przecież pokarmem twym są płody roli. W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz!” – ten znany fragment z Księgi Rodzaju pozwala dobrze zrozumieć zmianę, jaka zaszła w ostatnich dekadach. Dziś w uprzywilejowanej części świata problemem nie jest zdobywanie żywności, lecz wybór tego, co jemy. Zwyczaje jedzeniowe są teraz oznakami postaw moralnych, określają naszą tożsamość, świadczą o naszych wyborach politycznych i ideowych. Głównym problemem staje się zdobycie odpowiednich produktów. Określenia takie jak „bezglutenowy”, „laktoza”, „dieta →



KRAKOW PHOTOMONTH

Joanna Helander, *Cyganka z Żywca*, 1978

→ paleo”, „bez GMO” zadomowiły się w naszym języku.

W Bunkrze szóstka artystów przygląda się związkom między jedzeniem a ideologią, polityką i modą. Przypomina o kwestiach, o których dziś się czasami zapomina – takich jak brak pożywienia. Henk Wildschut wybrał się do obozu uchodźców w jordańskim Zaatari i pokazuje działający na jego terenie supermarket. Instytucja niby oczywista, ale jej istnienie akurat tutaj budzi u wielu zdziwienie, nie mieści się bowiem w obiegowych wyobrażeniach o tym, jak powinni żyć uchodźcy. Tymczasem w Zaatari postanowiono stworzyć im sytuację normalności. Nie stygmatyzować mieszkań-

ców obozu, nie zmieniać ich w niesamodzielne ofiary.

Jest też na wystawie fascynująca dokumentacja możliwie najbardziej humanitarnych sposobów hodowli zwierząt, chociaż trudno nie zauważyć, że są one wdrażane w najbogatszych krajach Zachodu. Są opisy transportu żywności i temat globalizacji rynku. Zwraca się wreszcie uwagę, że dzisiejszej fascynacji różnorodnością i otwarciem na odmienne kultury i tradycje jedzenia towarzyszy unifikacja praktyk żywnościowych. W rezultacie ginie to, co lokalne, a budujące tożsamość. O jednym z takich fenomenów przypomina Sinem Dişli, która zdokumentowała tradycyjny sposób przygotowywania chleba w turec-

kiej miejscowości Urfa. Sposób, który stał się skomplikowanym rytuałem – czasochłonnym, a zatem nie tak finansowo efektywnym jak masowa produkcja.

W Bunkrze fotografia jest tylko jednym z narzędzi, po jakie sięgają artyści, obok filmu, tekstu, a nawet instalacji. Miesiąc Fotografii od lat oswaja publiczność z tym, jak różnie rozumiana jest fotografia i jak płynnie są jej granice.

Spojrzenia na innych

Dobrym przykładem tego, jak rozmaite strategie przyjmują twórcy, jest pokaz Sekcji ShowOFF. Ten przegląd debiutujących twórców, wyłonionych podczas otwartego konkursu, dziś mocno się sprofesjonalizował (od pewnego czasu nad przygotowaniem każdej z prezentacji młodych artystów czuwają kuratorzy), a niektórzy z dawnych nowicjuszy już stali się uznanymi fotografami.

Tegoroczny pokaz jest jednym z najlepszych od lat. Jan Jurczak fotografował mieszkańców miasteczek we wschodniej Ukrainie, położonych nieopodal linii frontu. Powstał zapis życia w cieniu wojny, naznaczony przemocą: jedni stracili bliskich, inni domy, niektórzy brali udział w walkach. A jednocześnie wszyscy pragną żyć normalnie, mimo tego, co ich spotkało. To opowieść o małych społecznościach, ale też o jednostkach. Jurczak pokazuje nam indywidualne historie, a zdjęciom towarzyszą spisane relacje: o makijażystce Irinie, której syn zginął w ostrzale, o Witaliju, socjologu, a dziś kapelanie wojskowym, czy o Lenie, protestanckiej pastorce.

Dla Henrego Airo fotografia stała się narzędziem do przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci siostry, która zginęła potrącona przez pijanego kierowcę. Chociaż policja przeprowadziła dość szczegółowe dochodzenie, nie potrafiła odpowiedzieć na kluczowe pytanie: czy ofiara w chwili uderzenia stała na chodniku, czy na przejściu. Airo szuka zatem odpowiedzi na własną rękę.

Z kolei Zosia Promińska sfotografowała nastoletnich jeszcze modeli i modelki, ubranych przez czołowych polskich projektantów, z mocnym makijażem. Ich stroje i wystudiowane, mocno teatralne pozy kontrastują z pomieszczeniami, w których wykonano zdjęcia: zwykłymi pokojami zwykłych ludzi, z plakatami i zabawkami. Sytuacja, w której fotografowani się znaleźli, wymusza dystans, bywa

komiczna, ale też może wywoływać niepokój swą niejednoznacznością.

Jednym z wątków przewijających się podczas tegorocznego Miesiąca są pytania o tożsamość. W Muzeum Etnograficznym im. Seweryna Udzieli można zobaczyć przegląd fotografii Joanny Helander z lat 1976–2012. Autorka, uwięziona w 1968 r. za protest przeciwko inwazji na Czechosłowację, w 1971 r. wyemigrowała do Szwecji. Tam zajęła się fotografią i dość szybko zaczęła publikować zdjęcia, a także albumy. Od 1976 r. pozwolono jej przyjeżdżać do Polski. Fotografuje bliskich, znajomych, mieszkańców jej rodzinnych regionów: Rudy Śląskiej czy Rabki-Zdrój. Są tu zdjęcia matki artystki, babci, ciotki Grytji i kuzynki Dory, ale też psycholożki Dziuni, sprzedawczyni Marysi, fryzjerek czy ministranta. Joannę Helander interesują przede wszystkim kobiety – wystawę zatytułowano „Baby patrzą”. I udało się jej stworzyć zapis rzeczywistości ostatnich dekad PRL-u podpatrywanej trochę z zewnątrz, ale przecież znanej autorce z młodości. To spojrzenie szczególne – spojrzenie emigrantki o splątanych polsko-niemiecko-śląsko-żydowskich korzeniach.

Joanna Helander tworzy też przez lata dokumentacje bardzo intymne: życia siostrzenicy Matildy czy córek przyjaciółki Barbary, bliźniaczek Karoliny i Joanny, którym towarzyszyła od pierwszych tygodni życia. I fotografuje twórców, przede wszystkim artystki. Na wystawie można zobaczyć zdjęcia Agnieszki Holland, Ewy Wójciak z Teatru Ósmego Dnia, Olgi Tokarczuk czy Wisławy Szymborskiej z charakterystycznym papierosem w dłoni. Pokazano również fragmenty archiwum artystki: odbitki stykowe, na których można zobaczyć, jakie ujęcia zostały przez nią zaakceptowane, a jakie odrzucone.

Są jeszcze barwne zdjęcia ślubne zrobione w zakładzie, w którym Helander zarabiała na utrzymanie w pierwszych latach pobytu w Szwecji. U fotografii pozostały jedynie te ujęcia, które z różnych względów nie zostały przyjęte przez klientów. Pokazują więc rzeczywistość w tym wymiarze, którego pozujący nie zaakceptowali: napuszenie, komizm, infantylizm, ale też uczucia wyrażone zbyt otwarcie.

Zbiory obrazów

Od trzech lat organizatorzy Miesiąca proszą wybranego artystę o serię prac związanych z Krakowem lub jego okolicami. Po Dianie Lelonek (która była jednym



Zosia Promińska, „Sylwia 16 lat, Tarnów”, z serii „Waiting Room”, 2019

z największych odkryć festiwalu) i Michale Łuczaku w tym roku swoje prace pokazuje Anna Orłowska. W Galerii Re MOCAK-u znalazły się jej zdjęcia wykonane w dwóch nieodległych od siebie miejscach: dworku Jana Matejki w Krzesławicach oraz tzw. Pałacu Dożów, czyli zaprojektowanym przez Janusza i Martę Ingardeńów budynku Centrum Administracyjnego Huty im. Tadeusza Sendzimira. XIX-wieczny dworek stanowi dziś muzeum, Pałac uważany jest za jedno z czołowych dzieł polskiego socrealizmu. Na wystawie widzimy jedynie drobne fragmenty obu budowli: kanelury pseudoklasycznej kolumny sąsiadują z fragmentem neorenesansowego krzesła, fragment obiciowej

tkaniny ze ściennymi kinkietami. Można się jedynie domyślać, skąd które ujęcia pochodzą. Jedno w nich uderza: jak trwałe pozostają, mimo zmiany systemów, epok i stylów, pewne estetyczne upodobania i wyobrażenia o prestiżu i luksusie.

Z kolei Wojciech Nowicki przygotował intrygującą wystawę w Muzeum Fotografii. „Chmura” to rodzaj wizualnego eseju, w którym Nowicki występuje w podwójnej roli kuratora i kolekcjonera (bo zdjęcia pochodzą z jego kolekcji). Zasadą organizującą ten pokaz jest podobieństwo prac. Tematu – portret, przedmiot, zwierzę, wojna, śmierć; sytuacji lub okoliczności (np. zmiana koloru zdjęcia pod wpływem czasu).

→ Powstała opowieść, jak pisze Nowicki, ponad klasycznymi podziałami stosowanymi w historii fotografii. Nie podano autorstwa zdjęć, chociaż rękę niektórych twórców, jak Zofia Rydet, Zygmunt Rytka czy Stefan Wojnecki bez trudu można rozpoznać. Brak też datowania. Kuratora interesują bowiem „wzajemne relacje, nieoczywiste pokrewieństwa, połączenia, które nie wynikają z samej fotografii, lecz biorą się z innych dziedzin sztuki, rzemiosła i życia”. Umieścił zatem obok siebie wizerunek komunistycznego przywódcy i zdjęcia więźnia z Auschwitz, ozdobne *tableau* z wizerunkami przywódców powstania styczniowego i fotografię walczących kobiet z Wietnamu. Oszczepnik o klasycznej budowie ciała obok kobiety prezentującej swoje pełności, zmarłe dziecko złożone w trumnie nieopodal zmasakrowanej twarzy zabitego.

„Chmura” to zachęta do szukania znaczeń nieoczywistych, przeoczonych. Ważnych nie kiedyś, lecz współcześnie. Wojciech Nowicki zaproponował bardzo osobiste interpretacje fotograficznych obrazów i namawia zwiedzających do podobnych odczytań. Jednak jest w tej wystawie coś, co może prowokować trudne pytania: o granice interpretacji, o dopuszczalność pomijania celów i okoliczności powstania wielu zdjęć. Bo zdjęcie nie jest – jak od dawna wiemy – niewinne. Sam kurator zaznacza, że np. Niemcy sudeccy pozujący nago nad brzegiem morza byli zatwardziałymi zwolennikami Hitlera, o czym świadczą zapiski zachowane w albumie, z którego wyjęto te wizerunki.

Nieoczywistość tej ekspozycji zaciękawia i intryguje. Jest też propozycją innego spojrzenia na zdjęcia, które często stały się dla nas anonimowe, niezrozumiałe, obce. Można bowiem – pisze Nowicki – potraktować fotografie „jak elementy mozaiki, z których można utworzyć dowolny obraz, opowiedzieć wiele historii. Również tę, że fotografia sama opowiada wiele, jednak tylko we własnym języku”. Musimy nauczyć się go odczytać.

© PIOTR KOSIEWSKI

CO NAM SIĘ PODOBA, *Miesiąc Fotografii w Krakowie 2019. Pokazy trwają do 23 czerwca br.*

Krykiet z królową kier

ANITA PIOTROWSKA

Ciekawie się ogląda ten film w czas publicznej debaty na temat bezkarności i hipokryzji osób wykorzystujących swą przewagę w celu zaspokajania seksualnych potrzeb. El-Toukhy problematyzuje jednak to zjawisko.

NA OSTRO, BEZ SYMULACJI, BEZ DYSKRETNICH wyciemnień ekranu i wstydliwych odjazdów kamery na płonący kominek – tak wyglądają sceny erotyczne w duńskim filmie May el-Toukhy „Królowa Kier”. Jesteśmy przecież w kraju, gdzie seks traktuje się bez poczucia winy i wstydu, za to bezwzględnie ściga się wszelkie formy wykorzystywania na tym tle. A dziewczynkom daje się w urodzinowym prezencie pistolety na wodę. Na dodatek to film nakręcony gdzieś w ziemskim raju, w krainie opatulonej duńską filozofią szczęścia zwaną *hygge*. Rodzinna bliskość, kontakt z naturą, minimalistyczny skandynawski dizajn tworzą tu świat bezpieczny, przytulny i zdrowy, z nienachalną domieszką luksusu – tych wszystkich jedwabnych piżam, kaszmirowych swetrów, dobrych win i świętego spokoju.

Prawniczka Anne, główna bohaterka filmu, zajmuje się młodocianymi ofiarami przemocy seksualnej; jej mąż Peter jest lekarzem. W swoim przestronnym domu pod lasem, gdzie wychowują wspólnie kilkuletnie bliźniaczki, kultywują ów sielski spokój. Ale to nie oni uprawiać będą na ekranie wspomniany wyżej nieocenzurowany seks. W rolach głównych wystąpi tym razem sama Anne, kobieta mocno już dojrzała, oraz jej kłopotliwy siedemnastoletni pasierb o imieniu Gustav, przygar-

nięty pewnego dnia pod ojcowski dach. To zderzenie domowego ciepła z przekroczeniem tabu brzmi jak ze streszczenia pikantnej „obyczajówki” – lecz nie w filmie El-Toukhy. Dostajemy oto zawikłaną psychologicznie opowieść o seksualnym nadużyciu, o jego różnych odcieniach moralnych i fatalnych następstwach.

Grająca Anne wspaniała Trine Dyrholm, znana między innymi z „Festen” i „Komuny” Thomasa Vinterberga, z dumą obnosi przed obiektywem swój słuszny wiek, ale też kreuje postać, która nieustannie się zmienia i zaskakuje, wystawiając na próbę naszą sympatię czy empatię. Strażniczka domowego ogniska raptem staje się kimś całkiem innym, kiedy uwodzi po kryjomu nieletniego syna swego męża, by już za chwilę zamienić się w kogoś jeszcze innego – gdy po pierwszym zbliżeniu kupuje pasierbowi nowy komputer. W nagrodę za seks czy za milczenie? Ten drobny zdawałoby się gest, być może nie do końca uświadomiony, doprawia trucizną i tak mocno już nadpsuty rodzinny obiad. Z czasem narastają kolejne warstwy fałszu, topnieje wzajemne zaufanie, wzmacniają się relacje władzy. Czy Anne jest w tym wszystkim pogubioną ofiarą własnych namiętności i zaznanych ongiś krzywd, czy też cyniczną manipulatorką, która blefuje, szarżuje i z otwartą





MATERIAŁ PRASOWY

Kadr z filmu „Kronen”

WARTO ZOBACZYĆ W TV [8 – 14 VI]

1. Dunkierka



Wojenny,
reż. Christopher Nolan,
Wielka Brytania i inne
2017, Cinemax, 9 VI,
20.00, 10 VI, 9.30,
11 VI, 20.00,

12 VI, 11.15, 14 VI, 21.30

Twórca „Incepcji” poszerza granice wojennego widowiska. Ewakuacja aliantów z francuskiego wybrzeża latem 1940 r. pokazana została w skali makro i mikro, z wody, powietrza i lądu, z perspektywy żołnierzy i cywilów, oczywiście z użyciem najnowocześniejszych technologii filmowych.

2. Wielkie kłamstewka 2



Serial, reż. Andrea Arnold,
USA 2019, sezon 2,
odc. 1, HBO, 10 VI, 20.10,
HBO3, 10 VI, 21.00, HBO,
12 VI, 22.05, HBO3,
13 VI, 21.00

Przed nami siedem nowych odcinków satyryczno-kryminalnej opowieści o tym, jak to jest być żoną i matką z bogatego kalifornijskiego przedmieścia. Tym razem za kamerą staje znakomita reżyserka brytyjska, znana m.in. z „American Honey”, a prócz dotychczasowej gwiazdorskiej obsady w serialu pojawi się Meryl Streep.

3. Rolling Thunder Revue: Opowieść o Bobie Dylanie od Martina Scorsese



Dokumentalny, reż.
Martin Scorsese, USA
2019, Netflix, od 12 VI
Po „No Direction Home”
(2005) amerykański
mistrz powraca do Boba

Dylana, by przypomnieć legendarne tournée z lat 1975-76. W filmie, który ma być „po części dokumentem, po części filmem koncertowym, a po części marzeniem sennym”, prócz głównego bohatera wystąpią także Joan Baez, T-Bone Burnett czy Patti Smith.

4. Dom, który zbudował Jack



Dramat, reż. Lars von
Trier, Dania i inne 2018,
Cineman VOD

Dla jednych grafomański
wybryk, dla innych
szydercza i bardzo

radikalna w środkach polemika z „kinem przemocy”. Matt Dillon wciela się tu w postać seryjnego mordercy, a zarazem alter ego reżysera, który traktuje swój film jako ekshibicjonistyczne wyznanie i artystyczny testament.

przyłbicą kłamie, żeby za wszelką cenę ocalić swoje domowe królestwo?

Tytuł filmu „Kronen” częściowo naprowadza nas na odpowiedź, choć nie stawia po niej ostatecznej kropki. W jednej ze scen słyszymy, jak bohaterka czyta swoim córcom do poduszki „Alicję w Krainie Czarów”, opisującą podziemną krainę na opak, rządzoną przez kapryśną i despotyczną monarchinię.

Choć okazuje się, że jest ona jedynie kartą do gry, z własnym odwróconym odbiciem i czerwonym sercem w rogu, to właśnie królowa w swym iluzorycznym świecie tasuje i rozdaje wszystkie karty, traktując inne żywe stworzenia niczym przedmioty – jak choćby przyrządy do krykieta.

Duńska reżyserka wraz ze współscenarzystką Maren Louise Käehne poprzez tego typu cytaty czy symboliczne obrazy (co jakiś czas kadr wypełnia malownicze drzewo o spletanym konarach, to znów ślimaczko zakręcone schody w budynku sądu) ucieka od jednoznacznej potępienia swojej bohaterki, wskazując na jej wewnętrzne pogmatwanie, ale nawet kobieca solidarność musi mieć swoje granice. Bywają wszak przypadki odwrócenia tradycyjnych ról w układzie przemocy, która

czasem może przybierać zwodniczo miękką postać.

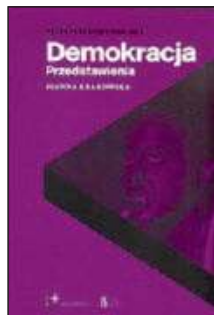
Ciekawie się ogląda „Kronen” w czas publicznej debaty na temat bezkarności i hipokryzji osób wykorzystujących swą przewagę w celu zaspokajania seksualnych potrzeb. El-Toukhy problematyzuje to zjawisko, nie tylko stawiając kobietę w roli winowajczyni, ale także przypisując jej zawód wysokiego zaufania społecznego, który Anne wykonuje z dużym przekonaniem, czasem nawet naginając dla dobra ofiar profesjonalne reguły. I nagle, broniąc się w swojej osobistej sprawie, zaczyna przemawiać językiem oprawców. Wie przy tym doskonale, że ich głos, dochodzący często z pozycji autorytetu, jest o wiele bardziej słyszalny niż język pokrzywdzonych, z czego sama skwapliwie skorzysta. I choć akcja filmu pod koniec wraca finezyjnie do swojego punktu wyjścia, staje się aż nazbyt oczywiste, że w tym jasnym, przeszklonym domu, pełnym świeczuszek, poduszek i nastrojowej muzyki, nic już nigdy nie będzie takie samo.

©

KRÓLOWA KIER (*Dronningen*) – reż. May el-Toukhy. Prod. Dania/Szwecja 2019. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 7 czerwca.

Lektor:

Scena naszego świata



■ Joanna Krakowska
DEMOKRACJA. PRZEDSTAWIENIA
 Instytut Teatralny
 im. Zbigniewa Raszeńskiego,
 Instytut Sztuki PAN,
 Warszawa 2019, ss. 496.

PRACA TEATROLOGICZNA, a zarazem książka prawdziwie gorąca. „Demokracja”, zamykająca cykl „Teatr publiczny. Przedstawienia 1765–2015”, opowiada bowiem o polskim teatrze po przełomie 1989 roku, „o problemach i emocjach, jakie ogniskował, o przemianach, jakie opisywał, a może nawet wywoływał, o diagnozach, jakie stawiał”.

Jest to więc opowieść o naszym świecie widzianym ze sceny i o tym, jak ten świat na scenę się wdzierał. Pisana z perspektywy kolejnej zmiany: „konserwatywnej reakcji, prawicowej ofensywy i nacjonalistycznego wzmożenia”, które u nas wiążą się nie tylko ze zmianami legislacyjnymi, lecz także z próbą zahamowania

procesów liberalizacyjnych w sferze obyczajów i kultury – teatr zaś był u nas ich zwierciadłem i współtwórcą. Joanna Krakowska, będąca zresztą redaktorką naukową całego cyklu, występuje tym razem w podwójnej roli: badaczki i zaangażowanej świadkini, opierającej się na własnym doświadczeniu i przeżyciu. „Można było opowiedzieć tę historię inaczej” – zaznacza z góry, dalej zaś tłumaczy, że za punkt wyjścia obrała dziewięć spektakli ogniskujących dziewięć tematów, którymi są transformacja ustrojowa, budzenie się wrażliwości społecznej, emancypacja osób homoseksualnych, rozliczenia historyczne, wzlot i upadek teatru krytycznego, gender, władza (w teatrze i poza nim) i rozczarowanie zmianą oraz – w aneksie – pamięć Zagłady, polska i żydowska tożsamość, współczesny antysemityzm. Do analiz Krakowskiej parokrotnie już odwoływał się na łamach „Tygodnika”

Dariusz Kosiński – mogę tylko powtórzyć, że „Demokracja” to bardzo ważna książka, pomagająca zrozumieć nie tylko współczesny teatr.

Cały zaś projekt, którego stanowi zwieńczenie, obejmuje też – wedle chronologii tematów – „Oświecenie” Piotra Morawskiego (2017), „Wiek XIX” Ewy Partygi (2016), „Dwudziestolecie” Krystyny Duniec (2017) i „PRL” Joanny Krakowskiej (2016). Pięć tomów w dynamicznej oprawie graficznej Grzegorza Laszuka, z ilustracjami, cytatami i przytoczeniami recenzji. Jak mówiła „dwutygodnikowi” Krystyna Duniec: „narracja niech wykazuje się warszatem badawczym, ale jednocześnie nie wstydzi się afektywności, subiektywnej wrażliwości – i w ten sposób stwarza światy. Za tym powinna iść nowa forma wydawnicza, rozbić struktury – na tekst główny i poboczny, zabawa grafiką. Widowisko”. No i tak jest. ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD – TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
 Dyskutuj o ulubionych autorach
 Zaczynij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
 Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na powszech.net/bnd

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE



TYGODNIK
 POWSZECHNY

Book's
 not dead

PAWEŁ

Bravo:

Biję pokłon



DWA TYSIĄCE ROCZNIE – TYLE RAZY WIELKIE statki wycieczkowe dokonują „pokłonu” przed placem św. Marka w Wenecji. Walkę tamtejszych mieszkańców o zakazanie tym mastodontom wypychania się wprost pod zabytkowe nabrzeża, śledzę od dawna, ale

dopiero teraz – przy okazji agencyjnych depesz o wypadku z udziałem jednego z tych intruzów – dowiedziałem się, że w języku organizatorów rejsów po ciepłych morzach tak się to właśnie nazywa. Wpływam na twoje wąskie kanały, rozpycham się w twoim zgrabnym basenie portowym goszczącym rybackie łódki i jachciki, wzbudzam falę, która podmywa średnio-wieczne fundamenty, robię masakrę w ekosystemie – i to wszystko jest mój wielki pokłon dla twojego piękna. Słowo na lewą stronę wywrócone, coś jak pokój i braterstwo w przemówieniu Leonida Breżniewa czy „darmowa” dziesiąta kawa w zamian za stempelki (*nolens volens* już za nią przecież zapłaciliśmy w dziewięciu ratach).

Wyobraźcie sobie sunące krakowską, wąską Wisłą siedmiopiętrowe bloki, wyższe od Wawelu, widoczne ponad dachami w perspektywie ulicy Grodzkiej. Mało im tego, pokłoniwszy się ceniom królów oraz gazowemu smokowi, dopływają pod Jubilat, po czym ryzykownym manewrem skręcają w Aleje Trzech Wieszczów, które na potrzeby tej wizji wypełnimy na moment mętną wodą. Prują dalej w stronę Muzeum Narodowego, które przerobiono na punkt przesiadkowy do meleksów dla kilkunastu tysięcy bogatych niemieckich emerytów, chińskich rentierów i nowych Rosjan; niech idą wydawać swoje krocie, nie samymi wieczorami kawalerskimi lwów Albionu żyje wszak to miasto. Były nawet plany, żeby wepchnąć statki dalej ulicą/kanałem Piłsudskiego aż po same Planty. I tak by to się kręciło okrągły rok, gwałt na mieście wykrzyczany w niebo buchającymi dieslami kominami.

Wenecja jest tylko najbardziej efektowną z ofiar, ale przecież historia powtarza się w tuzinach innych „pereł” Śródziemnomorza. Ostatnio Dubrownik gorzko żałuje, że posłużył za plan zdjęciowy do „Gry o tron”, bo to tylko zwiększyło i tak niemożliwie intensywny ruch – nawet w najgorszy upał stragany z pałatkowym szmelcem muszą ogłaszać przechodniom, iż nadchodzi zima. Ale przecież to nie ma znaczenia, bo jak w każdym Disneylandzie rzeczywistość jest pojęciem pustym, odnosi się mgliście do czegoś, co zostało daleko w domu. Tutaj im bardziej coś zmyślone, tym silniej działa, istota jarmarcznej budy jest wciąż ta sama, nawet kiedy buda osiąga rozmiary sporej dzielnicy lub miasta.

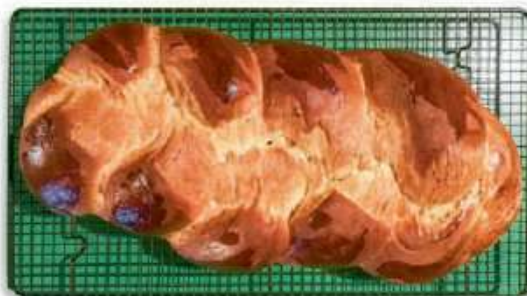
Idąc na wieczorną łąkę po swoim kazimierskim kwartale mam niekiedy wrażenie, że pół Polaka we mnie to ostatni ślad tej grupy etnicznej w dzielnicy. Nieważna zresztą narodowość, to rzecz w dużej mierze nabyta i potencjalnie toksyczna, liczy się inne wyobcowanie, ta świadomość, że się jest tu samemu szukając jajek, cebuli i skrawka słoninki na śniadanie, krążąc w poszukiwaniu zwykłego spożywczego na rogu i straganu z jarzyną. Czytałem w internecie, że są gruntowe truskawki, czyli takie, przy których można sobie wyobrazić, że smakują słodkim. Może jutro specjalnie pojedę je znaleźć na jakiś daleki targ.

Jeśli jest jedna rzecz, która mnie w tej kazimierskiej niby-landii trzyma grubą pepowiną i która budzi zazdrość gości, to Piekarnia Mojego Taty. Nie, mój tata nie jest piekarzem, on piekł dla mnie inny, bardzo posilny chleb słów, fraz i rytmów – tylko ta firma przy Meiselsa tak się po prostu nazywa. Raczej wolę nie ufać opowieściom o „starych recepturach” i „stuletnim zakwasie” – ale wierzę w ciemno swojemu ciału. Żołądkowi i całej reszcie, która po wchłonięciu „tatowego” pyłowego rozkwita. Podobnie chałki, tamtejsza jest dla mnie wzorcem tego pieczywa, skoro nie mam wokół siebie przyjaciół robiących je w domu. Od zawsze miejsce mnie fascynowało tym, że jest czynne aż do drugiej w nocy – co jest przecież logiczne,

piekarnia wtedy pracuje, a poza tym jest wielu takich, którzy wolą po porannej drożdżówce wyjść przed zaśnięciem na koniec dnia, niż wleć się potem o poranku, ze snem poprzyklepiętym do ścierniętej skóry.

Chodzę po nią regularnie, niekiedy tylko dla podtrzymania więzi z tym miejscem, w którym pachnie lekko kwaśno chlebem i normalnością. A jeśli los niekiedy mi ofiarowuje parę oczu i dłoni, z którymi mogę się rano tą drożdżówką i żyt-

nią kromką podzielić, to z radości biję pokłon poranionym, za-deptanym brukom Kazimierza. ©P



JOANNA RUDNIAŃSKA

*A czy wy wiecie, że dobra, nienachalnie słodzona i perfumowana chałka jest prawie tak uniwersalna, to znaczy łączy się dobrze ze wszystkim, jak szampan? Chyba że ktoś nie lubi łączenia słodkiego pieczywa np. z serem czy pasztetem, wtedy jednak i tak zostają różne sposoby, by tak rzec, deserowe. O jednym wspominałem kilka lat temu i przez ten czas miałem okazję przekonać się, jak bardzo to dalej robi wrażenie na kolejnych gościach: kromki świeżej **chałki** podpiekamy w opiekaczu lub tosterze tak, by były porządnie rumiane, smarujemy od razu szczodłą warstwą **mascardone** i kładziemy na wierzch gęsto połowki **truskawek** (skoro już są gruntowe). Jeśli chałka nam się zeschnie, to można z niej zrobić zaawansowaną wersję francuskiego tosta: rozkręcamy **2 jajka** ze szklanką **mleka**, dodajemy szczyptę **sol**i i **cukru waniliowego**, i dalej **cynamon/kardamon** albo np. **gałkę muszkatołową**, moczymy w tym bardzo porządnie kromki i smażymy na złoto na patelni z **masłem**. Zwykle nie czuję potrzeby podkreśniania tego hedonizmu niczym, ale jeśli to się połączy na talerzu z odrobiną świeżo ubitej, ale nie bardzo słodzonej **śmietany**... w wersji grzecznej niech wystarczą świeże owoce.*

NOC NAD MADRYTEM

Jestem kibicem Tottenhamu, a przecież czuję, że mogę po finale Ligi Mistrzów śpiewać hymn Liverpoolu. Taka jest moja opowieść o kibicowaniu i taka jest moja opowieść o życiu, z którym kibicowanie się splata.

MICHAŁ OKOŃSKI Z HISZPANII





*Nagle urodzona miłość
nie zestarzała się dotąd, nie zwiędła,
i miasto jest mi dzisiaj jak stara legenda,
w której się śniło, lecz nic nie ziściło.*

JÓZEF ŁOBODOWSKI, NOC NAD MADRYTEM

WTELEWIZJI WIDĄĆ LEPIEJ: TWARZE ZAWODNIKÓW I TRENERÓW, malujące się na nich emocje, powtórki najbardziej efektownych zagrań i tzw. kontrowersyjnych momentów. Kiedy oglądasz w telewizji, po paru sekundach wiesz, że sędzia miał rację, już w pierwszej minucie finału Ligi Mistrzów dyktując karnego dla Liverpoolu za – owszem, przypadkowe, ale jednak – zagranie ręką pomocnika Tottenhamu Moussy Sissoko. Czego w telewizji nie zobaczysz, to zwykłych fanów piłki, którzy długo po zakończeniu transmisji opuszczają jeszcze stadion i idą długim szpalerem w stronę miasta, zmęczeni i upojeni tym, co przeżyli, równie mocno jak piłkarze, a pewnie jeszcze mocniej, bo kiedy wdajesz się z nimi w rozmowę, słyszysz, ile dni spędzili w podróży na ten mecz i ile mają jeszcze przed sobą. Kiedy rozmawiasz z przegranymi, możesz wręcz odnieść wrażenie, że przeżywają klęskę bardziej niż ci, których wspierali, a którzy może myśla już o wakacjach albo nawet, kto wie, o zmianie klubu na taki, w którym po sukcesie idzie się prostszą drogą.

Wrażenie to nie zostaje z tobą jednak na długo: po pierwsze, interesujesz się futbolem nie od dziś i wiesz, że nawet jeśli są świetnie opłacani i żyją w wieżach z kości słoniowej, to piłkarze naprawdę wychodzą na boisko, by dać z siebie wszystko i szukać sensu tego, co robią (widziałeś zresztą po meczu kapitana Liverpoolu, Jordana Hendersona, podchodzącego do sektora kibiców, by płakać tam w objęciach własnego ojca, czytałeś też słowa 20-letniego obrońcy Trenta Alexandra-Arnolda, który jeszcze parę lat temu podglądał najlepszych graczy tej drużyny przez płot, a teraz pisze na portalu społecznościowym, że jest

normalnym chłopakiem z Liverpoolu, któremu właśnie spełniły się marzenia). Po drugie zaś, kiedy idziesz ulicą wśród przegranych, tak naprawdę prawie w ogóle nie rozmawiasz: niewiele jest dźwięków ciszy równie intensywnych, jak te, które unoszą się nad setkami fanów futbolu wychodzących z meczu, który skończył się porażką.

Smak wielkiego dramatu

Nie będziemy tu jednak mówili o przegranych, a w każdym razie nie od razu: kończąca się właśnie noc nad Madrytem była przecież nocą wielkiego triumfu. Oto Liverpool FC, prowadzony przez charyzmatycznego Niemca Jürgena Kloppa, po raz szósty wygrał najważniejsze rozgrywki pucharowe Europy. Niewiele jest w historii futbolu klubów owianych taką legendą i rozgrywających mecze, które na zawsze wpisały się do kronik tej dyscypliny.

Tegoroczny finał Champions League nie będzie się wprawdzie do nich zaliczał – tzw. widz neutralny przyzna bez oporów, że sam mecz rozczarował (Liverpool po szybko strzelonej bramce nie grał z taką intensywnością, do jakiej przyzwyczaił miłośników piłki, ba: próbował wybijać rywali z uderzenia, pragmatycznie opóźniając każdy moment wznowienia gry) – ale po pierwsze, finały Ligi Mistrzów, gdzie sukces jest już na wyciągnięcie ręki, często przebiegają właśnie w ten sposób. Po drugie zaś: zanim Liverpool w ogóle znalazł się w finale, musiał odrobić trzybramkową stratę z pierwszego meczu z Barceloną i dokonał tego, wygrywając w rewanżu 4:0. Emocjami, jakie wówczas zafundował tzw. widzom neutralnym, można by obdzielić kilkanaście finałów.

To z Liverpoolem wiąże się też opowieść o innym klasyku Ligi Mistrzów, rozgrywanym przed 14 laty w Stambule, gdzie przegrywający do przerwy 3:0 z Milanem klub z Anglii odrobił straty w ciągu drugich 45 minut, doprowadził do dogrywki, a następnie zwyciężył po serii rzutów karnych, zresztą dzięki heroicznej postawie bramkarza Jerzego Dudka. Wśród europejskich nocy jest i ta z 1977 r., kiedy po wygranej 3:1 z Borussią Mönchengladbach Liverpool pierwszy raz triumfuje w Pucharze Europy, i ta zakończona w sposób jakże odmienny, podczas której w 1985 r. na brukselskim Heysel Anglicy przegrywając 1:0 z Juventusem, a przed rozpoczęciem meczu dochodzi do bójki kibiców, zaważenia się jednej z trybun i śmierci 39 osób. Innym, choć z pewnością niezestawialnym z tamtym rodzajem dramatu był ubiegłoroczny finał, w którym Liverpool uległ Realowi na skutek cynicznego faulu Sergio Ramosa na Mohamedzie Salahu, przewrotki Garetha Bale'a i dwóch wciąż trudnych do pojęcia błędów bramkarza Lorisa Kariusia.

Narada w pomieszczeniu na buty

Wspominam o klęskach nie tylko dlatego, że w dziejach Liverpoolu (czy tylko jego?) było ich sporo. W 1989 r. drużyna dała sobie np. wyrwać mistrzostwo Anglii, przegrywając u siebie z Arsenalem i tracąc decydującego gola już w doliczonym czasie gry, w 2014 r. straciła szansę na tytuł po błędzie wychowanka i kapitana Stevena Gerrarda, który potknął się i zgubił piłkę, dzięki czemu to Chelsea zdobyła zwycięską bramkę.

Rzecz w tym, że nie ma chyba drugiej drużyny, która potrafiłaby się z równą determinacją po klęskach podnosić. Po ubiegłorocznej porażce np. Kariusia w bramce zastąpił Alisson Becker, w drugiej połowie meczu z Tottenhamem broniący wszystko



MICHAŁ OKONSKI x2

Korespondent „TP” z Mauryciem Pochettino w przeddzień finału, przy porannej kawie: wbrew stereotypom na temat świata futbolu trener Tottenhamu nie odgradzał się od kibiców, a po ulicach Madrytu poruszał się bez ochrony.

to, co bramkarz obronić powinien; już po finale trener pokonanych Mauricio Pochettino komplementował strategię władz Liverpoolu, konsekwentnie realizujących przygotowany wspólnie z trenerem Kloppem strategiczny plan mający zapewnić klubowi stałe miejsce w europejskiej elicie. W świecie chaotycznego szastania pieniędzmi (weźcie arabskich szejków, którzy wpompowali setki milionów euro w Paris Saint-Germain, a których pracownicy w Champions League wciąż niczego nie osiągnęli) klub z miasta Beatlesów jest przykładem zarządzania odpowiedzialnego.

Ach, oczywiście: realizacja wspomnianego tu planu warunkowana jest finansami, w których przewaga w finale Ligi Mistrzów była zdecydowanie po stronie liverpoolczyków: najlepszy na boisku holenderski obrońca Virgil van Dijk kosztował 75 milionów funtów; kwotę będącą poza zasięgiem Tottenhamu, który zaciskając pas na budowę nowego stadionu nie wydał na nowych piłkarzy ani funta. Choć z drugiej strony skupianie się na finansach byłoby niesprawiedliwością; Jürgen Klopp imponuje przede wszystkim sposobem, w jaki potrafi wyszkolić zawodników, których odziedziczył, a których kiedyś – jak Jamesa Milnera – uważano za przeciętnych.

Lepszym przykładem wyciągania wniosków z klęski byłyby więc wydarzenia po porażce z Czerwoną Zvezdą Belgrad w 1973 r. To wówczas, w ciasnym pomieszczeniu na piłkarskie buty, na niewygodnych krzesłach z plastiku, nad skrzynkami piwa i pod rozwieszonymi na ścianach wycinkami z prasy, wśród których były również, co tu kryć, rozkładówki „Playboya” (tego w dzisiejszych szatniach piłkarskich szczęśliwie się już nie uświadczy, a macyzm powoli przegrywa), spotkali się trenerzy Bill Shankly, Bob Paisley, Joe Fagan i mroczny Reuben Bennett, o którym opowiadano, że radził kontuzjowanemu zawodnikowi, by rozcierali bolące miejsca drucianą szczotką. Podczas szczerej wymiany zdań doszli do wniosku, że ich podopieczni nie radzą sobie na kontynencie (choć zwyciężają w Anglii), bo styl ich gry jest przestarzały, a potem dokonali taktycznej rewolucji, dzięki której prowadzony przez Paisleya Liverpool w latach 1977-84 sięgnął po cztery europejskie puchary.

Czy futbol może być zbawiony

Zawieśmy na razie pytanie, czy podobne narady w świecie dzisiejszej piłki są jeszcze możliwe – i czy np. szkoleniowiec Tottenhamu Mauricio Pochettino będzie chciał i umiał dokonywać swojej rewolucji bez potężnego zastrzyku finansowego. Przez ostatnich kilka miesięcy nie krył przecież frustracji wywołanej faktem, że ocenia się go wedle takich samych kryteriów, co szkoleniowców najbogatszych klubów, on zaś nie ma do dyspozycji dostępnych im narzędzi – z drugiej strony jednak sam przed madryckim finałem przedstawiał się jako rewolucjonista-romantyk, dając dziennikarzom za punkt odniesienia ryzykowny z perspektywy kogoś urodzonego nad Wisłą przykład swojego rodaka, Ernesto „Che” Guevary.

Wspomnijmy raczej o tym, że legendę Liverpoolu współtworzą nie ekonomiczne „narzędzia” i rodzące się w głowach ideologów abstrakcyjne pomysły na zbawianie świata, ale ludzie. Największy z nich (a przynajmniej największy przed Kloppem...) był wspomniany już Bill Shankly, choć owszem: także on próbował ponad pół wieku temu zbudować wokół stadionu Anfield rodzaj utopijnej socjalistycznej wspólnoty jednoczącej robotników ze zwykłymi mieszkańcami miasta. Urodzony



W drodze na stadion fani obu drużyn szli ramię w ramię, nie było kłótni czy atmosfery zagrożenia, nawet jeśli ktoś samotnie wchodził w tłum fanów rywala w „niewłaściwej” koszulce; za chwilę idący po lewej mężczyzna weźmie ojca pod rękę.

w szkockim Glenbuck, w rodzinie górników, szkoleniowiec ten wierzył, że dzięki futbolowi świat stanie się bardziej sprawiedliwy, a ludzie bardziej sobie równi (co chciałbym zadedykować Pawłowi Mościckiemu, który w „Lekcjach futbolu” upiera się, że piłka nożna buduje fałszywe poczucie spotkania tam, gdzie wcale do niego nie dochodzi, pozoruje wzajemny szacunek tam, gdzie panuje wyzysk, a własną rolę zafałszowuje podwójnie, bo przedstawia się jako narzędzie pokoju i solidarności, choć rządzące nią reguły opierają się na maksymalizacji zysku i ilustrują najbardziej szokujące wymiary współczesnej gospodarki kapitalistycznej). Opowieści o tym, jak Shankly zapraszał do domu nieznanym kibiców na filiżankę herbaty, odpisywał na ich listy, a najuboższym stawiał bilety na mecze – to też ważny rozdział legendy Liverpoolu.

Tyleż człowiek lewicy, co chrześcijanin, Shankly uważał jednak, że myśli praktycznie: z rodzinnej miejscowości wyniósł przekonanie, że droga do sukcesu wiedzie przez wspólny wysiłek, w którym bliźni sobie pomagają, by na końcu móc podzielić się zyskami. „Tak właśnie widzę futbol i tak widzę ludzki los” – mówił, wskazując przy okazji, że to nie zbieranie trofeów (w czym wyspecjalizował się jego asystent, a później następca Paisleya), lecz zdolność do zbudowania wokół klubu wspólnoty jest czymś, co sprawia, że futbol może być zbawiony.

Kloppa wielu fanów Liverpoolu chętnie zestawia z Shanklym. Nie chodzi jednak o skracanie dystansu z kibicami i jowialne poczucie humoru („Let’s talk about six”, śpiewał przed →

→ kamerami w Madrycie, czyniąc aluzję do szóstego Pucharu Europy, a zarazem przerabiając stary hit tria Salt'n'Pepa na temat rozmawiania o seksie; nad gustem muzycznym Niemca wypada przejść do porządku dziennego). Nie chodzi o poglądy na świat, choćby niechęć wobec brexitu, o której prasa brytyjska rozpisywała się szeroko poza kolumnami sportowymi. Nie chodzi o wyczuwanie prostych gestów (kiedy po meczu ścisnął dwójkę bocznych obrońców, Trenta Alexandra-Arnolda i Andrew Robertsona, nie tylko wskazywał te sektory boiska, w których jego zespół imponuje najbardziej, nawet jeśli większość mediów woli zachwycać się ofensywnym tercetem Salah-Firmino-Mane – pokazywał także, że nie na wielkich gwiazdach sukces Liverpoolu zbudowano). Nie chodzi wreszcie o firmowy styl gry, którego akurat w finale nie pokazali – zamiast furiackich ataków i nieustannego biegania między rywalami podczas prób odebrania im piłki, więcej oglądaliśmy kunktatorskiego wyczekiwania na błąd, który faktycznie nastąpił, kiedy dążący do wyrównania Tottenham musiał w końcu się odsłonić.

Chodzi o poczucie, że – jak zauważył szukający podobieństw między Szkotem i Niemcem jeden z historyków Liverpoolu Simon Hughes – futbol wedle Kloppa jest światem wspólnych opowieści, wspólnych historii i wspólnych tożsamości.

Srebrna pieśń skowronka

Co prowadzi nas znów w miejsca, których w telewizji nie pokazują. Np. do jednej z tańszych knajpek niedaleko metra Chueca, gdzie grupa fanów Liverpoolu niemających już szans na kupienie biletu (pod stadionem chodziły ponoć za 3 tys. euro), zajmowała się, oprócz emablowania kelnerki, formułowaniem łagodnych docinków pod adresem ubranego w koszulkę Tottenhamu sąsiada, do czasu gdy powiedział, że kibicuje tej drużynie od ponad 30 lat. „No to się sporo nacierpiałeś, chłopie”, skomentował któryś, a potem już życzyli sobie miłego wieczoru.

Albo do wagonu metra jadącego w kierunku Canillejas, skąd na stadion jest już tylko pół godziny spaceru, gdzie wpadłem na grupkę hałaśliwych – nie ukrywajmy – fanów Tottenhamu, z którymi, gdy już razem pośpiewaliśmy, zaczęliśmy opowiadać sobie o dzieciach, a kiedy wymienialiśmy strzelców bramek padających jako pierwsze po ich urodzeniu, mogliśmy zgadywać także, z którego są rocznika. Chłopak spod Londynu, który sie-



Śpiew zwycięzców słyszał nawet dobie po meczu. Dwóch fanów Liverpoolu pod muzeum Prado. Najpierw poprosili o wspólne zdjęcie z dziennikarzem „TP”, gdyż – jak mówili – w trakcie wielodniowej podróży fotografowali się z każdym, kto wydał im się sympatyczny; później zapozowali sami.

MICHAŁ OKOŃSKI

dział najbliżej, jak już mi opowiedział, że od 15 lat jest posiadaczem karnetu na mecze i że na stadion ma kwadrans pociągiem, pokazał zdjęcie córeczki, śpiącej w beciku i z różowym smoczkiem opatrzonym, a także, klubowym logo – kończyła tego dnia osiem tygodni, a dla niego był to pierwszy wyjazd, od kiedy się urodziła. Chwila nie była odpowiednia, by się zastanawiać, czy jego klub – debiutujący w roli finalisty Champions League – może powtórzyć tę przygodę przed osiągnięciem przez dziewczynkę dojrzałości.

Tak, to jest historia uniwersalna, choć na przykładzie Liverpoolu łatwiej pokazać, że legendy jakiegoś klubu nie tworzą słynne mecze i wielkie gwiazdy, tylko ludzie, którzy wiążą się z nim na dobre i złe. Ludzie, których poczucie wspólnoty trwa przez pokolenia (widziałem w drodze na stadion podpierającego się laską sędziwego fana, prowadzonego pod rękę przez mężczyznę w sile wieku, najpewniej syna; widziałem dziewczynkę z rodzicami, widziałem

kobietę w zaawansowanej ciąży, przytuloną do starszej siostry) i które pozwala przetrwać nawet doświadczenia tak straszliwe, jak tragedia na stadionie Hillsborough, gdzie w 1989 r., na skutek zaniedbań brytyjskiej policji, doszło do wybuchu paniki i tumultu, w którym zginęło 96 osób.

Żaden triumf w Lidze Mistrzów nie zmienia faktu, że to tamta katastrofa jest najważniejszym wydarzeniem w dziejach Liverpoolu, a następujące po niej dekady walki o dobrą pamięć ofiar – zakończone przeprosinami brytyjskiego premiera i sądowymi wyrokami zaledwie parę lat temu – zajmują miejsce w tej opowieści przed jakąkolwiek kroniką boiskowych sukcesów. Lekcja futbolu widzianego przez pryzmat Hillsborough nie jest, nie może być zafałszowana.

Wszystko, o czym próbuję tu opowiadać, znaleźć też można w pieśni rozbrzmiewającej nad madryckim stadionem przed i po meczu: ukochanego jeszcze przez Billa Shankly'ego sentymentalnego kawałka z musicalu „Carousel” Rodgersa i Hammersteina, a mającego w nim służyć pocieszeniu strapionej wdowy. Mniejsza o cukierkową interpretację zespołu Gerry and the Pacemakers (ach, te gusta trenerów...), tysiące garded i tak ją zagłuszą. Ważniejsze są słowa o tym, że idąc przez burzę, trzeba mieć wysoko uniesioną głowę, bo na końcu jest złote niebo i srebrna pieśń skowronka; że trzeba iść przez wiatr i deszcz, nawet gdy marzenia się rozwiewają, i że nie można tracić nadziei, bo nigdy nie idzie się samemu.

Jest taka siła

Jestem, jak państwo się już zorientowali, kibicem Tottenhamu – a przecież czuję, że mogę w tę madrycką noc śpiewać hymn Liverpoolu. Taka jest moja opowieść o kibicowaniu i taka jest moja opowieść o życiu, z którym to kibicowanie się splata. Jest taka siła, która pozwala podnosić się po porażce i zaczynać po raz kolejny (fani Tottenhamu zrobili to od razu po końcowym gwizdku, z dumą śpiewając płaczącym piłkarzom z Londynu „Oh, When the Spurs Go Marching In”). Jest taka siła, która pozwala wierzyć, że cuda są możliwe (o ile, jak trzeźwo zauważa Mauricio Pochettino, wcześniej włożył w nie wystarczająco wiele pracy). Jest taka siła, która pozwala nie narzekać, że w pierwszej połowie twoich ulubieńców zjadała trema, a w drugiej poderwali się do walki zbyt późno. Siła, która pozwala odpędzić frustrujące poczucie, że rywale byli w zasięgu, a w zamian po prostu dziękować za tych kilkadziesiąt godzin w Madrycie – zdarzyło się w ich trakcie także nieoczekiwane spotkanie na Paseo de Recoletos trenera Tottenhamu przy porannej kawie – albo wcześniej, podczas ćwierćfinału w Manchesterze i półfinału w Amsterdamie, kiedy drużyna też walczyła o sukces do ostatnich sekund, tyle że wówczas szczęśliwie.

Oczywiście, Pochettino mówił niejednemu raz, że finału Ligi Mistrzów się nie rozgrywa, tylko wygrywa – a tego jego piłkarze zrobić nie potrafili, nawet jeśli próbował ich wesprzeć radami motywacyjnego guru Xesco Espara, proponującego dla dodania odwagi... chodzenie po rozżarzonych węglach. Cytowanie korzystniejszych dla Tottenhamu statystyk posiadania piłki,

celnych strzałów itd. mija się z celem – podobnie jak spekulowanie, którzy zawodnicy odejdą teraz z klubu i czy sam trener będzie nadal chciał tu pracować, skoro nie dostanie „narzędzi” pozwalających rywalizować z najlepszymi finansowo.

Lepiej przypomnieć ideę, do której Pochettino zdołał przekonać działaczy UEFA: żeby na pamiątkowym zdjęciu, wykonywanym tradycyjnie przed rozpoczęciem spotkania, nie było tylko zawodników wyjściowej jedenastki, ale cała drużyna, z rezerwowymi włącznie, którzy przecież także przyczynili się do tego, że ta wspaniała podróż trwała tak długo.

Przy wszystkich wyrzekaniach na ukryte w futbolu patologie wspomnienie o finale Ligi Mistrzów będzie wspomnieniem doświadczanego i na stadionie – choćby wtedy, gdy zawodnicy Liverpoolu utworzyli szpaler, by oklaskiwać idących po odbiór srebrnych medali graczy Tottenhamu – i na ulicach miasta, pomiędzy zwykłymi kibicami, ducha *fair play*. Futbol, proszę państwa, nie jest okrutny, nawet jeśli w pomeczowym komentarzu jeden z najbardziej zasłużonych trenerów, Arsène Wenger, upierał się, że owszem, jest. Futbol jest piękny, a siła, o której tu piszę, to miłość.

© © MICHAŁ OKOŃSKI

Podróż reporterska Michała Okońskiego do Madrytu była możliwa dzięki uprzejmości Santander Bank Polska, oficjalnego sponsora Ligi Mistrzów UEFA.

Wszystkie korespondencje Michała Okońskiego z Madrytu dostępne są pod adresem powszech.net/madryt

Świętuj z nami wolność!

Wydanie specjalne na 30-lecie nowej Polski

„Smak wolności” to zbiór najlepszych reportaży, rozmów i opowieści o wolnej Polsce i o ludziach, którzy tę wolność kształtowali.

Wśród autorów i rozmówców: s. Małgorzata Chmielewska, Sylwia Chutnik, Bogdan de Barbaro, Olga Drenda, Szymon Hołownia, Joanna Kulig, Karol Modzelewski, Jerzy Pilch, Dawid Podsiadło, abp Grzegorz Ryś, Filip Springer, Andrzej Stasiuk, Danuta Wałęsa, Adam Wajrak.



weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności”
dostępne w salonach prasowych
i w punktach z dobrą prasą.

Więcej informacji na
powszech.net/smakwolnosci

STANISŁAW

Mancewicz: Kim teraz być?



JAK NAPISAŁ KIEDYŚ, DAWNO TEMU, ZYGMUNT Hertz do Czesława Miłosza, Polska to kraj, w którym nie sposób żyć nieprzyzwyczajonemu. Zaiste. Dodać wypada do tego złotego zdania tyle, że do Polski wciąż się trzeba przyzwyczajać na nowo, jeden raz w życiu

bynajmniej nie wystarczy.

Różne są teorie, z czym mamy dziś do czynienia i jak się do tego, co jest, przyzwyczaić. Niewątpliwie najwięcej jest dziś pomysłów, kim w jesieni być bardziej. Patrząc na Gospodarza i jego zastępy nijak nie da się powiedzieć, czy dlatego wygrywa w cuglach, że jest lewicowy, czy prawicowy, i co to właściwie znaczy dla chcących go pokonać. Słychać także chóry, że mianowicie stąd owego sukces, że Gospodarz był dobry dla gorszych, a gorszy dla lepszych, z wyjątkiem oczywiście swoich, którzy są zawsze poza tą prymitywną klasyfikacją. W związku z tym wszędzie jak okiem sięgnąć, od skrajnego lewa do takiegoż prawa, słychać drapanie i szamotaninę, jak być jeszcze lepszym dla gorszych i maksymalnie gorszym dla lepszych. Najmędrsi dywagują także, kim tak naprawdę są ci, którzy mają się za gorszych, i czy ten stan jest w ogóle odwracalny. Pojawia się pytanie kluczowe, czy owi gorsi chcą być ulepszeni przez kogoś innego niż PiS. Możliwe, że nie, gorsi bowiem tych, którzy im ulepszenie proponują, uważają za jeszcze gorszych od siebie, a więc to dla nich ani przyjemność, ani zysk.

Idźmyż chyżo dalej, gdyż do jesieni nie wypłaczymy się z tych pokręconych mniemań. Oto kto jest lepszy, kto gorszy – plus minus nam już powiedziano. Bycie lepszym robi się niebezpieczne, dlatego widać też niejaka panikę i mozoły, jak szybko z bycia lepszym stać się choćby trochę gorszym. To może urato-

wać życie, jak to bywa podczas rewolucji ludowej. Oczywiście na bycie choć ciut gorszym niż lepszym zaczyna być też w pewnych kręgach moda. Modowo też – jak nigdy – wypada czuć i rozumieć gorszych, co jest o tyle nierealne, że tego stanu nie da się zamówić, jak dajmy na to butelki czegoś lepszego. Zresztą Gospodarz zaraz pozna, kto się modnie ubrał, więc ten trend należy uznać za zabawę czysto towarzyską, by nie rzec: narażoną na ryzyko, że przebranemu zostaną ściągnięte majtki.

Dużo się teraz mówi o pogardzie. To bardzo częsty zarzut, by nie rzec: wytrych do każdego trudniejszego problemu. Właściwie wszyscy czują się pogardzani. Trzeba rzec smutno, że pogarda nie jest zjawiskiem na tej szerokości geograficznej ani nowym, ani do wyeliminowania z mnóstwa powodów. Historycznych, edukacyjnych, ale też z racji skłonności tutejszej do egzaltacji i sentymentalizowania własnej doli, choćby była ona całkiem znośna. Jest to – można powiedzieć – rodzaj emocji powszechnej. Emocję tę uprawia się z racji ogromnej łatwości. Doprawdy trudno znaleźć uczucie, które prościej pielęgnować i którym łatwiej zarządzać. Bądźmy brutalni – praca nad szlachetnością wobec bliźniego nigdy w Polsce nie wyszła poza gadanie i obrzędy. Pomijamy oczywiście bardzo drobne, oderwane od mas środowiska, pracujące w aurze pogodnej świętości – oczywiście też oskarżane o uprawianie pogardy pod płaszczykiem dobroci. W istocie Gospodarz w krzątaniu się na tym areale jest nie do pokonania.

Słychać też wiele o dobrych i złych emocjach, przede wszystkim, że tymi ostatnimi wyborów się nie wygrywa. Zaiste trzeba się przyzwyczaić do opinii ludzi, których celność w interpretowaniu dobra, zła i znajomości narzędzi politycznych pozostawia bardzo dużo do życzenia. Jest w tym pełna magii miękkość widzenia świata, który jest na etapie – rzeklibyśmy – twardnienia, bez względu na nasze polskie mniemania. Młodość idzie, więc postawimy na młodych – to też słyszymy. Nie po raz pierwszy. To kolejna sprawa wpisywana teraz strasznymi kulfonami do recept. Jest to oczywiście nie żadne lekarstwo na cokolwiek, lecz zwykły suplement diety.

Na koniec pozostaje odpowiedzieć na pytanie, jak się przyzwyczaić. Rada jest banalna. Robić jak przyzwyczajona większość. Lubić to, mówiąc, że się nie lubi, i nie podejmować żadnych prób w kielznaniu własnych odruchów.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE

4 wydania* **wraz z dostawą do domu**

za **69 zł**



* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez
internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

MARCIN KRUPA — PREZYDENT MIASTA KATOWICE ZAPRASZA



KATOWICCY ŻYDZI

13 – 16 czerwca 2019 r.
Koncerty / Warsztaty / Spacery / Spotkania
miasto-ogrodow.eu

ORGANIZATORZY:



PARTNERZY:



PATRONAT:



PATRONI MEDIALNE:



CHIDUSZ.COM

cojestgrane24

Jewish.pl